

ŚLEPE PAŃSTWO
Polska bezradna
wobec przyszłości

UCHODŹCY
Czy PiS ulegnie
Kościołowi

ATWOOD GÓRĄ
Tak się trafia
na sztandary

TEGO SIĘ NIE JE
Czym się rządzi
ludzkie menu

ALASKA
Stąd widać
jutro

Kraków 23 lutego 2020 nr 8 (3685)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Biskup oskarżony

Na co czeka Watykan

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



Kochani, jesteście ze mną co tydzień

a także:

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczaam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie siedmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom. „Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.



ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



KS. ADAM

Boniecki: Jak papież zmienia myślenie katolików

JEDNI SĄ ROZCZAROWANI, BO OGŁOSZONA PRZEZ Franciszka adhortacja „Ukochana Amazonia” nie otworzyła drogi do kapłaństwa dla żonatych *virī probati*, czyli „wyprobowanych mężów”, i do święceń diakonatu dla kobiet. Inni z tych samych powodów odetchnęli z ulgą. Są też tacy, którzy doszukują się w dokumencie zapowiedzi otwarcia się Kościoła na te zmiany, a to – jak twierdzą – przez zezwolenie Kościołom lokalnym na podejmowanie decyzji. Niektórzy tak właśnie interpretują zaproszenie – w pierwszych akapitach adhortacji – do lektury Dokumentu Końcowego Synodu: aby „cały Kościół dał się ubogacić i przyjął tę pracę jako wyzwanie, aby pasterze, osoby konsekrowane i wierni świeccy Amazonii podjęli się wprowadzania jej w życie i aby mogła w jakiś sposób inspirować wszystkich ludzi dobrej woli”.

Papież wołał rozczarować teologów oczekujących zmian, niż ryzykować naruszenie „systemu immunologicznego Kościoła”, którym jest według niego źle znosząca gwałtowne zmiany „religijność ludowa”. Franciszek trzyma się zasady pierwszeństwa uruchamiania procesów przed „szaleństwem, by wszystko rozwiązać natychmiast”. I tak remedium dla braku księży w Amazonii (i nie tylko tam) ma być solidarne wsparcie innych Kościołów lokalnych, nie zaś wyświęcanie żonatych świeckich. „Świeccy mogą głosić Słowo, uczyć, organizować swoje wspólnoty, sprawować niektóre sakramenty, szukać różnych dróg wyrażania pobożności ludowej i rozwijać mnóstwo darów, które wylewa na nich Duch Święty. Potrzebują jednak sprawowania Eucharystii, ponieważ »tworzy ona Kościół«. Kapłan nie może delegować władzy sprawowania Eucharystii i udzielania sakramentalnego rozgrzeszenia. W innych funkcjach księży mogą być zastąpieni przez „dojrzałych liderów świeckich obdarzonych autorytetem”. Pozostają więc stare, wypróbowane metody: solidarna pomoc księży z innych



rejonów świata i większe zaangażowanie świeckich. W tej drugiej kwestii odnośnik odsyła do Kodeksu Prawa Kanonicznego: przy braku kapłanów biskup może dopuścić „do współudziału w trosce o pasterzowanie parafii diakona lub jakąś inną osobę nie mającą święceń kapłańskich, albo jakąś wspólnotę osób” (KPK kan. 517 par. 2). Jednocześnie papież obszernie opisuje bezcenny „współudział” duszpasterski kobiet „nie mających święceń kapłańskich”. Z poglądem, że „tym, co wyróżnia kapłana, jest władza”, Franciszek rozprawia się mocnym cytatem z „Mulieris dignitatem” św. Jana Pawła II.

Dobrym wprowadzeniem do lektury adhortacji jest artykuł naszego teologa Piotra Sikory „Amazońskie marzenia papieża”. Tu chciałbym podkreślić konsekwencję, z jaką papież pracuje nad „katolicką mentalnością”. Nie dekretuje, ale otwiera nowe przestrzenie wierząc, że Duch Święty poprowadzi Kościół ku przyszłości. Kontynuuje dzieło poprzedników. To, co pisze o inkulturacji, jest kontynuacją ducha Asyżu, zwołanego przez Jana Pawła II spotkania przywódców wszystkich religii świata w 1986 r. Franciszek pisze: „Nie kwalifikujemy pośpiesznie jako przesąd lub pogaństwo pewnych wyrazów religijnych, rodzących się spontanicznie z życia ludów (...). Możliwe jest przyswojenie sobie w jakiś sposób symbolu rodzimego, niekoniecznie kwalifikując go jako bałwochwalczy. Zawsze można wykorzystać mit pełen znaczenia duchowego, a nie zawsze uważać go za pogański błąd” (78).

„Jeśli są kwestie, których Ojciec Święty nie rozwiązał w większym stopniu niż w adhortacji, a które Kościół uważa za otwarte, to dzięki adhortacji będą nadal debatowane, rozeznawane, przemodlone, a gdy dojrzeją, zostaną zaprezentowane właściwej władzy, by podjęła decyzję” – powiedział kard. Michael Czerny na konferencji prasowej w Watykanie. ©P



„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już dziś rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwi bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE
STOWARZYSZENIE
FACTO

TYGODNIK
POWSZECHNY



22 Połącz kropki
RAFAŁ MATYJA
Państwo polskie od lat ma kłopot z wiedzą – z jej porządkowaniem i wykorzystywaniem w polityce. Za chwilę ten problem nabierze dramatycznego wymiaru.



60 Tego się nie je
MICHAŁ MISIAK
Niemal wszystkie ludzkie kultury wykształciły jakieś tabu pokarmowe. Skąd one się biorą?

44 To nie jest raj dla słabych ludzi

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII
Bezdomność, choroby psychiczne, narkotyki: problemy San Francisco przypominają, jak bezwzględna bywa Ameryka.



34 Pomoc nie na miejscu
EDWARD AUGUSTYN, MARCIN ŻYŁA
Po czterech latach polski Kościół wraca do pomysłu korytarzy humanitarnych dla uchodźców. Nie uda się go zrealizować bez pomocy rządu.

64 Potęga niuansów
MICHAŁ SOWIŃSKI

Dla Margaret Atwood literatura jest miejscem pogłębionej analizy, a nie fabryką prostych, czarno-białych wizji świata.



78 Wschód na zachodzie

MICHAŁ MILCZAREK
Kiedy wreszcie się rozchmurzyło, ujrzałem oddalony o 82 kilometry Przylądek Dieżniowa. Czyli Azja i przeciwny koniec mapy, geograficzne zaświaty.



6 Chaos w Berlinie
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Połącz kropki RAFAŁ MATYJA

26 Ludzie bezbronnii

MAREK RABIJ: *W polskich domach
jest ponad pół miliona legalnych
pistoletów, karabinów i strzelb*

28 Lud i arystokracja

ROZMOWA Z DARIUSZEM
KARŁOWICZEM, FILOZOFEM
I PUBLICYSTĄ: *Przestarzały
system polityczny produkuje
równoległe dwie rzeczywistości,
które są ze sobą w konflikcie*

■ ■ **WIARA**

34 Pomoc nie na miejscu

EDWARD AUGUSTYN,
MARCIN ŻYŁA

38 Amazońskie marzenia

papieża PIOTR SIKORA:
*Co zawiera ogłoszona właśnie
adhortacja „Ukochana Amazonia”*

40 Sto pytań

STANISŁAW ZASADA o historii
wstydlivej płaskorzeźby
w katedrze w Gnieźnie

■ ■ **ŚWIAT**

**44 To nie jest raj dla słabych
ludzi** MARTA ZDZIEBORSKA

47 Wyspa w cieniu wulkanu

MARCIN RYCHŁY z NIKARAGUI:
*Plan nowego kanału łączącego
Atlantyk i Pacyfik nie wypalił*

TEMAT TYGODNIKA



JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

12 Test prawdy

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Czy to możliwe, żeby cichy, rozmodlony hierarcha
odbywał „lekcje czułości” z piętnastolatką?
Niestety, to możliwe.

17 Pytano nas, czy walczymy z Kościołem

ROZMOWA Z BARBARĄ SMOLIŃSKĄ,
WSPÓŁINICJATORKĄ „ZRANIONYCH W KOŚCIELE”:

Osoby korzystające z telefonu zaufania dla
wykorzystanych seksualnie przez duchownych
często zaczynają swoją historię od słów:
„Pani na pewno mi nie uwierzy”.

■ **FELIETONY** ■

32 ANNA DZIEWIT-MELLER

55 ANDRZEJ STASIUK **76** JAN KLATA

77 PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Oktadka: MAREK ZALEJSKI / ADOBE.STOCK.COM

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

**50 Tam skarb twój, gdzie serce
twoje** KAROL FRYTA z ROSJI:

*Jak Polacy z Syberii
odkrywali swoje korzenie*

■ ■ **HISTORIA**

56 Adolf Hitler: dzień pierwszy

JOANNA HYTREK-HRYCIUK:
*Sto lat temu powstała Narodowo-
socjalistyczna Niemiecka Partia
Robotników*

59 Kolejność według

Steinmeiera WOJCIECH
PIĘCIAK o 75. rocznicy
zbombardowania Drezna

■ ■ **NAUKA**

60 Tego się nie je MICHAŁ MISIAK

■ ■ **KULTURA**

64 Potęga niuansów

MICHAŁ SOWIŃSKI

68 Świat na ulicy ROZMOWA

Z WOLFGANGIEM BAUEREM,
REPORTEREM: *To, co się dzieje na
Bliskim Wschodzie, bezpośrednio
przekłada się na sytuację u nas*

71 Mgła i krew MAREK

BIEŃCZYK o korespondencji
Gustave'a Flauberta z Louise
Colet, jednej z wielkich par
dziewiętnastowiecznych

74 Ostatnie takie lato ANITA

PIOTROWSKA o filmie „Matthias
i Maxime” Xaviera Dolana

76 Radość Szabatu

LEKTOR o antologii
„Archiwum Ringelbluma”

■ ■ **ZMYSŁY**

78 Wschód na zachodzie

MICHAŁ MILCZAREK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Strona świata: Indie**

Wybory w stołecznym stanie Delhi zakończyły się klęską
hinduskich nacjonalistów premiera Narendry Modiego –
WOJCIECH JAGIELSKI opisuje przyczyny trzeciej z rzędu
przegranej polityka tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Styczeń w nauce [Podkast Powszechny]**

1 stycznia 2020 roku w „Nature” ogłoszony został algorytm, który diagnozuje
raka piersi trafniej niż lekarze. Potem było już tylko lepiej – w nowej audycji
ŁUKASZ LAMŻA przygląda się naukowym newsom minionego miesiąca
i zastanawia się, co właściwie z nich wynika. powszech.net/styczen-nauka



**WOŚ
SIĘ JEŻY** wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl



/TygodnikPowszechny



/Tygodnik



/Tygodnik



YouTube /TygodnikPowszechny

CHAOS W BERLINIE

Gdy wkoło coraz głośniej mówi się o demontażu zachodniej wspólnoty ideowej, najważniejsza formacja polityczna w Niemczech staje w obliczu kryzysu przywództwa.

WOJCIECH PIĘCIAK

TO NIE PARADOKS, LECZ SKUTEK TENDENCJI z ostatnich kilku lat w wewnętrzniemieckiej polityce – w tym decyzji podjętych pięć lat temu w czasie kryzysu migracyjnego, które spolaryzowały Niemcy – z ich apogeum w ostatnich tygodniach. Oto okazuje się, że w niemieckiej polityce zagranicznej, w jej zasadniczych i zgodnych z interesem Polski segmentach – takich jak utrzymanie jedności Unii w kwestii sankcji wobec Rosji, podtrzymanie więzi atlantyckich czy reakcja na ambicje Macrona „suwerenności obronnej” Europy w opozycji do USA – wszędzie tam to ona, Angela Merkel, jest gwarancją stabilności Berlina. Mimo rozbieżności (Nord Stream 2) i zaniedbań (kiepski stan Bundeswehry, obok Amerykanów naszej głównej armii sojusz-

niczej), głos Merkel, jej autorytet wciąż są kluczowe.

Równocześnie ta sama Merkel staje się coraz bardziej czynnikiem destabilizującym, gdy idzie o kondycję jej własnej formacji, chadeckiej CDU, i kwestię następstwa. Choć, przypomnijmy, sama postawiła ją na porządku dziennym 14 miesięcy temu, kiedy ogłosiła, że jesienią 2021 r. nie będzie ubiegać się o reelekcję, zrezygnowała z przewodzenia CDU i namaściła Annegret Kramp-Karrenbauer na następczynię. Jednak w minionym tygodniu ten eksperyment – rozdział ról szefowej rządu i głównej partii rządzącej – się zakończył: AKK, jak się ją popularnie nazywa, zapowiedziała rezygnację z przewodzenia CDU oraz z roli kandydatki chadecji na kanclerza w 2021 r. Kroplą, która przełała

*Kanclerz
Angela Merkel
i minister obrony
Annegret Kramp-
Karrenbauer,
Bundestag, Berlin,
luty 2020 r.*

czarę, była sytuacja w Turynii: lokalna CDU podjęła tam współpracę z AfD, mimo zakazu partyjnej centrali. Ale tylko kropką. Trudno oprzeć się wrażeniu, że przez tych 14 miesięcy kanclerz nie włożyła tyle energii, ile by mogła, we wspieranie AKK, w budowanie jej pozycji.

Tymczasem nie chodzi tu o życie wewnętrzne jednej partii: hierarchia na ringu partyjnym wygląda tak, że jest tam jeden gracz wagi ciężkiej (chadecja), jeden średniej (Zieloni) i kilku lekkiej (SPD, AfD, Lewica, FDP). Kto przewodzi CDU, ten otrzyma w 2021 r. misję tworzenia rządu. Teraz, po decyzji AKK, w chadecji zapanował chaos: nie wiadomo, jak ma wyglądać kwestia następstwa i czy nowy lider CDU nie zużyje się równie szybko w cieniu Merkel. Przypomina to kazuś Helmuta Kohla, który rządził równie długo i na finiszu nie uniknął dysonansu (docenienie za granicą *versus* obciążenie dla partii). Na koniec następczyni, tj. Angela Merkel, musiała się wtedy od Kohla ostro odciąć. Czy dziś chadecję czekają podobne wstrząsy? Czy następca Merkel musi dokonać „matkobójstwa”?

Miejmy natomiast nadzieję, że Annegret Kramp-Karrenbauer pozostanie w rządzie jako szefowa resortu obrony. Przemówienie, które wygłosiła w minioną sobotę na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, potwierdza obserwację, że jak mało kto w niemieckiej klasie politycznej rozumie ona i podziela poglądy Warszawy – rządzącej i opozycyjnej, tu różnicy nie ma – w sprawach polityki światowej i obronnej.

Tym bardziej żal, że AKK nie będzie kanclerzem. Zwłaszcza że politycy mający największe szanse, by zostać przewodniczącym CDU, a więc i kandydatem na kanclerza – jak premier Nadrenii Północnej-Westfalii Armin Laschet, były szef frakcji chadeckiej Friedrich Merz i obecny minister zdrowia Jens Spahn – to wprawdzie fachowcy w swojej dziedzinie, tj. w zarządzaniu administracją lub wielkim biznesem (jak Merz, do niedawna członek rady nadzorczej koncernu inwestycyjnego Blackrock), jednak w sprawach światowych to nowicjusze, niezapisane karty, bez doświadczenia i tak przydatnego „networku”. Nie będą partnerami dla Putina. Tymczasem wkoło coraz głośniejsze mówią o demontażu Zachodu... Dyskusje prowadzone w miniony weekend na konferencji w Monachium pokazały, że choć struktury się trzymają, coraz trudniej jest mówić o wspólnej kulturze strategicznej Zachodu, o wspólnych wyobrażeniach o świecie, ideach i wartościach.

Stary bon mot powiedział, że gdy gospodarza Niemiec łapie katar, gospodarki reszty krajów Europy szybko zapadają na gripę. Oby nie sprawdził się on wkrótce w sprawach polityki światowej i obronnej. ©P

Kamiński uderza w Kwaśniewskich



ANDRZEJ STANKIEWICZ

UJAWNIAJĄC TAJNE DOKUMENTY OPERACYJNE CBA, Mariusz Kamiński broni się przed zarzutami agenta Tomka, że spreparował operację przeciw Aleksandrowi Kwaśniewskiemu.

Śledztwo w sprawie majątku byłego prezydenta i jego żony zostało wszczęte w 2007 r., za poprzednich rządów PiS. Prokuratura umorzyła je za rządów PO, a PiS wszczął je na nowo po dojściu do władzy, w 2016 r. W śledztwie od lat nic się nie dzieje, bo dotyczy ono głównie nieudanej operacji CBA z 2009 r. Podstawiony przez Kamińskiego jego ówczesny faworyt agent Tomek (czyli Tomasz Kaczmarek) miał wówczas dowiedzieć, że Kwaśniewscy mają dom w Kazimierzu, oficjalnie zapisany na ich znajomego.

Kaczmarek był potem posłem PiS, ale rozstał się z partią po skandalu – został nagrany, gdy groził pobiciem eksmężowi swojej partnerki. Po odejściu z polityki, wraz z nią prowadził domy opieki, tyle że prokuratura dopatrzyła się w nich defraudacji pieniędzy publicznych. Politycy PiS starali się Kaczmarkowi pomóc, ale niewiele wskórali – dostał zarzuty.

I wtedy dokonał wolty. Zeznając w prokuraturze, oskarżył Kamińskiego i jego współpracowników o spreparowanie akcji przeciw Kwaśniewskim. Wystąpił też w TVN, przeprasząc byłego prezydenta. Dlatego Kamiński doprowadził do od-tajnienia części materiałów ze śledztwa. Wnioski? CBA zgromadziło kilka poszlak, że Kwaśniewscy mogli być właścicielami domu w Kazimierzu. Ale niezbitych dowodów nie ma. Gdyby były, Kwaśniewscy dawno mieliby proces i postępowanie skarbowe. W dodatku prezentowany przez CBA „raport” to materiał opracowany na podstawie części akt. Całego materiału dowodowego nie znamy.

Dokumenty potwierdzają, że CBA działało nieudolnie: nie potrafiło przeprowadzić zakupu domu tak, by gotówka trafiła do Kwaśniewskich, co byłoby dowodem ich winy. Ujawnienie dokumentów to samoobrona Kamińskiego, ale też przyznanie, że z tego śledztwa już nic nie będzie. ©P

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Polityka zobaczyła dno



JAROSŁAW FLIS

JEDNA Z NAJSŁYNIEJSZYCH KSIĄŻEK o leczeniu alkoholików pióra Vernona Johnsona nosi tytuł „Od jutra nie piję”. Pozwala ona uchwycić jeden z kluczowych problemów uzależnienia: fałszywe przekonanie, że panuje się nad nałogiem. Tymczasem nasz emocjonalny polityczny dyskurs – który dla skrótu można byłoby nazwać „pyskursem” – wciągnął swych uczestników w zaawansowany „szczujoholizm”. Nie ma dla niego lepszego zobrazowania niż gest posłanki Lichockiej, sprawozdawczyni uchwały potępiającej nienawiść i agresję w życiu publicznym. Wymowę gestu wzmocniło jej tłumaczenie, że nic złego nie zrobiła. Nawet komentatorzy portalu wPolityce nie biorą na poważnie jej wyjaśnień – choć ich zdaniem problem z gestem jest tylko taki, że może za-

szkodzić własnemu obozowi, a sam gest w ich opinii i tak jest niczym wobec występów opozycji. Sama posłanka widzi w tym manipulację „przemysłu pogardy”. Brzmi jak standardowe usprawiedliwienie alkoholika: „i jak tu nie pić?”.

Od pięciu lat część polityków obozu władzy raz za razem mówi, że jeszcze chwila i wszystko się uspokoi. Jeszcze tylko ta jedna sprawa i już będą do rany przyłóż. Tak jakby mówili: od jutra nie szczuję... Widać jednak, że siła zbiorowego nałogu jest większa. Żeby chcieć zeń wyjść, trzeba pewnie uderzyć o dno. Może to właśnie ten moment? Abstynencję od „pyskursu” jest sens zacząć od razu, nie od jutra. Dotyczy to także opozycji, która okrzyki przeciw Dudzie w Pucku mogłaby postrzegać tak samo, jak niedysiejsze gwizdy na Powązkach. ©P

Gest Dariusza Stoli

MICHAŁ OKOŃSKI



MOŻNA TĘ HISTORIĘ OPowiedzieć na sposób optymistyczny: oto lekceważącemu obyczajom, procedury i prawo politykowi nie udało się przejście kontroli nad ważną instytucją publiczną ze względu na to, że człowiek, którego postanowił pognać, zachował się z klasą. Prof. Dariusz Stola, dyrektor i twórca sukcesów muzeum POLIN oraz ubiegłoroczny zwycięzca konkursu na stanowisko szefa tej placówki, po tym jak minister kultury przez wiele miesięcy odmawiał uznania wyników konkursu i nie krył zamiaru samodzielnego wyznaczenia kolejnego szefa, oświadczył, że gotów jest zrezygnować – pod warunkiem, że odpowiedzialne za POLIN instytucje (oprócz resortu kultury Stowarzyszenie ŻIH i Miasto Warszawa) wyłonią wspólnego kandydata. W tej sytuacji Piotr Gliński zgodził się z wolą ŻIH i miasta, by muzeum przez trzy lata kierował dotychczasowy zastępca Stoli, Zygmunt Stępiński.

Trudno jednak o optymizm. Świetny historyk, powszechnie chwalony dyrektor i zwycięzca konkursu ustępuje, a opinia publiczna nie ma pojęcia, dlaczego. Informacja, jakoby Stola nie wyraził zgody na zorganizowanie w muzeum konferencji na temat roli Lecha Kaczyńskiego w dialogu polsko-żydowskim, okazała się przecież fałszywa, a trudno uwierzyć, że powodem jego niepowoływania mogło być umieszczenie na wystawie „Obcy w domu” tweetów dwojga prorządowych celebrytów jako przykładów współczesnej mowy nienawiści. Niestety posłanka Lichocka ze swoim osławionym już gestem nie była pierwsza – przez wiele miesięcy pokazywał go nam minister kultury.

© P



BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA GAZETA

POŚCIEL BYŁA BŁĘKITNA. Oni – nadzy. 14 lutego para aktywistów „Obozu dla Mierzei Wiślanej” położyła się do łóżka ustawionego na terenie budowy kanału, który przetnie Mierzeję Wiślaną, protestując przeciw tej inwestycji. „Nie ma lepszej alternatywy dla przemocy niż pozostanie w łóżku i zapuszczenie włosów” – wyjaśnili cytując oczywiście Johna Lennona. MR © P

KRAJ W SKRÓCIE



PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

ZALETY KANDYDATA

Z przepychem i pompą podczas warszawskiej konwencji PiS zainaugurowano kampanię prezydencką Andrzeja Dudy. Wśród zalet kandydata prezes Jarosław Kaczyński wymieniał żonę oraz „córkę, mimo jego młodego wieku, już dorosłą”.

CZŁOWIEK ROKU

Człowiekiem roku „Gazety Polskiej” nie został jednak Andrzej Duda, tylko Jarosław Kaczyński. Podczas sponsorowanej przez największe spółki Skarbu Państwa imprezy prezesa PiS okłaskiwała m.in. prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska.

MILIARDY TELEWIZJI

TVP nie musi przyznawać żadnych tytułów, i tak robi dla obecnej władzy wszystko, co może. A władza to docenia: ostatnio Sejm, odrzucając weto Senatu i propozycję przeznaczenia tych środków na onkologię, przekazał mediom publicznym blisko 2 mld zł rekompensaty „w związku z utraconymi wpływami”.

ZAJĘCIA POSŁÓW

Co się zaś tyczy władzy: liczący z premierem aż 112 ministrów i wiceministrów gabinet Mateusza Morawieckiego jest jednym z najliczniejszych rządów w historii Polski, a ponad połowę jego członków stanowią parlamentarzyści PiS. „Oznacza to – pisze dziennikarz RMF Tomasz Skory – że co czwarty z posłów rządzącego ugrupowania jest jednocześnie członkiem rządu, który jako poseł powinien kontrolować”.

Była sobie elektrownia

SZKODA, ŻE TAK PÓŹNO – w zasadzie tak można skomentować decyzję o wstrzymaniu budowy elektrowni węglowej Ostrołęka C. Kalkulacje ekonomiczne w końcu zwyciężyły z rachunkiem politycznych zysków i strat, który podpowiadał byłemu już ministrowi energii Krzysztofowi Tchórzewskiemu, by wbrew opiniom ekspertów dążyć do budowy w swoim partyjnym okręgu bloku węglowego o mocy 1000 MW.

Przy gwałtownie rosnących kosztach certyfikatów emisji CO₂ i nowych zasadach unijnego dofinansowania dla inwestycji energetycznych tego typu siłownia, do tego położona kilkaset kilometrów od śląskich kopalń, musiałaby kupować tani surowiec z rosyjskiego importu – albo przynosiłaby gigantyczne straty. Jako że minister zdążył już pochwalić się górnikom, że Ostrołęka C będzie spalać rocznie dwa miliony ton węgla, nierentowność inwestycji wartej kilka miliardów złotych musiała być niejako wpisana w ten biznesplan.

Zamiast wielkiego bloku węglowego w Ostrołęce powstanie zapewne słabsza niemal dwukrotnie elektrownia gazowa.

MARK RABIJ © P

Których zawodów będzie brakować

LEKARZE, PIELEŃNIARKI I FIZJOTERAPEUCI, opiekunowie osób starszych i niepełnosprawnych. Spawacze, elektrycy i elektrycy. Murarze, tynkarze i pracownicy budowlani. Kierowcy ciężarówek i autobusów. Kucharze i piekarze. Pracujących m.in. w tych zawodach będzie brakować w 2020 r. – podaje „Barometr zawodów 2020”, przygotowany na zlecenie ministra rodziny, pracy i polityki społecznej. Dlaczego? Najczęściej pada argument niskich zarobków. Duży wpływ na braki kadrowe ma też luka pokoleniowa: pracujący w tych zawodach odchodzą na emerytury, a na ich miejsce brakuje młodych. Często zdobycie kwalifikacji jest kosztowne i czasochłonne, brakuje szkół zawodowych. Zniechęcająca jest praca zmianowa i w delegacji. Zdarza się, że dane o braku pracowników nie do końca odpowiadają rzeczywistości – np. w przypadku pracujących w budownictwie duży jest odsetek zatrudnienia w szarej strefie. Jedyny zawód, który nazywany jest „nadwyżkowym”, to ekonomista.

EWELENA BURDA © P



KHALIL ASHAWI / REUTERS / FORUM

MILION, MOŻE PÓŁTORA: dokładnie nie wiadomo, ilu ludzi opuściło domy w prowincji Idlib, uciekając przed ofensywą, którą prowadzi armia prezydenta Asada, Rosjanie i Irańczycy. To ostatni kawałek Syrii w rękach opozycji. Idlibu, gdzie przebywają 4 mln ludzi (połowa to uchodźcy wewnętrzni), broni 40 tys. bojowników; w dużej części to radykalni islamisci (po 9 latach wojny opozycja umiarkowana została zmarginalizowana). W reakcji na ofensywę i w obawie przed nową falą uchodźców w ostatnich dniach Turcja wprowadziła do Idlibu 9 tys. żołnierzy; było już kilka ich starć z armią Asada. Prezydent Erdoğan grozi, że jeśli Asad się nie zatrzyma, dojdzie do otwartej konfrontacji. Na zdjęciu: pod miastem Idlib, 11 lutego 2020 r. WP ©

Szef WHO: Chiny kupiły nam czas

PONAD 71 TYS. OSÓB zainfekował koronawirus z Wuhan (większość w Chinach, ponad 700 w innych krajach), zabił ok. 1800; wyleczyć udało się ponad 11 tys. (dane z 17 lutego). Zakażeniu uległo przynajmniej 1716 pracowników medycznych w Chinach. Skokowy wzrost statystyk ma związek ze zmianą sposobu diagnozowania: z powodu braku zestawów testowych chińskie służby oceniają ryzyko zakażenia za pomocą tomografii komputerowej. W efekcie w połowie ubiegłego tygodnia liczba zgłoszonych przypadków wzrosła nagle o 15 tys.

W niedzielę władze Chin poinformowały, że trzeci dzień z rzędu spada liczba nowych zakażeń – przedstawiając to jako sukces polityki ścisłej kwarantanny miast prowincji Hubei. Reguły są bardzo surowe: ludzi, dla których brakuje miejsc w szpitalach lub ośrodkach kwarantanny (choć powstają kolejne), odsyła się do mieszkań i zabrania z nich wychodzić; podobne ograniczenia dotyczą rodzin osób zakażonych. Władze wprowadziły też takie sposoby walki z roz-

przestrzenianiem się wirusa, jak dezynfekowanie banknotów światłem ultrafioletowym.

„Chiny kupiły nam czas, ale nie wiemy, jak dużo” – powiedział dzień wcześniej szef Światowej Organizacji Zdrowia Tedros Adhanom. Zarzucił rządowi działanie w cyklach paniki i zaniedbania: „Wydajemy dużo pieniędzy na rozwiązanie problemu epidemii, a kiedy się skończy, nie robimy nic, aby zapobiec kolejnej”. Zagrożenie dla świata ze strony koronawirusa uznał za wyższe niż z powodu „jakiegokolwiek akcji terrorystycznej”; szczególnie niepokoi go wzrost liczby zachorowań wśród osób, które nie odwiedzały Chin. Według ekspertów istnieją szanse na opracowanie szczepionki, ale potrwa to przynajmniej 18 miesięcy.

Tymczasem wśród ekonomistów narasta lęk o skutki epidemii dla gospodarki światowej. Wiele chińskich fabryk wstrzymało produkcję, co powoduje miliardowe straty m.in. dla branży elektronicznej, turystycznej i motoryzacyjnej. Według najbardziej pesymistycznych scenariuszy, jeśli epidemia potrwa ponad 10 miesięcy, jej globalny koszt będzie porównywalny z kosztami kryzysu po upadku Lehman Brothers w 2008 r.

MACIEJ MÜLLER ©

Druga Enigma, czyli jak Amerykanie podśłuchiwali świat

WE WRZEŚNIU 1978 R. prezydent USA Jimmy Carter zaprosił do swojej rezydencji Camp David izraelskiego premiera Menachema Begina i Anwara as-Sadata, przywódcę Egiptu. Rozmowy zaczęły się poufnie; dopiero po 12 dniach ogłoszono porozumienie: Izrael wycofał się z półwyspu Synaj, państwa nawiązały ze sobą stosunki dyplomatyczne. Było to największe osiągnięcie Cartera.

W minionym tygodniu okazało się, że nie tylko jego. Porozumienie z Camp David czy uwolnienie amerykańskich zakładników w Teheranie (1981) byłyby o wiele trudniejsze, gdyby nie to, że od końca lat 70. do początku XXI w. CIA, we współpracy z niemieckim (do 1990 r. zachodniemieckim) wywiadem BND, odczytywała szyfrowane wiadomości przesyłane przez służby ok. 120 państw. Tyle bowiem korzystało z maszyny kodującej CX-52 produkowanej przez szwajcarską firmę Crypto. Szacuje się, że po złamaniu jej kodów Niemcy i Amerykanie byli w stanie odczytywać ok. 40 proc. korespondencji dyplomatycznej i wojskowej świata (CIA w wewnętrznych dokumentach nazywała to „szpiegowską operacją stulecia”). Deszyfrując nuncjaturę apostolską w Panamie USA dowiedziały się o tym, że ukrywa się w niej Manuel Noriega; depesze z CX-52 pomogły zebrać pierwsze informacje o zbrodniach dokonywanych przez argentyńską juntę. Według szwajcarskiej telewizji publicznej SRF wśród operatorów CX-52 nie było Polaki.

Ujawnienie sprawy wywołało skandal w neutralnej Szwajcarii. O ewentualnych powiązaniach firmy Crypto z CIA mówiono od lat; Kaspar Villiger, minister obrony w latach 90., zaprzecza współpracy z Amerykanami, ale sprawę wyjaśni prawdopodobnie dopiero komisja parlamentarna. MARCIN ŻYŁA ©



Pierwsze
Radio
Informacyjne

MARCIN ŻYŁA,
współautor tekstu
o korzyściach humanitar-

nych dla uchodźców (s. 34), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie Radia Tok FM”, w piątek 21 lutego o godzinie 16.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce
www.tokfm.pl

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE



VATICAN MEDIA

DYPLOMACI NA MISJE

Księża przygotowujący się w Papieskiej Akademii Kościelnej do służby w watykańskiej dyplomacji będą od przyszłego roku akademickiego obowiązkowo wyjeżdżać na rok do pracy na misjach – zarządził papież Franciszek.

USTĄPIENIE MIEJSCA

Mający 66 lat arcybiskup Monachium i Fryzycji kard. Reinhard Marx nie będzie kandydował na drugą sześciolletnią kadencję przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec. Wybory zaplanowano na wiosenne zgromadzenie episkopatu w Moguncji (2–5 marca). „Myślę, że kolej na młodsze pokolenie” – napisał kard. Marx w liście do biskupów.

OSTROŻNOŚĆ

Aby zapobiec rozprzestrzenianiu się koronawirusa, diecezja Hongkongu zawiesiła publiczne sprawowanie mszy w okresie od 15 do 28 lutego – w tym mszy niedzielnych oraz liturgii Środy Popielcowej. „To nie jest łatwa decyzja. Niektórzy członkowie Kościoła mogą być rozczarowani” – napisał kard. John Tong w liście pasterskim. Tłumaczy, że najbliższe dwa tygodnie będą kluczowe dla powstrzymania epidemii.

MĘSKI RÓŻANIEC

80 tys. osób przybyło w tym roku do Aparecidy w Brazylii w ramach 12. krajowej pielgrzymki mężczyzn odmawiających różaniec. Jest to największa z pielgrzymek gromadzących się w tym maryjnym sanktuarium. Coraz większa masowość tego wydarzenia wskazuje, że rośnie popularność modlitwy różańcowej wśród Brazylijczyków.

Jak reagować na oskarżenia

MACIEJ MÜLLER



POLICJA ZATRZYMAŁA BENEDYKTYNA Z TYŃCA o. Artura W. 6 lutego; nie przyznał się do zarzutu molestowania w 2008 r. swojej 7-letniej uczennicy. To, co wyróżnia tę sprawę, to reakcja władz zakonnych. Opactwo wydało 13 lutego obszernie wyjaśnienie. W kwietniu 2017 r. klasztor „został poinformowany, że istnieje podejrzenie”, iż o. Artur W. w przeszłości dopuścił się „molestowania seksualnego na osobie dorosłej”. Zgłaszająca to kobieta nie wniosła sprawy do prokuratury, mimo to mnicha zawieszono w obowiązkach. Przeprowadzono wewnętrzne dochodzenie (nie potwierdziło podejrzeń), a kobieta została „objęta przez opactwo opieką psychologiczną”.

O molestowaniu dziewczynki z tyńskiej podstawówki opowiedziała we wrześniu 2019 r. przełożonym o. Artura jej rodzina, trzy dni później opactwo wysłało doniesienie do prokuratury. Rodzinie „zaoferowano wszelką dostępną pomoc”,

a wobec mnicha „utrzymano ograniczenia: nie mógł przewodniczyć mszy, głosić kazań, rekolekcji, spowiadać, udzielać komunii; nie miał kontaktu z gośćmi opactwa”.

Na koniec benedyktyni zaapelowali, by do prokuratury i władz klasztornych zgłaszały się osoby wiedzące o „możliwych nadużyciach seksualnych” popełnionych przez tyńskich mnichów. Podkreślili „gotowość do wysłuchania i wspierania osób, które mogły doświadczyć jakiegokolwiek przemocy. Dobro pokrzywdzonych i ujawnienie pełnej prawdy na temat stawianych oskarżeń są dla nas najwyższym priorytetem”.

To radykalnie inny język niż powtarzane na ogół zapowiedzi obrony przez podejrzanego swojego dobrego imienia czy podkreślanie – jak po reportażu o bp. Szkodoni – że wiernym jest przykro, kiedy słyszą oskarżenia kierowane wobec swego pasterza. Benedyktyni postawili na ochronę ofiar. © TP

Niedoszły astronauta

ZMARŁ GEORGE V. COYNE, jezuita, astrofizyk, w latach 1978–2006 dyrektor Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego – niezwykle zasłużony dla dialogu nauki i teologii. Z Watykańskiego Obserwatorium uczynił instytucję liczącą się w świecie nauki. Był zaangażowany w historyczne badanie sprawy Galileusza. W 1987 r. zapoczątkował serię pięciu konferencji organizowanych przez WOA i Centrum Teologii i Nauk Przyrodniczych w Berkeley, które stały się fundamentem nowoczesnego dialogu teologii z nauką. Obecny dyrektor Watykańskiego Obserwatorium br. Guy Consolmagno mówi, że Coyne „był zaporą ogniową między pracownikami WOA a kaprysmi Watykanu. Stworzył przestrzeń, w której wszyscy



VATICAN MEDIA

moglibyśmy swobodnie uprawiać naukę”.

George Coyne urodził się w 1933 r. w Baltimore. Studiował matematykę, filozofię i teologię. Doktorat z astronomii obronił w 1962 r. na Uniwersytecie Georgetown. Świecenia kapłańskie przyjął w 1966 r. Pragnąc zostać astronautą, przeszedł pełen trening w Programie Apollo, nie poleciał jednak na Księżyc. W rozmowie z Richardem Dawkinsem w 2008 r. o. Coyne mówił, że nie czuje rozdarcia będąc księdzem i naukowcem jednocześnie. „To nie jest tak, że uprawiając naukę, trzymam się ściśle zasad metodologii, a kiedy przyjmuję Pismo Święte i Tradycję Kościoła, staję się infantylny czy pozbawiony racjonalnego myślenia i dociekliwości” – mówił. © TP ARTUR SPORNIAK

O. Coyne w „TP”: powszech.net/coyne



REMO CASILLI / REUTERS / FORUM

90-LETNI DINO IMPAGLIAZZO, najstarszy w Rzymie „szef kuchni dla ubogich”, od ponad 10 lat przygotowuje posiłki dla bezdomnych. Trzy razy w tygodniu, z pomocą wolontariuszy założonej przez siebie fundacji RomAmoR, gotuje zupę z produktów ofiarowanych mu przez właścicieli sklepów spożywczych i restauracji. Posiłki rozdaje na rzymskich dworcach i pod kolumnadą placu św. Piotra. Za działalność charytatywną został uhonorowany przez prezydenta Włoch medalem za zasługi dla Republiki. © TP EA



W COROCZNYM KONKURSIE Stowarzyszenia Fotoreporterów zwyciężył Mirosław Pieślak z Gdańska. Wśród zgłoszonych do konkursu prac znalazł się m.in. jego przejmujący czarno-biały cykl „Rybacy” (na zdj.) zrealizowany we Władysławowie. Jury wyróżniło także Beatę Zawrzel, Andrzeja Grygiela, Patryka Ogorzałka, Marka M. Berezowskiego i Adama Tuchlińskiego. © © MOC

Kantor naszych czasów

ANITA PIOTROWSKA



ULUBIENIEC MILIONÓW POLAKÓW I PREZESA Kurskiego doczekał się filmowego portretu. Nie byłoby w tym nic zdrożnego – wszak Zenek Martyniuk to społeczno-kulturowy fenomen. Od trzydziestu lat, co można uznać za symboliczne z perspektywy naszej historii najnowszej, rządzi na weselach czy festynach. Wie też o swoich rodakach coś, czego wielu z nas wolałoby nie wiedzieć.

Sęk w tym, że ta barwna skądinąd postać została opowiedziana w sposób zgrzebnny i nieciekawcy. Kiedy mowa o latach 80. i 90., „Zenek” ma jeszcze wdzięk dzinsowego mundurka-marmurka, a sam bohater, prócz fryzury „na piłkarza z NRD”, posiada szczerą twarz Jakuba Zająca w roli wschodzącej gwiazdy muzyki chodnikowej z wielokulturowego Podlasia. Film jednak przepoczwarza się w coraz bardziej kuriozalną hybrydę, łączącą historię polskiego sukcesu, reportaż *à la* telewizja discopolowa plus prząsny kryminał z fikcyjnym wątkiem porwania. Gdyby przynajmniej była w tym jakaś ironia...

Twórcami tego dzieła są Marta Hryniak (scenariusz) i Jan Hryniak (reżyseria), czyli córka i zięć Krzysztofa Kieślowskiego. Pikanterii dodaje fakt, iż reżyser „Zenka” przez kilka lat pracował nad filmem fabularnym o Tadeuszu Kantorze, z różnych powodów dotąd nieukończonym. Tymczasem telewizja publiczna w ramach misji kulturotwórczej już nie tylko lansuje króla disco polo na swojej antenie, ale angażuje się w produkcję i dystrybucję kiepskiego filmu o nim. Widać takiego Kantora Polacy dzisiaj bardziej potrzebują. ©

KULTURA W SKRÓCIE

POŻEGNANIE

Zmarł Jerzy Gruza, reżyser i scenarzysta, współtwórca najpopularniejszych polskich seriali – „Wojny domowej” (na motywach felietonów Marii Zientarowej) i „Czterdziestolatek” (razem z Krzysztofem T. Toeplitzem). „Dla mnie Czterdziestolatek był Woodym Allenem Polski lat 70. Idealista pozbawiony sprytu, trochę fajtlapa, uczciwy i naiwny marzyciel” – mówił o swoim bohaterze, Jerzym Karwowskim. Gruza miał 87 lat.



TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

CZTERDZIESTOLATEK

Po 40 latach działalności ikona polskiego rocka, zespół Perfect, przechodzi na emeryturę. Na swoim ostatnim koncercie w Warszawie Grzegorz Markowski zaśpiewał największe przeboje grupy, m.in. „Kotysankę dla nieznajomej”, „Autobiografię”, „Ale wkoło jest wesoło” i „Chcemy być sobą”. Ostatni występ planowany jest na początek wakacji. Perfect zagra wtedy w Gdańsku.

W KOTKA I MYSZKĘ

Tom i Jerry, bohaterowie amerykańskiej kreskówki duetu Hanna-Barbera, skończyli właśnie 80 lat. Dotąd wystąpili dokładnie w 163 odcinkach serialu, nakręcili o swojej nietatwej relacji kilka filmów, wydawali komiksy, książki, a nawet wyprodukowali musical. Są również zdobywcami siedmiu Oscarów. W okolicach świąt Bożego Narodzenia do kin trafi nowy pełnometrażowy film o przygodach kota i myszy.

Komu dotacje, komu

TOMASZ FIAŁKOWSKI



CÓŻ – ZNOWU SIĘ NIE SPRAWDZILIŚMY. Ekspertsi Instytutu Książki oraz Ministerstwa Kultury zmuszeni byli (zapewne z bólem) odmówić dotacji naszym „Książkom w Tygodniku”. I znów znaleźliśmy się w niezłym towarzystwie, jak internetowy „Dwutygodnik”, „Krytyka Polityczna” czy „Pismo”. Tyle o nas – nie będziemy przecież sędziami we własnej sprawie.

Jak z innymi? Cieszą dotacje dla „Znaku”, „W drodze”, „Tekstów Drugich” czy teatralnych „Didaskaliów”. Rekordową sumę blisko 100 tys. złotych otrzyma kwartalnik „Kronos” (zasłużony „Pamiętnik Literacki”, też kwartalnik, niewiele ponad 30 tys.). Periodyk o intrygującym tytule „Wpis – Wiara, Patriotyzm, Sztuka” (wydawcą jest Biały Kruk) oraz „Kurier Wnet” (papierowy organ Krzysztofa Skowrońskiego) – ponad 80 tys., kwartalnik o żołnierzach wyklętych niemal tyle samo.

© ©

Plaster dla cukrzyków

425 MILIONÓW LUDZI NA ŚWIECIE – w tym ponad 2,1 mln Polaków – choruje na cukrzycę. Najczęstszą jej odmianą jest tzw. cukrzyca typu 2, w której narządy przestają być wrażliwe na insulinę (hormon odpowiedzialny za rozkład glukozy we krwi) lub wydzielanie jej jest zaburzone, co powoduje szereg problemów zdrowotnych. Leczenie wiąże się ze stosowaniem odpowiedniego trybu życia oraz podawaniem zastrzyków z insuliną lub leków stymulujących jej produkcję. Nie jest to zbyt komfortowe, ponieważ zastrzyki i leki muszą być przyjmowane codziennie, a pacjenci sami muszą mierzyć poziom glukozy i wydzielać odpowiednie dawki.

Jicheng Yu i współpracownicy przedstawili w „Nature Biomedical Engineering” rozwiązanie, które może ułatwić życie cukrzykom. Stworzyli stosunkowo proste urządzenie przypominające niewielki plaster, które posiada polimerowe mikroigły (długości połowy milimetra) z insuliną. Wbite w skórę, działają jak sensory glukozy – i powodują automatyczne wydzielanie insuliny w zależności od potrzeb. Urządzenie na razie przetestowano na zwierzętach. W eksperymencie pojedynczy plaster działał poprawnie przez ponad 20 godzin.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK



Biskup Jan Szokoń podczas procesji ku czci św. Stanisława, Kraków, maj 2013 r.

TEST PRAWDY

Czy to możliwe, żeby cichy, rozmodlony hierarcha
odbywał „lekcje czułości” z piętnastolatką?

Niestety, to możliwe.

ZBIGNIEW NOSOWSKI

PO RAZ PIERWSZY W POLSCE URZĘDUJĄcego biskupa oskarżono o molestowanie seksualne osoby małoletniej. Ks. Jan Szkołoń, którego dotyczy zarzut, jest biskupem pomocniczym krakowskim od 1988 r., a sprawa dotyczy okresu, w którym już pełnił tę funkcję. Oskarżająca go pani Monika (imię zmienione), bohaterka opublikowanego przez „Gazetę Wyborczą” reportażu Marcina Wójcika, miała wówczas 15 lat.

Publikacja tekstu „Zły dotyk biskupa z Krakowa” była szokiem także dla mnie. Ze względu na moje zaangażowania słyszę nieraz rozmaite kościelne plotki: że o kimś ważnym mówi się to i owo. Najczęściej nie sposób tego zweryfikować – chyba że podejmie się długotrwałe śledztwo dziennikarskie. Ale w przypadku bp. Szkołonia o niczym nie słyszałem – ani ja, ani inne osoby uchodzące w polskim Kościele za „dobrze poinformowane”. Krążyły raczej opinie takie jak wyrażona przez ojca oskarżającej go kobiety: „Nie dbał o swoje. Cichy, skromny, życzliwy, rozmodlony”.

Przekraczanie granic

Czy to możliwe, żeby cichy, rozmodlony hierarcha przerabiał własne „lekcje czułości” z piętnastolatka? Niestety, to możliwe.

Znane są przypadki kapłanów autentycznie uduchowionych, wręcz nauczycieli duchowości, którzy potrafili perfidnie wykorzystywać seksualnie swoich uczniów. Tak było w przypadku francuskich dominikanów, braci Marie-Dominique’a i Thomasa Philippe’a, tworzących na dodatek pseudomistyczne uzasadnienia seksu oralnego z kobietami, dla których byli kierownikami duchowymi. W Polsce ks. Walerian S., wybitny profesor teologii duchowości z KUL, musiał po wyroku sądowym przeprosić mężczyznę, którego wykorzystywał, „za naruszenie jego dóbr osobistych w postaci godności oraz nietykalności cielesnej, które nastąpiło w latach 1986–1994” (przedawnienie uniemożliwiało inną karę niż przeprosiny).

Znane są też sytuacje, gdy kościelny hierarcha pozostawał kompletnie niedojrzały w rozwoju psychoseksualnym, nie potrafiąc obiektywnie ocenić znaczenia i szkodliwości swoich czynów – subiektywnie za „niewinne” przejawy czułości uznawał działania, które przekraczały zarówno granice intymności osoby, wobec której były podejmowane, jak i granice

moralności, a niekiedy również prawa. Tak było z abp. Juliuszem Paetzem i jego postawą wobec podlegających mu (dorośłych) kleryków.

Determinacja czy zemsta?

Ale przecież może być też odwrotnie. Możliwe, że – jak twierdzi bp Szkołoń, zapowiadając walkę w obronie swojego dobrego imienia – oskarżenie pani Moniki jest bezzasadne. Nie znając faktów ani szczegółowej opowieści obu stron nie sposób stwierdzić, kto ma rację: można analizować jedynie formalne przesłanki wiarygodności zarzutów.

Przypomnijmy: oskarżenie zostało przez panią Monikę zgłoszone w maju 2019 r. w warszawskiej nuncjaturze apostolskiej, a pod koniec sierpnia – w krakowskiej prokuraturze. W grudniu postępowanie prokuratorskie zostało umorzono ze względu na przedawnienie, a na początku 2020 r. odbyło się wysłuchanie osoby zgłaszającej w ramach dochodzenia kościelnego (bardziej szczegółowo ten rozwój wypadków przedstawiam w dołączonym do tekstu kalendarium).

Wszystko to świadczy o determinacji kobiety. Do złożenia zgłoszenia miał ją zachęcać terapeuta, który zapowiadał, że jeśli ona tego nie zrobi – obowiązek ciąży na nim jako osobie, która dowiedziała się o przestępstwie. Kobieta była więc świadoma sensu swoich działań. Wiedziała również, że kuria krakowska nie byłaby w tym przypadku organem odpowiedzialnym, gdyż jej moderatorem jest właśnie bp Szkołoń.

Reportaż „Gazety Wyborczej” opublikowano mniej więcej dziewięć miesięcy po złożeniu informacji w nuncjaturze. Ta sekwencja czasowa pokazuje więc, że po stronie pani Moniki nie mamy do czynienia z pospiesznym poszukiwaniem sensacji. Wydaje się to zgodne ze sposobem działania osób, które po latach uświadomiły sobie, że doznały głębokiej krzywdy (w przypadku pani Moniki impulsem miało być obejrzenie filmu „Kler”), więc – w celach zarówno terapeutycznych, jak i dla dobra innych – konsekwentnie dążą do tego, by sprawiedliwości stało się zadość. Przede wszystkim, żeby zło zostało nazwane złem.

Bp Szkołoń w reportażu Marcina Wójcika przedstawia inną interpretację działań pani Moniki. Jego zdaniem kobiecie chodzi o zemstę za to, że nie pochwalił jej decyzji o rozwodzie. Teoretycznie jest to

możliwe, wydaje się jednak mało prawdopodobne. Owszem: nienawiść i pragnienie zemsty potrafią być motorem ludzkiej aktywności, w tym przypadku trzeba by jednak chyba dodatkowej ideologicznej zapiekłości wobec Kościoła, żeby tak konsekwentnie dążyć do – jakoby zakłamanego – celu. A w wypowiedziach bohaterki reportażu nie ma śladu ideologicznej motywacji.

Piszcie na Watykan

„Kiedyś Kościół w Polsce był postrzegany jako przestrzeń autentycznej wolności. Dziś może być przestrzenią prawdy, która niesie wolność” – mówił niedawno abp Marek Jędraszewski. Kierowana przez niego archidiecezja staje obecnie przed trudnym testem prawdy. Podobnego „testu prawdy”, dodajmy, obecny metropolita krakowski nie zdał w Poznaniu i później – ani razu w swoich licznych wypowiedziach publicznych nie odnosząc się do kwestii zarzutów wobec abp. Paetza i do swojej ówczesnej niechlubnej roli jako biskupa pomocniczego.

Z publikowanego obok kalendarium wynika, że informacja o postawieniu zarzutów biskupowi pomocniczemu musiała dotrzeć do metropolity krakowskiego nie później niż 24 stycznia 2020 r., bezpośrednio po wizycie bp. Szkołonia w nuncjaturze. W kręgach kurialnych nie mógł być już wtedy tajemnicą także fakt, że „Gazeta Wyborcza” przygotowuje artykuł (skoro temat ten był wręcz przedmiotem rozmowy po przesłuchaniu w nuncjaturze 23 stycznia).

Oznacza to, że archidiecezja miała co najmniej dwa i pół tygodnia, żeby przygotować odpowiednie komunikaty i wyjaśnienia. Tymczasem ograniczono się do wysłania bp. Szkołonia za granicę i opublikowania jego oświadczenia.

Milczenie bywa złotem, ale czasem jest raczej chowaniem głowy w piasek – za co płaci się wysoką cenę. Co gorsza, dyrektor biura prasowego archidiecezji ks. Łukasz Michalczewski podał mediom informację, która nie może być prawdziwa – skoro bowiem o zarzutach wobec bp. Szkołonia dowiedział się 24 stycznia delegat KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży, to tym bardziej musiał o nich wiedzieć abp Jędraszewski.

„Archidiecezja krakowska nie zna treści oskarżeń stawianych biskupowi Janowi Szkołoniowi. Wykonujemy wszystkie polecenia otrzymane ➔

2019

27 MAJA

do nuncjatury apostolskiej w Warszawie trafia pismo zaadresowane do papieża Franciszka z korespondencją zawierającą świadectwo (po polsku i włosku) pokrzywdzonej kobiety (dalej określam ją jako panią Monikę, zgodnie z konwencją przyjętą w reportażu Marcina Wójcika);

30 MAJA

nuncjatura informuje pełnomocnika pani Moniki, że korespondencja została przekazana pocztą dyplomatyczną do adresata w dniu jej otrzymania;

27 SIERPNIA

do krakowskiej prokuratury rejonowej trafia zawiadomienie o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa na szkodę pani Moniki przez bp. Szkodonia;

10 WRZEŚNIA

prokuratura wszczyna dochodzenie w sprawie doprowadzenia małoletniej „do wielokrotnego poddania się lub wykonania bliżej nieustalonej do chwili obecnej czynności seksualnej, nadużywając stosunek zależności”, tj. o przestępstwo z art. 199 par. 2 Kodeksu karnego;

11 WRZEŚNIA

prokuratura zawiadamia panią Monikę o wszczęciu dochodzenia;

WRZESIEŃ

rozpoczęcie dochodzenia wstępnego w Kongregacji Nauki Wiary (pani Monika otrzymuje tę informację dopiero w połowie stycznia 2020 r.);

1 PAŹDZIERNIKA

przesłuchanie pani Moniki jako świadka w krakowskim sądzie rejonowym, z udziałem m.in. prokuratora, sędziego i biegłego psychologa;



MARCIN OBARA / PAP

→ z Watykanu. Ufamy w pełni procedurom wszczętym przez Kongregację Nauki Wiary i oczekujemy szybkiego poznania prawdy w duchu nauczania papieża Franciszka” – informuje ks. Michalczewski. Najwyraźniej przy Franciszkańskiej zapadła decyzja: całą odpowiedzialność przeliczamy na Watykan.

Formalnie takie podejście ma oczywiście uzasadnienie, bo to tylko papież, a nie metropolita krakowski, jest władny podjąć decyzje dotyczące biskupa pomocniczego. Również merytorycznie, jak pokażę niżej, jest za co winić również struktury watykańskie. Ale chowanie się za plecami Watykanu może nie wystarczyć, gdy sprawę przyjdzie rozliczać także na własnym podwórku.

Znając podobne przypadki, nie można przecież wykluczyć, że pojawiają się inne osoby, które złożą zeznania o niewłaściwych zachowaniach bp. Szkodonia. Gdyby zaś okazało się, że oskarżenia są prawdziwe, a były zgłaszane komuś wcześniej w Krakowie, trzeba będzie szukać odpowiedzi na kilka fundamentalnych pytań. Kiedy pojawiły się pierwsze informacje? Kto z duchownych miał uzasadnione powody, by sądzić, że mogło zostać popełnione przestępstwo? Czy kolejni metropolici krakowscy (także kard. Franciszek Macharski i kard. Stanisław Dziwisz) wiedzieli o podejrzeniach dotyczących swojego biskupa pomocniczego? A jeśli wiedzieli, jakie działania podjęli w tej sprawie?

Milczenie kurii krakowskiej jest elementem obnażającym – znany skądinąd nie od dziś – brak jakiegokolwiek polityki informacyjnej w polskim Kościele. Oto bowiem wszystko, co ma do powiedzenia dziennikarzom rzecznik Konferencji Episkopatu Polski, sprowadza się do słów: „Proszę zadawać te pytania w archi-

ABP SALVATORE PENNACCHIO

NUNCJUSZ APOSTOLSKI W POLSCE:

Nuncjatura nie jest stroną tego postępowania i podejmuje działania wyłącznie w ramach zaleceń przekazanych przez Stolicę Apostolską (...) Doniesienia medialne w tego rodzaju wrażliwych sprawach wywołują ogromne emocje społeczne, które znacząco mogą utrudnić postępowanie mające na celu ustalenie prawdy. Trzeba przy tym wyraźnie zaznaczyć, iż w tej sprawie nie zapadł do tej pory żaden wyrok sądu powszechnego.

diecezji krakowskiej”. Wszystko natomiast, co ma do powiedzenia archidiecezja krakowska, to odesłanie pytających do Watykanu. We współczesnym świecie instytucja, która w taki sposób komunikuje się z opinią publiczną, kompromituje się totalnie.

Prokuratura szybsza niż Kongregacja

Publikowane obok kalendarium każe myśleć pesymistycznie o tym, jak ze sprawami wykorzystania seksualnego radzi sobie Kościół powszechny.

Po pierwsze, przykuwa uwagę niezwykle długi – zważywszy rangę sprawy – okres pomiędzy złożeniem zawiadomienia w nuncjaturze i natychmiastowym przekazaniem sprawy do Watykanu (27 maja) a podjęciem w Kongregacji Nauki Wiary decyzji o konieczności przesłuchania osoby zgłaszającej swoją krzywdę (16 grudnia). Powiedzmy wprost: jest to okres skandalicznie długi.

Wiadomo, że liczba spraw dotyczących wykorzystywania seksualnego osób małoletnich przez duchownych rośnie w Kongregacji lawinowo (ostatnio pojawiła się informacja o około tysiącu przypadków rocznie, z całego świata). Brakuje pracowników do zajmowania się tyloma sprawami. Wniosków z Polski przybywa, a do niedawna tylko jedna osoba w Kongregacji znała nasz język. Rozpatrywanie wniosków składanych przez polskie diecezje i zakony trwa wiele miesięcy. To wyjaśnia sytuację, ale jej nie usprawiedliwia. Nic przede wszystkim nie tłumaczy faktu, że pracownicy watykańskiego urzędu nie potrafili nadać priorytetowego charakteru pierwszej polskiej sprawie, w której oskarżony został urzędujący biskup.

Po drugie, na tym tle uderzająco pozytywna jest ocena działań krakowskiej

KS. JOHN KENNEDY

SEKCJA DYSCYPLINARNA
KONGREGACJI NAUKI WIARY:
Gdybym skłoniwał moich urzędników
i kazał im pracować na trzy zmiany
albo siedem dni w tygodniu, może
zrobiliby krok do przodu (...) W tej
chwili przeżywamy prawdziwe
tsunami, jeśli chodzi o ilość spraw,
zwłaszcza z krajów, o których
wcześniej w ogóle nie słyszeliśmy.



prokuratury. Dochodzenie wszczęto szybko, prowadzono sprawnie i mądrze (np. zdecydowano się na formę przesłuchania z udziałem sądu, co umożliwia jednokrotne, a nie wielokrotne składanie zeznań przez osobę pokrzywdzoną). Powstała obszerna opinia psychologiczna dotycząca pani Moniki. W ciągu czterech miesięcy zapadła ostateczna decyzja prokuratury – a ze względu na istniejący w polskim prawie okres przedawnienia nie mogła ona być inna.

Po trzecie, zwraca uwagę kolejność działań podejmowanych przez panią Monikę – najpierw skierowała pismo do nuncjatury, dopiero trzy miesiące później do prokuratury, a za kolejne kilka miesięcy zwróciła się do „Gazety Wyborczej” (szukała też pomocy u znanego krakowskiego duchownego, ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego). Postawiłbym wręcz hipotezę, że gdyby reakcja Watykanu była odpowiednio szybka, sprawa w ogóle nie trafiłaby do prokuratury, a tym bardziej do mediów. Pani Monika dała instytucjom kościelnym szansę wzorcowego i szybkiego wyjaśnienia sprawy na gruncie kanonicznym, z czego jednak watykańscy urzędnicy nie skorzystali.

Młyny miały zbyt powoli

Wniosek z tego taki, że wszelkie kościelne przeprosiny, huczne bicia się w piersi i gromkie deklaracje poprawy zdadzą się psu na budę, jeśli nie nastąpi zmiana czysto biurokratyczna. Cóż z papieskich deklaracji, że troska o pokrzywdzonych jest priorytetem Kościoła, skoro tempo załatwiania spraw w Kongregacji Nauki Wiary może być przez tychże pokrzywdzonych uznawane za wręcz obstrukcyjne?

Jest jeszcze ważniejszy aspekt sprawy: systemowe nieinformowanie osoby zgła-

szającej swoją krzywdę nawet o wszczęciu dochodzenia, a tym bardziej o jego przebiegu. Choć Kongregacja wszczęła wstępne dochodzenie kanoniczne we wrześniu 2019 r., aż do połowy stycznia 2020 r. pani Monika nie otrzymała na ten temat jakiegokolwiek informacji. Dopiero gdy wreszcie – po trzech miesiącach prowadzenia dochodzenia, a po siedmiu miesiącach od złożenia zawiadomienia! – postanowiono ją przesłuchać, dotarła do niej pierwsza reakcja z Watykanu. I jak tu nie stracić wiary przez te długie niemal osiem miesięcy? Ja bym pewnie stracił, pani Monika jednak nie...

Warto jeszcze wyjaśnić jedną kwestię. Z dostępnych mi informacji wynika, że zaproszenie na wysłuchanie zostało wysłane z nuncjatury do pani Moniki dwa dni po rozmowie dziennikarza „Gazety Wyborczej” z biskupem Szkodoniem. Niektórzy mogą z tego wyciągać wniosek, że pismo nuncjatury było reakcją na ujawnienie przez Wójcika zamiaru przygotowania reportażu. Moim zdaniem jednak decyzje Kongregacji, jakie przywołuje nuncjatura w liście z 10 stycznia 2020 r., zapadły wcześniej. Nuncjatura powołuje się na postanowienie Kongregacji o wysłuchaniu pani Moniki z 16 grudnia 2019 r., a – wzięwszy pod uwagę długi okres świąteczny – wierzę, że dopiero „po Trzech Króli” zajęto się w nuncjaturze tą sprawą. Nie węszyłbym tu więc nerwowej reakcji na zapowiedź publikacji. To raczej kolejny przykład, że młyny kościelne miały powoli. Zdecydowanie zbyt powoli.

Obowiązek milczenia?

Reportaż „Gazety Wyborczej” nasuwa wątpliwość również co do rzetelności dochodzenia prowadzonego przez Kongregację. Marcin Wójcik pisze, że podczas wysłuchania w nuncjaturze pani Monika

GRUDZIEŃ

pani Monika rozmawia o swojej krzywdzie z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim;

16 GRUDNIA

Kongregacja Nauki Wiary podejmuje decyzję o konieczności wysłuchania pani Moniki celem ustalenia szczegółów dotyczących zarzucanych czynów przestępczych oraz precyzyjnych dat i okresów, w których miało dojść do molestowania seksualnego (pani Monika otrzymuje tę informację dopiero w połowie stycznia 2020 r.);

27 GRUDNIA

decyzja prokuratury o umorzeniu dochodzenia ze względu na przedawnienie karalności czynu;

2020**8 STYCZNIA**

Marcin Wójcik z „Gazety Wyborczej” rozmawia z bp. Szkodoniem w krakowskiej kurii archidiecezjalnej;

10 STYCZNIA

nuncjatura wysyła pismo informujące o wszczęciu dochodzenia wstępnego i zapraszające panią Monikę na wysłuchanie, z przywołaniem wcześniejszych decyzji Kongregacji Nauki Wiary;

19 STYCZNIA

ostatnie wystąpienie publiczne bp. Szkodonia: centralne nabożeństwo ekumeniczne podczas Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijań w Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie;

23 STYCZNIA

wysłuchanie pani Moniki w warszawskiej nuncjaturze apostolskiej (w tym: przekazanie do akt dochodzenia kanonicznego protokołu z przesłuchania z krakowskiego sądu rejonowego); udział wzięli: pani Monika z pełnomocnikiem oraz czterech uczestników postępowania delegowanych przez nuncjusza apostolskiego: trzech duchownych i prawnik świecki;

24 STYCZNIA

bp Szkodoń stawia się na wezwanie w nuncjaturze apostolskiej; nuncjusz informuje go o wszczęciu wobec niego postępowania i nałożeniu ograniczeń;
bp Szkodoń informuje o postawieniu mu zarzutów abp. Wojciecha Polaka, delegata Konferencji Episkopatu Polski ds. ochrony dzieci i młodzieży;

7 LUTEGO

„Gazeta Wyborcza” zapowiada publikację reportażu Marcina Wójcika „Zły dotyk biskupa z Krakowa” (nie podaje nazwiska hierarchy, ale też nie utrudnia jego identyfikacji);

9 LUTEGO

dyrektor biura prasowego archidiecezji krakowskiej ks. Łukasz Michalczewski informuje PAP, że „bp Jan Szkodoń przebywa poza archidiecezją krakowską. Powodem są wysuwane wobec niego oskarżenia”; duchowny twierdzi również: „Archidiecezja krakowska nie zna treści oskarżeń stawianych biskupowi”;
bp Jan Szkodoń publikuje oświadczenie, w którym zaprzecza stawianym zarzutom;

10 LUTEGO

publikacja reportażu Marcina Wójcika w „Gazecie Wyborczej”;



JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

11 LUTEGO

oświadczenie wydaje kard. Stanisław Dziwisz; emerytowany metropolita krakowski stwierdza, że „zarzuty boleśnie dotknęły wiele osób, dla których Biskup Jan jest autorytetem, ojcem i przyjacielem. Wszyscy oczekujemy, że zostaną one rzetelnie i szybko wyjaśnione”.

→ miała usłyszeć od członków komisji sugestię, „że do czasu wyroku powinna milczeć”. Takie zalecenie jest sprzeczne z kościelnymi przepisami, które przewidują m.in.: „Osobie składającej zawiadomienie nie można narzucać żadnego obowiązku milczenia w stosunku do treści tegoż zawiadomienia” (*motu proprio* „Vos estis lux mundi”, art. 4 par. 3).

Mało tego: moim zdaniem zalecanie osobie pokrzywdzonej milczenia może samo stać się powodem zaskarżenia. Przecież według cytowanego *motu proprio* zaskarżeniu podlegają wszelkie „działania lub zaniechania, mające na celu zakłócenie lub uniknięcie dochodzeń cywilnych lub kanonicznych, administracyjnych lub karnych, przeciwko duchownemu lub zakonnikowi w związku z przestępstwami” wykorzystania seksualnego (art. 1 par. 1b).

Wyjaśnienie sprawy bp. Szkodonia powinno więc objąć również kwestię milczenia, które miało otaczać tę sprawę w Kościele. Czy ktoś takie milczenie nakazywał lub sugerował? Czy bez zapowiedzi publikacji w „Gazecie Wyborczej” doszłoby do przyspieszenia, z jakim mamy do czynienia w ostatnich tygodniach?

Dobrze poinformowane źródła z archidiecezji krakowskiej twierdzą, że bp Szkodoń w 2020 r. przestał podejmować działania o charakterze duszpasterskim. Być może więc zapadła decyzja o wycofaniu go z posługi. Musiało się to stać w drugiej połowie stycznia. Jeszcze 19 stycznia 2020 r. biskup współprzewodniczył centralnemu nabożeństwu ekumenicznemu w ramach Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan, odprawionemu w Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie.

Jest więc co wyjaśniać. Jeśli Kościół ma rzeczywiście być, według abp. Jędraszewskiego, „przestrzenią prawdy, która nie sie wolność”, pora na poważne potraktowanie wymagań prawdy. Dokładnie przed rokiem odbył się watykański szczyt przewodniczących krajowych konferencji episkopatów, na którym metropolita krakowski reprezentował Episkopat Polski. Popłynął z tego spotkania gorący apel o Kościół rozliczalny i przejrzysty. Oby słowo o rozliczalności i przejrzystości Kościoła stało się ciałem także w Polsce.

Dojrzałość biskupa

Na dziś najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, że do czynów opisanych w tekście Marcina Wójcika doszło, ale biskup może subiektywnie trwać w przekonaniu,

że nie uczynił nic złego. Wyrazem niedojrzałości bp. Szkodonia wydają się jego wypowiedzi w reportażu, m.in.: „Gładź mnie po głowie i mów do mnie Jasiu, jak robiła to moja mama” czy „pogłaskałem ją po ręce lub ramieniu, może pocałowałem w policzek, ale to nie miało charakteru seksualnego”. Byłby to zatem kolejny przypadek zaburzonego postrzegania rzeczywistości przez człowieka, którego powołaniem i profesją było uwrażliwianie innych na drobne nawet przejawy zła.

Umacniają mnie w tym przekonaniu opinie biegłego psychologa i prokuratury. Postępowanie umorzono ze względu na przedawnienie, jednak w uzasadnieniu decyzji prokurator Małgorzaty Pogódź czytamy: „Podkreślić należy, iż zgromadzony dotychczas materiał dowodowy wskazuje na wysokie prawdopodobieństwo popełnienia czynu objętego dochodzeniem, w kształcie i przebiegu opisywanym przez pokrzywdzoną”.

Biegła psycholog napisała natomiast: „Ani sama opiniowana, ani jej rodzina nie zauważyli, że jej relacja z księdzem ulega seksualizacji. Z drugiej zaś strony ksiądz sakralizował to, co się działo między nimi. Podkreślał, że opiniowana jest dla niego prezentem od Boga, który chciałby go nauczyć czułości. Powyższe powodowało, że w badanej narastał dyskomfort i próbowała unikać spotkań z księdzem, często jednak bezskutecznie. Relacja z osobą duchowną, w której funkcjonowała przez dłuższy czas, była relacją głębokiej zależności i nadmiernego uwikłania. (...) Nie stwierdzono u opiniowanej podczas badania psychologicznego skłonności do konfabulacji w rozumieniu klinicznym, w których podstawą są jakościowe zaburzenia pamięci, wspomnienia rzekome”.

W sprawie bp. Szkodonia nie chodzi jednak o przekonania katolickiego publicysty. Zgodnie z prawem tylko Kongregacja Nauki Wiary może się obecnie podjąć oceny prawdziwości zarzutów. Pozostaje wierzyć, że prowadzone przez nią dochodzenie będzie teraz prowadzone wnikliwie i szybko, a jego konkluzja – przejrzysta i wiarygodna. Ta sprawa nie może się skończyć niewiadomą albo przypuszczeniami. Albo „zły dotyk biskupa z Krakowa” miał miejsce, albo nie.

© ZBIGNIEW NOSOWSKI

Powyższy tekst jest lekko zmienioną wersją dwóch artykułów opublikowanych w serwisie internetowym Więź.pl.

Pytano nas, czy walczymy z Kościołem

BARBARA SMOLIŃSKA, WSPÓŁINICJATORKA „ZRANIONYCH W KOŚCIELE”:

Osoby korzystające z telefonu zaufania dla wykorzystanych seksualnie przez duchownych często zaczynają swoją historię od słów: „Pani na pewno mi nie uwierzy”.

ANNA GOC: Czytała Pani komentarze pod reportażem „Gazety Wyborczej” o biskupie Janie Szkodoni, który miał wykorzystywać seksualnie nastolatkę?

BARBARA SMOLIŃSKA: Nie.

Są głosy złości i oburzenia, ale i takie, w których przerzuca się winę na skrzywdzoną. „Czemu na policję nie poszła?”, „W jaki sposób ta dziewczyna została wychowana, że została zupełnie bezwolną i głupią istotą?”. Jak takie reakcje wpływają na skrzywdzonych?

W telefonie zaufania „Zranieni w Kościele”, który jako świeccy prowadzimy już od blisko roku, słysząc, jak bardzo jako społeczeństwo nie jesteśmy gotowi na rozmowę o wykorzystaniu seksualnym przez duchownych. Osoby, które decydują się ujawnić swoją historię, zmagają się z ogromnym lękiem. Nawet te, które dzwonią anonimowo, zaczynają swoją opowieść od pytania: „Czy pani mi wierzy?”. Niektóre od razu mówią: „Pani na pewno mi nie uwierzy”. Są przyzwyczajone, że im się nie ufa – i że tak będzie zawsze.

Próbowały wcześniej komuś powiedzieć?

Bardzo różnie. Wielu dzwoniących opowiada swoją historię pierwszy raz. Niektórzy podkreślają, że nawet współmałżonek nie wie. To zwykle kobiety, dziś w średnim wieku. Wracają do wydarzeń sprzed trzydziestu, czterdziestu lat. Bywa, że ksiądz już nie żyje. A one zostały ze swoją krzywdą jak z największą tajemnicą – zamknięte. Chcą zrzucić ten ciężar. Ich doświadczenia są zróżnicowane. Od sytuacji jednorazowych do trwających latami.

W tym, o co pytają podczas rozmów z konsultantkami, ujawnia się nastawienie społeczne wobec kwestii wykorzystywania seksualnego przez duchownych. Skrzywdzeni zastanawiają się na przykład, czy przekroczenie granic cielesności, całowanie, dotykanie miejsc intymnych to już jest wykorzystanie seksualne. Dzieje się tak dlatego, że tego rodzaju czyny są często bagatelizowane, bo przecież nie doszło do stosunku seksualnego.

Opowiedziane w mediach historie pomagają w tym pierwszym kroku?

Dzwoniący nie odnoszą się do nich wprost. Ale podczas pierwszego dyżuru po premierze filmu „Tylko nie mów nikomu” braci Sekielskich nasz telefon dzwonił cały czas. Widać, jak to zachęca, dodaje odwagi, żeby o siebie zaważać.

Jedna z dzwoniących osób przyznała, że czytając artykuł o wykorzystaniu seksualnym przez duchownego uświadomiła sobie, że też została wykorzystana przez księdza. To wydarzyło się przed trzydziestu laty i zostało przez nią zupełnie wyrzucone z pamięci. Dopiero ten tekst „odbezpieczył” jej pamięć.

Niektórzy mówią, że wiele lat temu szukali pomocy w Kościele, ale jej nie znaleźli. Starali się więc zapomnieć, jakoś z tym żyć. Pamiętam jedną z takich rozmów: osoba wykorzystana seksualnie przez księdza powiedziała o tym innemu księdzu podczas spowiedzi. Usłyszała: „Wybacz, zapomnij. I nie mów nikomu”.

Nie przestaje mnie zaskakiwać, że ogromna większość osób skrzywdzonych przez duchownych nie odeszła z Kościoła. Niektóre z nich, zanim opowiedziały nam o tym, co się wydarzyło, pytały, czy nie założyliśmy naszego telefonu, żeby walczyć z Kościołem...

Czy dzwoniący mówią o tym, jak działa system powiadamiania o wykorzystywaniu seksualnym w Kościele?

Ten wątek nie pojawia się zbyt często. Myślę jednak, że dzieje się tak nie dlatego, że wszystko działa dobrze, lecz dlatego, że skrzywdzeni często nie próbują z tej pomocy korzystać – bo zwykle o niej nie wiedzą. Bardzo rzadko ktoś mówi, że zgłosił sprawę kurii. Większość nie wie, że kuria po zgłoszeniu ma obowiązek zająć się ich sprawą.

Jak dużo to osób?

Dyżurujemy przy telefonie w każdy wtorek między 19.00 a 22.00. Od marca zeszłego roku zadzwoniło do nas około stu osób. Opowiedziane przez nich zdarzenia w większości nigdzie nie zostały zgłoszone ani nikomu wcześniej opowiedziane.

A więc i nie zostały ujęte w danych, które w 2019 r. zaprezentowali biskupi podczas konferencji prasowej dotyczącej wykorzystywania seksualnego dzieci w Kościele.

Tak. Można się spodziewać, że ta liczba jest dużo większa. Nie jest łatwo dotrzeć do parafii z informacją, że uruchomiliśmy specjalny telefon dla osób wykorzystanych seksualnie w Kościele. Marzy nam się, aby móc powiesić plakaty z informacją w każdym kościele. Ale to nie takie proste. Na razie nie udało nam się tego zrealizować.

Dlaczego?

Mogę tylko powiedzieć, że na razie się nie udało.

Poprosili Państwo Kościół o pomoc z dotarciem z tą informacją do wszystkich parafii?

To delikatna sprawa. Od początku informujemy biskupów o naszym telefonie i potrzebie dotarcia z informacją o tej inicjatywie do jak największej liczby osób. Na stronach internetowych nielicznych diecezji umieszczony został numer naszego telefonu. Na razie jednak żadna z diecezji nie zaleciła rozwieszenia plakatu w należących do niej parafiach. Tam, gdzie ktoś z naszego ośmioosobowego zespołu ma znajomego księdza, plakat wisi.

Jak ocenia Pani pomoc, którą oferuje Kościół osobom wykorzystanym seksualnie przez księży?



→ Kiedy rok temu intensywniej zaczęto mówić o wykorzystywaniu seksualnym w Kościele w Polsce, odnosiłam wrażenie, że w hierarchach większe przerażenie wzbudza skandal z tym związany niż cierpienie skrzywdzonych. Ujawniane tragedie oraz świadomość, że wiele osób w samotności zmagają się ze swoją traumą, sprawiły, że w niewielkiej grupie postanowiliśmy coś zrobić, aby przyjść im z pomocą. Dzięki ogromnej pomocy merytorycznej Centrum Ochrony Dziecka oraz Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę uruchomiliśmy telefon wsparcia. Jeśli chodzi o pomoc ze strony Kościoła instytucjonalnego, na pewno jest ważne, że w każdej diecezji działają delegaci ds. ochrony dzieci i młodzieży.

Są nimi mężczyźni, zwykle bez wykształcenia psychologicznego.

Zwracaliśmy na to uwagę biskupom. Już samo spotkanie osoby wykorzystanej seksualnie przez duchownego z delegatem, którym jest ksiądz, jest zazwyczaj bardzo trudne. A co dopiero, kiedy trzeba opowiedzieć o swojej krzywdzie, której sprawcą był ksiądz. Dlatego w naszym telefonie pracują kobiety – psychoterapeutki.

I co biskupi na to?

Raczej nie traktują nas jak ekspertów w tej sprawie. Nie proszą o rady, nie pytają.

Jak reagują skrzywdzeni na możliwość zgłoszenia ich sprawy do kurii?

Część z nich jest zaskoczona, że można to zrobić. Proponujemy im towarzyszenie podczas zgłoszenia, informujemy, że na spotkanie z delegatem mogą pójść ze wspierającą osobą. To ważne, że w kontakcie z kuria może pomóc ekspert, a nie jedynie na przykład ktoś z rodziny, zaangażowany emocjonalnie w sprawę. Często jest to prawnik. Mamy grupę kompetentnych prawników, którzy pracują dla nas *pro bono*. Dysponujemy również kontaktami do psychoterapeutów z całej Polski. Jeśli więc ktoś rozważa terapię, podpowiadamy, gdzie warto pójść. A także, że o pieniądze na terapię można ubiegać się w kurii.

Dostają je?

Coraz częściej, bo Kościół nie ma wyjścia.



PRACOWNIADIALOGU.PL

Nie spotkałam się z sytuacją, żeby którykolwiek sprawca przeprosił swoją ofiarę.

Pod warunkiem, że sprawca zostanie nazwany przez Kościół sprawcą, a osoba wykorzystana seksualnie – ofiarą, co nie jest takie oczywiste zwłaszcza w sytuacji, gdy ten pierwszy nie żyje... Jakie wątki pojawiają się w terapii?

W moim wieloletnim doświadczeniu pracy psychoterapeutki nie zdarzyło się, by ktoś powiedział, że zgłasza się na terapię, ponieważ był wykorzystany seksualnie. Przychodzi, bo cierpi. Dopiero po jakimś czasie, nieraz po kilku latach, kiedy więź z terapeutą jest już silna i pacjent ma poczucie bezpieczeństwa, nieoczekiwanie wychodzi na jaw, że był molestowany.

Ludzie to wypierają. A jeśli pamiętają, często nie łączą tego, co się kiedyś stało, ze swoim cierpieniem w dorosłym życiu, z objawami, które mają. Nierzadko pojawia się tu wątek braku wsparcia ze strony rodziców, którzy albo nie byli chętni, aby wysłuchać dziecko, albo nie zauważyli, że dzieje się coś złego.

Albo budzili córkę w nocy, mówiąc, że biskup dzwoni – jak w historii rodziców kobiety skrzywdzonej przez biskupa Szkodonia.

Można sobie wyobrazić, co czuje dziecko, które weszło w relację – choć „relacja” to nieadekwatne słowo – które weszło w układ z księdzem. Wykorzystywanie seksualne przez ludzi Kościoła to zazwyczaj nie są przypadki gwałtu na pierwszym spotkaniu. Na początku, kiedy ksiądz poznaje dziecko czy nastolatka, silnie nim manipuluje. To sytuacja, która trwa. Dziecko albo nastolatek zostają wciągnięci w ten układ, obłąkani. Najpierw ksiądz buduje zaufanie, a dopiero potem przekracza kolejne granice swojej ofiary. Poza tym sprawca jest zwykle osobą pozytywnie postrzeganą w środowisku, zwłaszcza jeśli dzieje się to w niewielkiej społeczności. Ma wysoką pozycję. Wreszcie: księża często wchodzi w bliskie relacje z rodziną krzywdzonego dziecka, zaprzyjaźniają się z jego matką, bywają gośćmi w jego domu. Próbuje uśpić czujność dorosłych. Dziecko, które nie ma komu się poskarżyć na przyjaciela rodziny, człowieka, którego wszyscy lubią i w którego są wpatrzeni podczas niedzielnej mszy, zostaje samo. A ten ksiądz często jest również katechetą i jedynym spowiednikiem swojej ofiary. Jak wyjść z tej matni? Liczba powiązań, które łączą osobę wykorzystaną ze sprawcą, jest tak wielka, że powiedzenie o tym komuś bywa strasznie trudne.

Co przeżywa wtedy dziecko?

Przerażenie, lęk, wstyd, wstręt, obrzydzenie, złość, ale też ekscytację, że zostało przez księdza zauważone i wyróżnione. Zostaje wprowadzone w układ, który jest dla niego niezrozumiały, wręcz szokujący. To się zresztą w naszych świadectwach pojawia: krzywdzone osoby mówią o tym, że nie rozumiały, co się dzieje. A potem opowiadają o procesie uzależniania ich od księdza: poprzez prezenty, dowartościowywanie, zapewnianie o wyjątkowości. Do tego argumenty w rodzaju: „to jest nasza tajemnica”, usprawiedliwianie: „mamy do tego prawo”, i uwznioślanie: „to jest piękna miłość”. Dopiero kiedy sprawca widzi, że dziecko może o tym komuś powiedzieć, zaczyna je straszyć: „i tak nikt ci nie uwierzy”.

Symptomatyczna dla wielu historii jest nieobecność ojca, którego albo nie ma dosłownie, albo nie uczestniczy w wychowaniu dziecka. Także

to, że część jego funkcji przejmuje ksiądz.

Jeśli w domu nie ma ojca, to innemu dorosłemu mężczyźnie łatwiej zbliżyć się do dziecka. Księża wykorzystujący seksualnie dzieci zapraszają je do swoich domów i zanim skrzywdzą, najpierw interesują się ich życiem, zaczynają w nim uczestniczyć. Czyli robią coś, czego dziecku brakowało. Wciągnięte w taki układ dziecko zaczyna też często myśleć: „mogłem tam nie chodzić”. I to jest bardzo ważne, żeby osobie, która się obwinia, powiedzieć: „nie mogłeś tam nie chodzić, bo byłeś zmanipulowany”.

Rozmawiałam kiedyś z osobą wykorzystaną seksualnie przez księdza, która czuła się współwinna dlatego, że chodziła do kościoła.

To jest oczywiście absurdalne. Pamiętamy jednak, że przypisując sobie część odpowiedzialności dziecko robi to także po to, żeby poradzić sobie z traumą. Tak działają mechanizmy psychologiczne. Dodatkowo w Polsce wciąż silny jest przekaz społeczno-kulturowy, gdzie winę za gwałt przypisuje się kobiecie, zwracając uwagę na jej wygląd i to, jak była ubrana. Często to słyszę: „Gdybyś nie chodziła tak ubrana, toby ci nic nie zrobił”. To są okrutne słowa. Słowa, które próbują odpowiedzialność za wyrządzone zło podzielić – a ona nie jest do podzielenia.

Osoby skrzywdzone mówią o tym, że czują się winne?

Często. Nie wiedzą o tym, że będąc dzieckiem, nastolatkiem czy osobą współ-

zależną – podległą, jak choćby siostry zakonne czy klerycy – nie ponoszą winy. Na próby obwiniania się osób skrzywdzonych reagujemy od razu – osoba taka słyszy od nas, że jej wierzymy oraz że nie jest winna, bo pełna odpowiedzialność jest po stronie sprawcy.

Tym, którzy po raz pierwszy opowiadają o swojej traumie, zazwyczaj towarzyszą silne uczucia. Zdarza się, że po wypowiedzeniu zdania lub dwóch taki ktoś zaczyna płakać, mówi, że jednak musi się rozłączyć. Konsultantka stara się wtedy tę osobę zatrzymać: uspokaja, umacnia w decyzji opowiedzenia o tym, co się wydarzyło. Zapewnia, że ma czas.

Czasami są to relacje ogólne, a czasami szczegółowe. Często ktoś opowiada i nagle mówi: „więcej już nie powiem”. Opo- wieść jest rwana. Zdarza się, że konsultantka podpowiada: „czy to dotyczyło wykorzystania seksualnego?”, „czy pani jest gotowa powiedzieć, jakie granice zostały przekroczone?”. Tu nie chodzi o ciekawość, ale o pomoc w opowiedzeniu swojej historii. Jeśli ktoś nie mówił dotąd o czymś tak dramatycznym, traumatycznym, to znalezienie adekwatnych słów, znalezienie swojej narracji jest bardzo trudne.

Konsultantki zmieniają się co tydzień, więc osoba, która dzwoni, ma niewielkie szanse, że znów trafi na tę samą. Jak sobie Państwo z tym radzą?

Telefon wsparcia nie jest terapią. Co tydzień dyżuruje inna, anonimowa osoba, uprzedzamy o tym osoby dzwoniące.

Zresztą większość to rozmowy jednorazowe. Czyli nie ma takiej możliwości, jak w kontakcie psychoterapeutycznym, że można w kolejnym tygodniu rozmawiać z tą samą osobą. Nie wydaje się, żeby to stanowiło trudność. Rolą telefonu wsparcia jest przede wszystkim wysłuchanie osoby skrzywdzonej oraz, jeśli trzeba, zachęcenie jej do kontaktu z odpowiednimi specjalistami: psychoterapeutą, prawnikiem, duszpasterzem. A także pomoc w zgłoszeniu przestępstwa do właściwych instytucji.

Czy z wielu lat Pani pracy w charakterze psychoterapeutki i roku działalności telefonu pamięta Pani sytuację, by którykolwiek ze sprawców przeprosił ofiarę?

Próbuję sobie przypomnieć... No nie. Nie spotkałam się z taką sytuacją. Tylko raz zdarzyło się, że po długich przygotowaniach doszło do konfrontacji: osoba skrzywdzona – sprawca. Ale wtedy sprawca wszystkiemu zaprzeczył.

©® Rozmawiała ANNA GOC

BARBARA SMOLIŃSKA jest psychoterapeutką i superwizorką Polskiego Towarzystwa Psychologicznego oraz Europejskiego Stowarzyszenia Psychoterapii, szefową Pracowni Dialogu, współtwórczynią inicjatywy „Zranieni w Kościele”.

Telefon wsparcia „Zranieni w Kościele” (numer 800 280 900) działa w każdy wtorek w godz. 19–22. Więcej na www.zranieni.info

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rąbiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik),
Anna Dziurdziowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewicz, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocui, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Stworzenie człowieka



W PIERWSZEJ OPowieści o Stworzeniu człowiek jest ostatnim dziełem Boga. Obdarzony został wyjątkowymi atrybutami. Jest istotą stworzoną na podobieństwo Boga. Nie powiedział Pan tym razem, jak w innych przypadkach zadowolony ze swojego dzieła, że jest dobre. Ale na koniec dnia szóstego rzekł: „I spojrział Bóg na wszystko, co uczynił, a było to bardzo dobre” (Rdz 1, 31). Człowiek zamknął dzieło Stworzenia i tak powstała harmonijna całość. Powstał Bogu podobny weganin, któremu Pan kazał spożywać jedynie rośliny. Władza rola *Homo sapiens* nad zwierzętami została jednoznacznie ograniczona. Nie było tu miejsca na polowania i na krwisty befsztyk. Taki był plan Boga. Wszystko zmieniło się po potopie, ale to już całkiem inna historia. Człowiek jako jedyna z istot ożywionych otrzymał też szczególne dary: dar mowy, planowania, tworzenia, autorefleksji, kontemplacji oraz troski o ludzi i zwierzęta. Był istotą wyprostowaną. Stał na ziemi, stał przed Bogiem. Górował nad resztą Stworzenia.

Druga opowieść o stworzeniu zaczyna się inaczej. Jeszcze rośliny nie wzeszły z ziemi, ziemia była sucha. Bóg nie spuścił deszczu i „nie było człowieka, by uprawiał rolę” (2, 5). Wynika z tego, że od zawsze istniały zarodki roślin. Potrzebowały tylko warunków, by się rozwinąć. Potrzebny był człowiek, by służył ziemi. Wszystko czekało gotowe do vegetacji i rozwoju. Nasycił ziemię wilgocią i dopiero wtedy „uksztaltował Pan Bóg człowieka z prochu ziemi i tchnął w nozdrza jego dech życia. Wtedy stał się człowiek istotą żywą”.

Wpisany jest w kondycję ludzką dualizm. Ma on w sobie coś z niższego świata: proch ziemi, i wyższego: tchnienie Boże. Nie jest stworzony na podobieństwo Boga i nazwany został Adam, co pochodzi od *adamah*, „ziemia”, a to oznacza też „czerwony”. Właśnie od tego słowa pochodzi określenie „krew”. Powstaje nie w opozycji do świata, ale dla świata, który czeka na jego pojawienie i wymaga jego obecności do uprawiania ogrodów. Pierwszym z nich jest Eden otoczony czterema rzekami.

Powstaje prosta istota, której dane jest proste pracowite życie. Zdaje się być bardziej dziecku niż Bogu podobny. Nie dana mu jest jeszcze mowa. Nie są mu od zarania dane pycha, próżność, autorefleksyjność i moralność. Nie ma planów i tym samym nie wie, czym jest niespełnienie. Zdaje się nie bać śmierci i nie ma potrzeb erotycznych. Prowadzi życie samotne, bez poczucia swej osobności i samotności. Sama ziemia zdaje się w swej hojności dawać człowiekowi wszelkie dobra. Niczym dobra matka służy nam karmiąc i pojąc. Świat zdaje się nieskończonym ogrodem. Niczego tu człowiekowi nie brakuje. Możemy tylko tęsknić do dzieciństwa ludzkości, do tego stanu niewinności i naturalnego dobra. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Papierosy, piwo i Duch Święty



KARNAWAŁ SIĘ JUŻ SKOŃCZYŁ, POWIEDZIAŁ podobno papież Franciszek do ceremoniarza, który proponował mu nałożenie bogatych szat używanych podczas ceremonii pierwszego błogosławieństwa Urbi et Orbi. Na owoce tak zubożonego błogosławieństwa trzeba było parę lat poczekać. Zainspirowało ono wielkiego smakosza piwa Charlesa Moreroda, biskupa, przewodniczącego szwajcarskiego episkopatu i rzymskiego kurialistę, specjalistę od teologii św. Tomasza, do stworzenia piwa pod nazwą „Urbi et Ortie”. Następnie w 2016 r. zwarzono „Dwunastu Apostołów”. Dochód z piw biskup przeznacza na finansowanie stowarzyszeń niosących pomoc migrantom oraz na rzecz osób wykluczonych zawodowo, np. więźniów czy z niepełnosprawnością ruchową.

Przejdźmy na nasze podwórko. Ks. Mieczysław Puzewicz, delegat ds. osób wykluczonych w archidiecezji lubelskiej, wraz z wolontariuszami ruszył w tym roku po koledzie do bezdomnych. Jak wiadomo, kolęda jest prawnuczką dziecięcy, stąd owe osławione koperty. Tymczasem lubelscy kolednicy niczego podobnego od odwiedzanych nie oczekują. „To ja – mówi ks. Puzewicz – czuję się w obowiązku, by coś im dać. Przynoszę prezenty, coś, co im się bardzo przyda. Buty, rękawiczki, jakieś ubranie. No i paczkę papierosów. Często palą, co popadnie, sami to skręcają. Gdy zobaczą sklepową paczkę, jest wielka radość. Prosty gest, który sprawia im wielką przyjemność”. Bezdomnych zaproszono do restauracji na bal karnawałowy: „Wiemy, jakie jest powszechne wyobrażenie o bezdomnych – śmierzący brudas. A oni przyszli w zadbanym ubraniu, ogoleni, panie pachnące. Świetnie się bawili i choć przez chwilę mogli poczuć, że nie są sami”.

A na drugim końcu świata, w styczniu patriarcha melchicki Youssef Absi przypomniał, że powołaniem Kościoła na Bliskim Wschodzie nie jest „obrona cywilizacji chrześcijańskiej przed innymi cywilizacjami”, lecz „świadczanie o pracy Ducha Świętego w naszym życiu i pomaganie innym w przyjmowaniu daru Ducha”. Odnosząc się do malejącej obecności chrześcijan w tym regionie stwierdził, że ich obecność „zależy nie tyle od naszej liczby, naszej siły, wielkości i zdolności, ile od skutecznego działania Ducha Świętego w naszym życiu”, gdyż „miłość zasadza się bardziej na czynach niż na słowach”, jak mawiał Ignacy Loyola. A to znaczy: żyć jak Bóg, który „sprawia, że słońce wschodzi dla złych i dobrych i zsyła deszcz dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Jeśli bowiem miłujecie tylko tych, którzy was miłują, jakiej zapłaty możecie się spodziewać? Czy i celnicy tego nie czynią? I jeśli pozdrawiacie tylko swoich bliskich, to cóż szczególnego czynicie? Czy i poganie tak nie postępują? Bądźcie więc tak doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec Niebieski”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Misja siedemdziesięciu dwóch

Lęk jest niczym.

EWANGELIA PRAWDY



Nie ma sądu
i nie ma Sędziego!

MENACHEM MENDEL Z KOCKA



Wybrał PIOTR SIKORA



DWA KOLEJNE rozdziały Ewangelii św. Łukasza opisują dwa kolejne posłania uczniów: w rozdziale dziewiątym Pan posyła po raz pierwszy z misją Dwunastu; w dziesiątym „jeszcze innych siedemdziesięciu dwóch”. To ważne: nie tylko Apostołowie mają misję zleconą przez Jezusa. Mają ją również inni – i to od Niego bezpośrednio („Pan wyznaczył”) – a nie za pośrednictwem czy przez zlecenie (mniej lub bardziej łaskawe...) ze strony Apostołów. Czy „pierwsi biskupi” ucieszą się tą wolą Pana? Czy ją właściwie rozeznają i rozczytają?

Oto wyzwanie, od którego w dużej mierze zależy (dziś bardziej niż kiedykolwiek) przyszłość naszego Kościoła i jego misji wobec świata. „Jeszcze inni” posłani są przede wszystkim do świata – nie do Kościoła *ad intra*. Wskazuje na to już sama ich liczba: siedemdziesięciu dwóch – to liczba pokoleń, z których rozwinęła się cała popopowa ludzkość. Tak jak Dwunastu posłanych jest najpierw wyłącznie do Izraela (co wprost zapisał w równoległym tekście Mateusz: „nie idźcie do pogan”), tak siedemdziesięciu dwóch posłanych jest do całego rodzaju ludzkiego. Oni potrafią o wiele skuteczniej dotrzeć do miejsc, które dla Dwunastu tak naprawdę pozostają niemal zamknięte. Jak widać, to nie Franciszek, lecz Jezus, i to od pierwszego momentu misji Kościoła, sprzeciwia się jej klerykalizacji.

Misja siedemdziesięciu dwóch ma inaczej rozłożone akcenty niż misja Dwunastu. Ich pierwszym zadaniem winna być

modlitwa o kolejnych współpracowników („żniwo ogromne; proście Pana żniwa, by posłał [nowych] robotników na swoje żniwo”). Siedemdziesięciu dwóch potrzebuje pomnożenia: obok nich pojawią się następni – znowu „podarowani” przez Pana. Pewnie uzdolnieni w inne charyzmaty, posługi i działania (por. 1 Kor 12). Każdy z siedemdziesięciu dwóch musi więc wiedzieć, że nie jest samowystarczalny, że ewangelizacja jest dziełem wspólnym Kościoła i że prawdziwość każdego charyzmatu weryfikuje najpierw postawa jednostki i różnorodności, a nie ekskluzywizmu.

Zaraz potem Pan zleca im przede wszystkim, by zanieśli światu pokój. Są posłani między wilki – w takim jednak świecie, w którym „człowiek człowiekowi stał się wilkiem”, orędziem Jezusowym stanie się już sama ich postawa: mają być jak owce. Ważna będzie również ich odwaga, by budować z „ludźmi tego świata” prawdziwe relacje – pełne akceptacji i wdzięczności, bez osądu „na progę”: „Jedzcie i pijcie, co mają (...), co wam podadzą” – wielu komentatorów uważa, że Jezus zaleca tutaj uczniom przekroczenia prawa w którym wyrosli, rozróżniającego pokarmy „czyste” i „nieczyste”: nie może być tak, że pierwszym odruchem misjonarza będzie krytyka i spór o jedzenie, którym został ugoszczony. Na końcu (a nie jako punkt wyjścia) pada polecenie: „mówcie im: przybliżyło się do was Królestwo Boże” (Łk 10, 9).

Czy nie takiej misji Kościół, także w Polsce, dziś potrzebuje? W takim stylu? W takiej logice? I z tak rozłożonymi priorytetami? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 II – 1 III)

7. niedziela zwykła: Kpł 19, 1-2. 17-18; Ps 103; 1 Kor 3, 16-23; Mt 5, 38-48;
Poniedziałek: Jk 3, 13-18; Ps 19; Mk 9, 14-29;
Wtorek: Jk 4, 1-10; Ps 55; Mk 9, 30-37;
Środa Popielcowa: Jl 2, 12-18;
Ps 51; 2 Kor 5, 20 – 6, 3; Mt 6, 1-6. 16-18;

Czwartek: Pwt 30, 15-20; Ps 1; Łk 9, 22-25;
Piątek: Iz 58, 1-9a; Ps 51, Mt 9, 14-15;
Sobota: Iz 58, 9b-14;
Ps 86; Łk 5, 27-32;
1. niedziela Wielkiego Postu:
Rdz 2, 7-9. 3, 1-7; Ps 51; Rz 5, 12-19; Mt 4, 1-11.



POŁĄCZ KROPKI

Państwo polskie od lat ma kłopot z wiedzą – z jej porządkowaniem i wykorzystywaniem w polityce. Za chwilę ten problem nabierze dramatycznego wymiaru.

RAFAŁ MATYJA

POCZĄTEK LAT 20. – JEŻELI PIERWSZY miesiąc można uznać za zwiastun – pokazał, że możemy się spodziewać zupełnie nowych wyzwań. Część będzie pochodną długich procesów. Część weźmie początek od zdarzeń trudnych do przewidzenia. Do tych przewidywalnych możemy zaliczyć brexit czy konflikt między Iranem a USA. Do nieprzewidywalnych – pojawienie się koronawirusa z Wuhan czy pożary w Australii.

W każdym z tych przypadków nie chodzi wyłącznie o to, czym jest samo zdarzenie, ale o to, jakie rodzi konsekwencje, i o to, czy jest częścią jakiegoś trendu. Nie wiemy, jak na to wszystko reaguje polskie państwo. Nie wiemy, czy i jak powinny się zmieniać jego instytucje – ocieślał i często nieradzące sobie z reagowaniem na rutynowo dostarczane informacje. Nie wiemy, czy ktoś dokonuje korekty szerszego opisu aktualnej (ale liczonej w miesiącach lub latach) sytuacji.

Gdy próbujemy sobie wyobrazić najpoważniejsze zagrożenia, jakie mogą nas dotknąć w najbliższych latach – nie wiemy, czy lepiej mieć państwo stabilne, choć cokolwiek ocieślał, czy przeciwnie: zwinne, choć momentami niesolidne. Czy ważniejsze jest wprowadzanie procedur konsolidujących jego zachowania, czy przeciwnie: pewien poziom rozproszenia strategicznego pozwala łatwiej dostosować się do zmiennych warunków. Jedno jest bezdyskusyjne: państwo polskie powinno być bardziej spostrzegaw-

cze i umieć tworzyć alternatywne scenariusze rozwoju sytuacji.

Kto miałby je budować? Premier, prezydent czy może ktoś z ich otoczenia? Model, w którym tworzymy jeden ośrodek będący w cieniu centrum władzy, może prowadzić do przekształcenia go w jeszcze jedno narzędzie maszyny propagandowej – władza ma do tego przeżywalną skłonność. Nie należy więc skupiać takich zadań w jednym miejscu.

Kiedyś mechanizm był inny – dostęp do w miarę stałej i pewnej wiedzy miała szeroko rozumiana elita polityczna danego kraju. Tę wiedzę uzupełniały informacje poufne, dotyczące stanu finansów publicznych, uzbrojenia, planów i działań sojuszników i wrogich państw. Ale wtedy administracja była znacznie szczuplejsza, a zakres jej zadań większy, choć mniej skomplikowany.

Obraz, jaki wyziera z wypowiedzi przedstawicieli państwa, wygląda na niezbyt spójny i cokolwiek anachroniczny. To nie jest wyłącznie wina obecnie rządzących. Od lat plany strategiczne na wszystkich szczeblach kreślone są przy założeniu optymalnych warunków rozwoju. Od lat lekceważymy czarne scenariusze i zaniedbujemy „plany B”. Fakt, że nie ma dziś – jak w poprzednich dekadach – gotowych opisów sytuacji przygotowywanych przez najbardziej wpływowych ekspertów i najsilniejsze centra decyzyjne, które wystarczało ściągnąć z sieci i adaptować do polskich warunków, nie jest wymówką. Raczej większym wyzwaniem.

Wszystko wskazuje, że nie sposób objąć nowych realiów jednym modelem

– że trzeba analizować rzeczywistość według kilku równolegle rozpisanych scenariuszy. I nie przywiązywać się do żadnego; choć wśród ekspertów znacznie częściej zdarzają się „szalikowcy” poszczególnych modeli analitycznych niż wśród kibiców – „szalikowcy” klubów. Największą siłą każdego państwa może być tworzenie i testowanie relacji między poszczególnymi modelami.

Państwo coraz bardziej teoretyczne

Diagnoza, która sprowokowała Bartłomieja Sienkiewicza do nazwania Polski „państwem teoretycznym”, pozostaje aktualna. Świetnie pokazał to sam były minister w rządzie Donalda Tuska, opisując w swojej książce niezdolność naszego państwa do reakcji na sygnały o rosnącej fali śmieci napływających z zagranicy. Ignorowano głosy zewnętrzne wobec struktur państwa, pochodzące od Stowarzyszenia Polski Recykling, ale także te wysyłane przez Państwową Straż Pożarną. Co więcej: nie umieszczano ich na żadnym szerszym tle. Brakowało zdolności myślenia w skali makro, minister środowiska zwiększał limity na wwóz śmieci do Polski i lekcewał fakt, że usługi w tym zakresie są znacznie tańsze niż wcześniej. Łączenie kropek składających się na obrazek – jedna z pierwszych intelektualnych rozrywek każdego dziecka – polskiemu państwu nie udaje się nawet na poziomie banalnym.

Z innej perspektywy podchodził do tego Andrzej Zybertowicz, dziś wpływowy doradca prezydenta Dudy. ➔

Lotnisko Chopina, Warszawa, wrzesień 2019 r.

⇒ W opracowanym w 2015 r. wraz z Maciejem Gurtowskim i Radosławem Sojakiem bilansie rządów PO stwierdzał: „Brakuje Centrum Analiz Strategicznych. Tylko taka instytucja, z odpowiednimi uprawnieniami, dostępem do informacji i gwarancją politycznej niezależności (rozumianej np. jako równowaga wpływów) mogłaby realizować w sposób ciągły i w pełni systematycznie zadanie, którego się tu podejmujemy”, czyli dokonywanie oceny „stanu Polski oraz perspektyw jej rozwoju”.

Tyle że pod rządami PiS słabość zarządzania strategicznego jeszcze się pogłębiła. Sposób, w jaki skonstruowane zostało rządowe Centrum Analiz Strategicznych, przeczy postulatowi Zybortowicza. Obaj jego dyrektorzy to raczej analitycy rozumiejący realia rywalizacji politycznej i wyborczej niż osoby mające doświadczenie w diagnozowaniu wyzwań, przed którymi stoi Polska.

Świadomie przywołuję dwóch autorów należących do obozów rządzących krajem w ostatnich latach – i to nie politycznych outsiderów. Dlaczego ich opinie i rady nie przekładają się na praktykę, dlaczego proste w gruncie rzeczy postulaty są pomijane przez kolejne ekipy? To nie jest zwykłe zaniechanie, ale podziwu godna konsekwencja.

Odpowiedź jest prosta: wygodniej rządzi się w warunkach ograniczonej percepcji. Łatwiej przepycha się doraźne projekty i podporządkowuje działania państwa logice partyjnej rywalizacji.

Szerszy kąt widzenia

Elity funkcjonujące na obrzeżu polityki – urzędnicze, akademickie, eksperckie, dziennikarskie – doskonale to wiedzą. Ale nawet one są bezsilne – nie potrafią zbudować elementów takiego systemu rozpoznawania i rozumienia problemów, który wymuszałby racjonalizację działań państwa i racjonalizację polityki.

Po pierwsze, brakuje nam dziś instytucji, które próbowałyby poskładać z setek małych obrazków jeden większy obraz rzeczywistości. Jeżeli ktoś to robi, to raczej małe i finansowo ubogie think tanki, animowane często przez 30-latków, niż wyspecjalizowane instytucje państwowe czy opiniotwórcze media. Nawet miesięczniki i kwartalniki stały się niszowe, nie tylko z powodu spadającego czytelnictwa, ale i ze względu na rezygnację z próby zobaczenia całości.

Po drugie, brakuje nawyku podejmowania decyzji w skali takiego większego obrazka. Kontekstem decyzji bywają partyjne narracje, kalkulacje i zobowiązania wyborcze, doraźne reakcje na zainteresowanie mediów, zamknięte obiegi opinii. Prawie nigdy – szerszy kontekst. Przenikliwie umysły formułujące te diagnozy nie analizują już np. naszych relacji z Niemcami: tego, co będzie z nimi „po Merkel” i jak budować w tym bardzo ważnym kraju propolskie lobby polityczne. To nie jest dla nich tak ważne, jak rzucone mimochodem na sejmowym korytarzu słowa Marka Suskiego, kolejny wybrzyk Dominika Tarczyńskiego czy dramatycznie nieudolne prowadzenie sejmowej komisji przez Marka Asta.

Trzeci element to przekonanie, że świat zmienia się równie wolno jak w XX wieku, albo jeszcze wolniej. Elity transformacji ukształtowały się w zółtowo powolnym i ultrastabilnym PRL. Podobnie ośrodki akademickie zajmujące się naukami społecznymi, ekonomicznymi czy prawnymi. Konserwatywny model szkolnictwa skłania najmłodsze pokolenia do rozmaitych form tożsamościowych ucieczek w przeszłość. Kiedy zakończą edukację, są niezdolne do dostrzegania wyzwań, za to chętnie podejmują ze starszym pokoleniem spory historyczne.

Stara szkoła

Szerszy obrazek jest zresztą trudny do opisywania. Obecne wyzwania dla Unii Europejskiej, która musi zdecydować, czy chce być podmiotem politycznym i globalnym graczem, są dla polskich elit mało interesujące. Liczą się anachroniczne spory między „Europą ojczyzn” a stanowiskiem federalistów, pochodzącym jakby sprzed czasów UE. Co ciekawe, nawet młode elity chętniej dyskutują o transformacji lat 90. niż o planie Morawieckiego czy alternatywach. Chętniej wikłają się w spory o gimnazjum niż o nowe konteksty cywilizacyjne funkcjonowania oświaty.

Tymczasem to smartfon, a nie reforma gimnazjum, jest zasadniczym wyzwaniem dla polskiej (i nie tylko polskiej) szkoły. Jeżeli potrafimy go wykorzystać, to świetnie. Jeżeli potraktujemy jako wroga „tradycyjnych metod nauczania” – zrobimy krzywdę pokoleniu, które będzie żyć w innym świecie niż my. I które obciążymy stresem zarówno starego, jak i nowego świata.

Już dziś szkoła robi wiele, żeby stępić percepcję, zabić zainteresowania, zamknąć świat w starych formułach. O polityce mówi w sposób totalnie kontrastujący z rzeczywistością. O zmianach w gospodarce milczy. O tym, co robi z historią, można pisać w nieskończoność, począwszy od tego, że nadal uczestniczy raczej w budowaniu narodowych mitów niż narodowej samoświadomości; że z premedytacją pomija okres historii najnowszej, cynicznie udając zdziwienie, że „znowu nie udało się zrealizować programu do końca”. A przecież wiedza o tym, co wydarzyło się w wieku XX i dwóch pierwszych dekadach kolejnego, jest dziś bardziej potrzebna niż ta o rozbiciu dzielnicowym i bitwie pod Grunwaldem.

Wiem, że media nie są dziś najlepszym nauczycielem. Ale gdyby zrobić eksperyment: obejrzeć z maturzystami dobry program informacyjny i poprosić o komentarze do poszczególnych newsów, czego byśmy się o tych maturzystach dowiedzieli? A gdyby powtarzać ten eksperyment co tydzień – i prosić o napisanie, co myślą o tym, co stało się w Iranie, Stanach Zjednoczonych, Francji...

Religia panująca (coraz słabiej)

Słabość w odróżnianiu rzeczy ważnych od nieważnych nie bierze się znikąd i nie jest wyłącznie polską chorobą. To efekt kryzysu świadomości, który ma wszelkie cechy wielkiego kryzysu religijnego, tyle że dokonującego się nie w obrębie którejś z historycznych religii, lecz w sferze religijnych aspektów kapitalizmu.

Idąc za intuicją Waltera Benjamina, nietrudno dostrzec w kapitalizmie warstwę sensotwórczą: zdolność tworzenia świata wartości i aspiracji, wspierających efektywność tego systemu gospodarczego i społecznego, wzmacniających jego racjonalność. Mówiąc prościej: już u zarania kapitalizm oferował coś więcej, niż wynika z jego prostej ekonomicznej treści. Starał się zaspokoić poczucie bezpieczeństwa, odpowiedzieć na ludzkie lęki. Stwarzał także – naśladując religię – nowe poczucie sensu i nowe wymiary nieśmiertelności, mające wyraz choćby w tworzeniu rodzinnych firm czy fundowanych przez rozmaitych mieszczan instytucji kulturalnych, naukowych i dobroczynnych.

Czymże innym, jak nie uznaniem religijnego panowania kapitalizmu, jest po-

wszechne przekonanie o tym, że celem szkoły jest odpowiadanie na potrzeby rynku pracy? Czymże innym jest utożsamianie pomyślności społecznej ze wzrostem PKB? Czymże innym świetnie opisana przez Mikołaja Lewickiego, porządkująca dorosłe życie wielu Polaków moc kredytu hipotecznego? W opisie Lewickiego kredyt taki sięga wprost poziomu religijnego sakramentu: otwiera drogę do prawdziwego szczęścia, a zarazem stanowi podstawowe zobowiązanie, któremu podporządkowuje się inne sfery życia.

Problem w tym, że przynajmniej od kryzysu 2008 r. religijne aspekty kapitalizmu słabną. Nikt już nie powtarza bezkrytycznie, że „modlitwa jest dobra, ale ubezpieczenie jest lepsze”, że składka emerytalna gwarantuje dobrą starość, że tysiące instytucji eksperckich dostarczają rzetelnej wiedzy o rynku, instrumentach finansowych, rentowności firm i sytuacji ekonomicznej państw. Młode pokolenia Zachodu nie mają już żadnego z kapitalistycznych marzeń poprzedniej epoki.

Solidarność elit

Jak w przypadku części kryzysów religijnych – gniew skupia się na kapłanach, na tej specyficznej kadrze religijnego wymiaru kapitalizmu i przybiera formy antyestablishmentowej rewolucji. Wiarygodny staje się ten, kto ma na pieńku nie z możliwymi tego świata, ale z tymi, którzy od lat głoszą tezy o nieomyślności rynku. Którzy strzegą parareligijnej funkcji kapitalizmu. Ta warstwa kapłańska jest różnorodna, podzielona, czasami rozdarta sporami, ale w chwili kryzysu religijności – zagrożenia dotyczą jej całej. I wywołują grupową solidarność.

Kluczowy dla osłabienia zdolności poznawczych państwa związek łączy elity dostarczające sens modelowi kapitalistycznemu z szerszymi środowiskami opiniotwórczymi. Sam fakt kryzysu kapitalizmu jako religii jest wypierany i objaśniany przewrotnie jako kryzys demokracji, państwa, społeczeństwa obywatelskiego, czy – w wykładni populistycznej – elit, instytucji międzynarodowych, tradycji Zachodu. W obu przypadkach pomija się fakt, że kryzys ten jest w istocie rzeczy gwałtownym przyspieszeniem nowoczesności i bardzo dynamiczną zmianą logiki funkcjonowania kapitalizmu, a nie jakimś „powrotem” do tradycji, autorytetu itp. Te tradycyjne aspekty są tylko ubocznym efektem lęku, powstałego z załamania się dotychczasowych wierzeń, upadku dogmatów, kryzysu powołań.

Państwa współczesne nie mają przy tym żadnej aksjologii alternatywnej, nie potrafią posłużyć się – nawet na poziomie poznania – innym wzorcem niż reprodukowany przez setki ekspertów i dziesiątki instytucji akademickich scholastyczny model kapitalistycznego dobrobytu. Dlatego część krytycznie nastawionych umysłów próbuje eksperymentów z tradycyjnymi modelami geopolitycznymi, z systemami opartymi na silnych tożsamościach kulturowych, czy wręcz postuluje „spowolnienie wzrostu”, co przypomina wytarte PRL-owskie hasło „socjalizmu z ludzką twarzą”.

Nasza szansa

Jaką racjonalnością można zastąpić tę coraz mniej efektywną poznawczą rynkowo-rozwojową scholastykę, by nie wracać do któregoś z modeli politycznych

z przeszłości? Z pewnością wymaga to dostrzeżenia złożoności przygody z nowoczesnością i kapitalizmem, zrozumienia, że są one zawsze źródłem szans, ale i zagrożeń, których bez państwa i jego instytucji nie potrafimy nawet dobrze definiować. Państwo bowiem – poza wszystkimi podręcznikowymi definicjami i opisami – tworzy wyjątkową sytuację poznawczą, która pozwala na przezwycięzenie bezradności.

Dzięki państwu nie jesteśmy sami ze swoją chorobą, nie jesteśmy bierni wobec nierówności społecznych, a wreszcie – nie musimy z pokorą przyjmować dyktatu silniejszych ekonomicznie. Co więcej: wiek XXI pokazał, że w obliczu zagrożeń takich, jak atak na World Trade Center czy kryzys 2008 r., instytucje państwa stanowią o sile społeczeństw bardziej niż rynek czy bezradne wobec wielu wyzwań społeczeństwo obywatelskie. Budowa zdolności poznawczych państwa to szansa na poradzenie sobie z nowymi wyzwaniami.

Instytucje, które powinny być włączone w wysiłek tej budowy, to zatem nie tylko ośrodki formalnego przywództwa państwowego, ale także inne podmioty dokonujące strategicznych posunięć (np. Narodowy Bank Polski) oraz kluczowe uniwersytety, władze województw i największych miast, redakcje opiniotwórczych mediów. Dla takiego kraju jak Polska wyposażenie państwa w zdolność odbierania i porządkowania sygnałów, a zarazem szybkiego tworzenia szerokich obrazów sytuacji, stanowi warunek uczestnictwa w grze. Oczywiście nie wystarczy widzieć problem, by go rozwiązać. Ale – poza korzystnymi zbiegami okoliczności – nie da się rozwiązać problemu, którego się nie dostrzeżga. © RAFAŁ MATYJA

REKLAMA

**ZAPRASZAMY
NA SPOTKANIE**
z abp. Grzegorzem Rysiem

Warszawa | Muzeum POLIN

ul. Mordechaja Anielewicza 6

2 marca 2020 r. (poniedziałek) | godz. 18.00

znak

POLIN

TYGODNIK
POWSZECHNY

KLUB
TP

Warszawa
Muzeum POLIN



O RZECZACH WAŻNYCH

Czy Kościół w Polsce utracił wiarygodność?

**Co robić wobec rosnącej agresji
w życiu publicznym?**

Jak zachować wiarę w czasach zgorznienia?

**Co z katolikami, którzy nie odnajdują dziś
swojego miejsca w Kościele?**

Książka w sprzedaży od 26 lutego 2020 r.

**Podczas spotkania z abp. Grzegorzem Rysiem
rozmawiać będzie Anna Wacławik-Orpik z Radia Tok FM**

Ludzie bezbronni

MAREK RABIJ

Ponad pół miliona legalnych pistoletów, karabinów i strzelb w polskich domach to wciąż niewiele na tle większości krajów Europy. I mnóstwo – jak na powszechne przekonanie, że w Polsce broń mają jedynie mundurowi.

14 LISTOPADA 2017 R. DO GDYŃSKIEGO biurowca wchodzi pracownik jednej z tutejszych firm. Uwagę portiera przykuwa podłużna walizka, którą przyniósł mężczyzna. Zapytany o zawartość, pracownik odpowiada, że po pracy wybiera się na strzelnicę, dlatego przyniósł karabin.

W tym punkcie relacje stron stają się sprzeczne. Portier zezna, że dostrzegł zagrożenie dla pozostałych pracowników, dlatego chwycił walizkę z karabinem. Wtedy został zaatakowany przez jej właściciela. Posiadacz broni powie, że gdy portier nie zareagował na prośbę o zwrot własności, nie miał wyjścia i sięgnął po pistolet, który także miał przy sobie.

Portier uściśli, że mężczyzna zachowywał się podejrzanie, był nadmiernie pobudzony. Poza tym był cudzoziemcem. Cudzoziemiec zaprzeczy, jakoby miał powody do zdenerwowania. Wcześniej

wiele razy przynosił broń do pracy, nie krył się z tym i nikomu w firmie to nie przeszkadzało. Polskie przepisy, które musiał wykuć na blachę ubiegając się o pozwolenie, nakazują jednak posiadaczowi mieć ją stale pod kontrolą. Gdyby pozwolił portierowi oddalić się z karabinem, popełniłby przestępstwo.

„Powiedział: na kolana, bo cię zastrzelę” – oskarży w końcu portier. Oskarżany zaprzeczy. I doda, że gdy przekładał pistolet z ręki do ręki, żeby wyjąć telefon i wezwać policję, portier rzucił się na niego, próbując wydrzeć mu z ręki także tę broń. Wystrzelił w podłogę, żeby odstraszyć napastnika. Drugi strzał padł już przypadkiem w trakcie szamotaniny. Po cisk na szczęście trafił w ścianę.

Pod koniec stycznia Sąd Okręgowy w Gdańsku skazał posiadacza broni na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata za przekroczenie granic obrony koniecz-

nej. Oskarżony zapowiada apelację. Wyrok pierwszej instancji – jak twierdzi – zrzucił na niego całą odpowiedzialność za niebezpieczny incydent wywołany przez człowieka, który w każdej osobie z bronią widzi przestępcę.

Jest, a jakby jej nie było

Kiedy jesienią 2017 r. pisaliśmy o rządowych planach uproszczenia dostępu do broni palnej, pozwolenie na nią miało w Polsce około 165 tys. osób (nie licząc pozwoleń wydanych w związku z pracą w branży ochroniarskiej, które podniosłyby ten bilans do ponad 206 tys.). Na koniec 2019 r. liczba pozwoleń wzrosła do 191,1 tys. (i do 224,6 tys. z ochroniarzami). Statystyki Komendy Głównej Policji pokazują jednak, że dziewięć lat po liberalizacji przepisów boom na pozwolenia wyraźnie słabnie. W latach 2015-16 liczba nowych posiadaczy broni wzrosła aż o 41 proc. W zeszłym roku o pozwolenie wystąpiło o 6,6 proc. mniej osób niż w poprzednim. Najwyraźniej po uproszczeniu zasad w 2011 r. rynek – jak powiedzieliby ekonomiści – zdążył się nasycić; większość Polaków, którzy chcieli mieć broń, już ją zdobyła.

W policyjnych statystykach w jednej rubryce wartości nadal rosną jednak nieprzerwanie – i to w tempie 10 proc. rocznie. W 2014 r. Polacy mieli w domach niespełna 391 tys. sztuk broni palnej, z czego blisko 73 proc. należało do myśliwych. Pod koniec ub. roku – już 551,4 tys. sztuk i tylko 61,5 proc. było własnością łowczych.

Już sam fakt, że to gwałtowne polskie zbrojenie nie przykuło uwagi opinii publicznej, zdaje się najdobitniej przemawiać za tym, że legalnie posiadana broń palna nie stanowi zagrożenia dla porządku publicznego. Resztę dopowiadają statystyki. Policja notuje coraz mniej przestępstw z użyciem broni palnej, obecnie około 700-800 w skali roku. Liczba morderstw i prób zabójstw od lat także oscyluje na tym samym poziomie około 20-30 rocznie. Policjanci, jak przyznał w czerwcu 2018 r. wiceszef MSWiA Jarosław Zieliński, nie prowadzą nawet oddzielnej statystyki przestępstw z użyciem legalnie posiadanej broni. Być może z przyzwyczajenia, że w prywatnych rękach jest jej w Polsce jak na lekarstwo, a może dlatego, że do tego typu zdarzeń dochodzi zbyt rzadko, by warto było odświeżać je od reszty.



Podczas XX Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach, 2012 r.

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

Człowiek strzela

Tymczasem polska debata publiczna o dopuszczeniu obywateli do broni palnej wciąż nie umie wyjść poza konkluzję, że to jedno z praw obywatelskich, lub przeciwnie: że lepiej nie podsycać prochem polskiego piekielka. „Jesteśmy dość nerwowym społeczeństwem. Ludzie mogą chcieć używać broni jako straszaka w sytuacjach spornych pomiędzy sobą” – mówił w wywiadzie dla Onetu były rzecznik Komendy Głównej Policji Mariusz Sokółowski.

„W kraju, gdzie przynajmniej jedna trzecia dorosłej populacji co wieczór jest po alkoholu, łatwy dostęp do broni palnej wyzwoli rodzinne i sąsiedzkie masakry” – to z kolei redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” Bogusław Chrabota w groteskowej próbie udowodnienia, że lepiej zginąć od swojskiej siekiery niżli od kuli.

Związek między dostępnością a przestępczością istnieje, ale nie jest tak linearny, jak chcieliby zagorzali przeciwnicy obecności broni w polskich domach. W najlepiej uzbrojonym kraju świata, jakim są dziś USA z ponad 120 sztukami broni w przeliczeniu na 100 mieszkańców, od kuli ginie rocznie około 4,7-5 z każdych 100 tysięcy osób. W Hondurasie identycznie obliczony wskaźnik przekracza aż 66 – mimo że na każde sto osób przypada tu zaledwie 10 sztuk zarejestrowanej broni. W Nowej Zelandii, gdzie obywatele trzymają legalnie statystycznie prawie 30 razy więcej broni niż Polacy, strzelaniny zbierają czterokrotnie mniej krwawe żniwo niż nad Wisłą.

Przeciwnicy upraszczania dostępu do broni palnej podkreślają również, że liberalizacja przepisów niebezpiecznie powiększa pulę pistoletów, karabinów i strzelb, które bandyci mogą skraść, by następnie ich użyć. Brzmi logicznie. Ale czy tak rzeczywiście się dzieje? Policja prowadzi tzw. rejestr broni utraczonej, większość wpisów pochodzi jednak z lat 90. i dotyczy broni gazowej. Bardziej przydatne informacje znaleźć można w raporcie pokontrolnym NIK, która w 2015 r. zbadała policyjne rejestry broni. Wynika z niego, że od stycznia 2014 do czerwca 2015 r. zgłoszono w Polsce utratę 3762 egzemplarzy zarejestrowanej broni palnej. Odzyskano 537. W tym samym czasie policja zabezpieczyła 1,6 tys. sztuk broni z nielegalnych źródeł – zapewne maleńki wycinek arsenału rodzinnych bandytów. Sejfy polskich posiadaczy za-

rejestrowanej broni palnej raczej nie są więc podstawowym źródłem zaopatrzenia dla przestępców. Łatwiej i bezpieczniej jest kupić broń z przemytu.

Rzeczpospolita hoplofobów

Czego zatem się boimy? Na pewno nieznanego. Polska, która przez ponad 60 lat była krajem praktycznie bez broni, w ciągu kilku kolejnych stała się państwem z nieliczną, ale doskonale uzbrojoną grupą obywateli. Reszta, która broń zna tylko z filmów, najczęściej gangsterskich, ma prawo czuć się przynajmniej nieswojo. W szkołach nie ma wszak wyposażenia wojskowego. Po likwidacji poboru nawet wojsko nie daje już okazji, by chociaż raz powąchać prochu.

Zwolennicy polskiej wersji Drugiej Poprawki wytłumaczenia szukają oczywiście w USA. To tam w latach 60. zeszłego stulecia narodziło się pojęcie hoplofobii, czyli irracjonalnego strachu przed bronią, które ukuł emerytowany pułkownik piechoty morskiej Jeff Cooper. Nie należał do ekstremalnego skrzydła obrońców prawa do rewolweru, którzy w tamtym czasie próbowali m.in. udowodniać na bazie pism Freuda, że pacyfizm jest efektem ubocznym zaburzeń popędu płciowego. Chodziło mu raczej o to, że w pewnych okolicznościach naturalny strach przed uzbrojonym osobnikiem może się przełożyć w społeczną niechęć do samego posiadania broni – a stąd już blisko do napiętnowania wszystkiego, co z nią związane, choćby niewinnych zawodów strzeleckich. Czynnikiem, który może wyzwolić taki proces, mogą być – pisał Cooper – wojny oraz głębsze kryzysy. Pobieźna to i amatorska teoria, ale Polska z traumą II wojny i wstrząsem transformacji po 1989 roku akurat do niej pasuje.

Piknik z glockiem

W dyskusji o dostępie do broni palnej nie udało się uniknąć „wojny plemion”. Dla jednych już sama chęć posiadania pistoletu czyni obywatela potencjalnym naziściowcem Timothy’ego McVeigha, prawicowego ekstremisty, który w 1995 r. zdetonował bombę w Oklahoma City zabijając 168 osób. Druga strona w każdym pytaniu o swobodę dostępu do broni widzi z kolei „lewackie ukąszenie” lub wręcz zamach na wolność.

„Lewackim pieniaczkiem” nazywa się dziś w serwisach dla myśliwych np. protesty przeciw niedawnemu dopuszcze-

niu do niektórych polowań broni z tłumikiem, bez chęci zrozumienia, że przeciętny Polak – nawet jeśli nie jest przeciwnikiem polowań – może się po prostu bać o bezpieczeństwo. To, co dla bywalców sklepów z bronią jest oczywistością – fakt, że w rzeczywistości tłumik jedynie zmniejsza huk wystrzału do poziomu, który umożliwia strzelanie bez zatyczek – niekoniecznie bywa oczywiste dla kogoś, kto nie interesuje się bronią palną.

Miłośnicy strzelectwa twierdzą, że z otwartymi ramionami witają nowych adeptów. To prawda. Biletem wstępu do środowiska są dziś po prostu bilety Narodowego Banku Polskiego. Kluby strzeleckie organizują otwarte pikniki, na których nawet dzieci pod okiem rodziców i trenera mogą bezpiecznie postrzelać z policyjnego glocka czy karabinu wzorowanego na wojskowym berylu. Rzecz w tym, że środowisko przekonuje w ten sposób przekonanych. Fora strzeleckie pełne są np. głosów oburzenia na zmianę przepisów, która narzuciła myśliwym obowiązek badań lekarskich co pięć lat. Z wpisów bije obawa, że podobny zapis obejmie wkrótce także strzelców sportowych, choć w gruncie rzeczy nikomu by to nie zaszkodziło. Ci, którzy broni po prostu się boją, być może mniej nieswojo poczuliby się w towarzystwie coraz liczniejszych jej posiadaczy.

Dostęp do broni nie jest dziś największym z polskich problemów. Ale może się nim stać w miarę jak w przestrzeni publicznej przybywać będzie pistoletów i karabinów.

Na widok broni

Listopad 2019 r., miejscowość Promna-Kolonia przy trasie S7. Na parking przed fastfoodem wjeżdża ciężarówka. „Z niej wychodzi kilka osób ubranych w mundury Wojsk Obrony Terytorialnej z przewieszoną bronią. I jak gdyby nigdy nic wchodzi do restauracji i zamawiają sobie kurczaki. Moje dzieci były przerażone” – tuż po tym zdarzeniu pisze jeden z gości do portalu Wirtualna Polska. „Dowódca został przy ciężarówce (...). Ci, którzy weszli do środka, byli bez żadnego nadzoru. A gdyby ktoś próbował im broń zabrać?”. Jeśli nawet obecność uzbrojonych żołnierzy w miejscu publicznym budzi obawy o bezpieczeństwo, to znaczy, że obywatele mający coraz więcej broni tworzą nadal społeczeństwo, które czuje się wobec niej bezbronne.

Lud i arystokracja

DARIUSZ KARŁOWICZ, FILOZOF I PUBLICYSTA:

Przestarzały system polityczny produkuje równoległe dwie rzeczywistości, które są ze sobą w konflikcie. Generuje nierówności, a zarazem głosi apoteozę sprawczości i równości obywateli. Tego nie da się utrzymać.

RAFAŁ WOŚ: Rewolucja dopiero będzie? Czy raczej już trwa?

DARIUSZ KARŁOWICZ: Faktycznie, przygotowana po wojnie forma ustroju przestała pasować do żywego organizmu politycznego. Nie wygląda to dobrze. Łuny pożarów z francuskich ulic widać już chyba nawet w najbardziej ustronnie położonych brukselskich gabinetach. A jest jeszcze wrząca Grecja. Są miotające się Włochy, niezadowolona Hiszpania. Nawet w uchodzących za oazę spokoju Niemczech zachodzi przesilenie na niezwykle stabilnej dotąd scenie politycznej. Dodajmy do tego największą dotąd porażkę europejskiego projektu, czyli brexit.

To jeszcze nie rewolucja, ale badania pokazują, że mamy poważny kryzys. W największych krajach Europy brak zaufania do Unii dawno przekroczył 50 proc., rośnie niechęć do porządku politycznego, powszechna staje się niewiara w możliwość zmian i gigantyczny pesymizm.

I co z tego wynika?

Niestety nie to, co powinno. Niezbędna jest elastyczność, a mamy skostnienie. Większość europejskich elit politycznych wciąż najchętniej odwraca wzrok udając, że nic się nie stało. Obwinia się populistów, tworzy teorie spiskowe, ignorując fakt, że pojawiają się nowe wyzwania. Powtarzanie starych odpowiedzi to lanie betonu na żywą polityczną rzeczywistość. W ten sposób interpretuję na przykład ostatnie próby pozatraktatowego dyscyplinowania takich krajów jak Polska, które w jakiś sposób te zmiany wyrażają. Choć przecież wcale nie w sposób najbardziej radykalny.

O Polsce jeszcze porozmawiamy. Zacznijmy jednak na poziomie bardziej ogólnym: dlaczego Pan mówi,

że ciało życia przestało się mieścić w ustrojowej szacie?

Ustrój stworzony po II wojnie światowej stracił zdolność zarządzania rzeczywistością. Powojenny porządek zbudowany został na oczywistym dla wszystkich założeniu, że trzeba uniknąć repety roku 1933. To znaczy sytuacji, w której dyktator w stylu Hitlera dochodzi do władzy drogą czysto demokratyczną. Odpowiedzią na to wyzwanie miał być model demokratyczno-arystokratyczny.

Mówi Pan o liberalnej demokracji?

Tej nazwy używamy z przyzwyczajenia. Niezbyt dobrze oddaje ona jednak sedno tego, co mamy. Dużo celniej byłoby mówić właśnie o modelu mieszanym: demokratyczno-arystokratycznym z dużą przewagą pierwiastka arystokratycznego. Lud dostał w tym modelu w istocie dość niewielki wpływ na rzeczywistość. Może głosować raz na cztery lata, ale nie na kogo chce, lecz na listy, które zostały dla niego ułożone uprzednio przez partyjne elity. Oczywiście różnice we wpływie ludu na władzę różnią się w zależności od kraju i historycznego momentu. Trochę lepiej to wyglądało w krajach z silnymi ugrupowaniami ludowymi, mającymi zakorzenienie w różnych warstwach społecznych. Gorzej było tam, gdzie takie partie się nie wytworzyły. Ale w zasadzie i tu, i tam wpływ ludu na politykę jest *de facto* niewielki.

Ale co tu znaczy „arystokratyczny”?

Oczywiście mowa o nowej arystokracji funkcjonalnej, nie dawnej arystokracji krwi. Jedną z najważniejszych warunków współczesnej arystokracji jest na przykład sądownictwo. To środowisko mocno opiera się przy swej autonomii i starannie selekcjonuje, kto może zostać „jednym z nich”. Co więcej, akurat władza



sądownicza w warunkach powojennego ładu politycznego na Zachodzie stale swą władzę zwiększała. Przykładem niech będzie sądownictwo konstytucyjne. Przypomnę, że przed wojną sądy konstytucyjne istniały tylko w dwóch miejscach w Europie: w Austrii i Czechosłowacji. Dziś są wszędzie.

W literaturze amerykańskiej i brytyjskiej od lat pisze się z kolei o pełzającej zmianie ustroju, wynikającej z faktycznego poszerzania kompetencji sądów o uprawnienia władzy ustawodawczej, na przykład poprzez instrument interpretacji prawa. Przecież to kolejny przykład wzmacniania arystokratycznego elementu naszego ustroju kosztem elementu demokratycznego.

Do sądów też jeszcze chciałbym wrócić. Dokończmy jednak szkic obrazu sytuacji. Czyli jest tak: ten ustrój demokratyczno-arystokratyczny sprawdzał się przez kilka dekad, aż w końcu pękła mu śrubka? I nagle przestał się sprawdzać?

Okazało się, że istniejący system polityczny z ogromną energią produkuje



ZYGMUNT JANUSZEWSKI

równoległe dwie rzeczywistości, które są ze sobą w konflikcie. A system tym konfliktem nie umie zarządzać.

Jakie to rzeczywistości?

Wyobraźmy sobie dwie hale produkcyjne, obie dobrze zorganizowane. W jednej produkuje się rosnącą zamożność. Jest to możliwe dzięki bezprecedensowej stabilności politycznej i prawnej zachodniego świata. Jest jednak efekt uboczny.

Jaki?

Nierówności, coraz większe i w ogromnym stopniu dziedziczne. One nie są błędem, ale naturalną konsekwencją sukcesu istniejącego porządku. Stabilny pod względem politycznym i prawnym system sam z siebie produkuje stabilne, a więc przenoszone z pokolenia na pokolenie nierówności.

Badacz nierówności Thomas Piketty w „Kapitale w XXI wieku” wyraźnie pokazał, że wzrost nierówności dochodowych, a zwłaszcza majątkowych, oraz to, że górne 10 proc. najbogatszych odjechało reszcie

społeczeństwa, to nie tylko domena Stanów Zjednoczonych.

No właśnie. Tylko że trzeba pamiętać, iż obok tej pierwszej hali produkującej zamożność i nierówności pełną parą działa jeszcze druga hala. W niej tworzy się propagandę lub, jak kto woli, edukację demokratyczno-równościową. To znaczy, że każdego mieszkańca demokratycznego kraju od małości uczy się, że równość i wolność to naczelne wartości porządku politycznego.

Tu wróć do przywołanych przez pana badaczy historii nierówności. Jeśli faktycznie dzisiejsze nierówności w Ameryce, Francji czy we Włoszech są zbliżone do poziomów sprzed I wojny światowej, to znaczy, że sytuacja jest dużo bardziej dramatyczna niż wtedy.

Dlaczego?

Bo wtedy wielkie mocarstwa europejskie nie zajmowały się przekonywaniem obywateli, że są sobie równi i całkowicie podmiotowi, że są suwerenem i mają sprawczość. A dziś właśnie to robią!

Skuteczność tej pierwszej hali produkcyjnej doprowadza więc do zakwestiono-

wania porządku aksjologicznego, który jest tworzony w hali drugiej. Krótko mówiąc: ustrój polityczny sam siebie znosi, podcina gałąź, na której siedzi. W tym sensie z rozbawieniem obserwuję pohukiwanie establishmentu na liderów ruchów protestu, którzy próbują jakoś politycznie reagować na wściekłość Europejczyków. Jakby to oni za tę wściekłość odpowiadali.

Dlaczego model wyczerpał się akurat teraz?

Widzę dwa wyjaśnienia. Jedno bardziej znane, drugie trochę mniej. Przez dłuższy czas ustrój demokratyczno-arystokratyczny wywiązywał się z niepisanej umowy z ludem – brak faktycznego wpływu wynagradzał stabilnością i bezpieczeństwem. W pewnym momencie jednak zapewnienie wywiązania się z tej umowy zaczęło system przerastać. Te momenty to najnowsze kryzysy: migracyjny i ekonomiczny. Ten pierwszy był oczywiście zsumowanym wynikiem wieloletnich zaniedbań, braku spójnej polityki i niedorzecznych ideologii.

Jeszcze gorsza była jednak reakcja zachodnich i unijnych polityków. Argumentowali, że problemem bezpieczeństwa w Europie po przyjęciu wielkiej fali migrantów i uchodźców nie należy się przejmować, bo... i tak dziś jest bezpieczniej, niż było kiedyś. Trudno się dziwić, że spora część wyborców uznała to za abdykację elit, rodzaj politycznego samobójstwa.

Z kolei kryzys ekonomiczny pokazał, że gdy ustrój demokratyczno-arystokratyczny nie ma do dzielenia nadmiaru, to zaczyna się problem. Nadmiar dzieli się łatwo, bo nie widać gołym okiem, czy system jest solidarny, czy też nie jest. Z deficytem tak się nie da. Przy dzieleniu deficytu od razu widać, kto się nie chce podzielić.

Wspomniał Pan jeszcze o drugim – rzadziej przywoływanym – wyjaśnieniu kryzysu systemu.

Niektórzy może powiedzą, że to błahostka, ale moim zdaniem ma to swoje znaczenie. Chodzi o pewien rodzaj zepsucia elit. Historie takie jak ta Dominique'a Straussa-Kahna [był poważnym kandydatem w wyścigu po francuską prezydenturę w roku 2011, do startu jednak nie doszło z powodu oskarżeń o przemoc seksualną ze strony kilku kobiet – red.] czy dużo nowsza, sprawa Harveya →

⇒ Weinsteina, znaczą więcej, niż nam się wydaje. Dla wielu ludzi były czymś w rodzaju ostatecznego potwierdzenia, że elity uległy zepsuciu – że uległy gruntownej korupcji wynikającej z przyzwyczajenia do swojej wyjątkowej pozycji. To zgorszenie skutkuje delegitymizacją elit. A to z kolei pociągnęło za sobą fundamentalne pytanie ustrojowe.

Jakie?

Tworząc powojenny system, bardzo zadbane o to, by nie pojawił się żaden nowy tyran. Strażnicy – elity prawnicze, medialne, intelektualne, ekonomiczne, kulturalne – mieli tego pilnować. Jednak jak możemy im ufać, skoro sami nie potrafili upilnować samych siebie. Pojawiło się pytanie ustrojowe: czy brak kontroli demokratycznej nie doprowadził do degeneracji systemu?

Jeszcze słowo na temat kryzysu 2008 roku. To był moment, gdy można było sprawiedliwie podzielić również koszty radzenia sobie z kryzysem. Choćby sięgając do akumulowanego bogactwa, zamiast ciąć wydatki publiczne na państwo dobrobytu. To był też czas na okazanie wewnątrzunijnej solidarności np. drogą umorzenia długu mniej konkurencyjnych krajów strefy euro. Nie zrobiono tego.

Tak, to były realne scenariusze. Fakt, że nie chciano ich tak postrzegać, jest dowodem, iż system jest bardziej arystokratyczny niż demokratyczny. Nie pozwolił naruszyć interesu najsilniejszych.

Dlaczego?

Najbardziej oczywista odpowiedź jest taka, że każda władza jest w gruncie rzeczy taka sama.

Stale dąży do poszerzenia zakresu swej potęgi i źle reaguje na próby jej ograniczenia. Nikt nie lubi rezygnować ze *status quo*, zwłaszcza jeśli jest ono dla nas dobre. Każdy zamach na naszą uprzywilejowaną pozycję rodzi opór. W ten sposób interpretuję nie tylko reakcje Zachodu na kryzys 2008 roku, ale także wiele najostrożniejszych polskich sporów politycznych ostatnich pięciu lat. Na przykład spór o sądy.

Podejrzewam, że część czytelników z trudem zaakceptuje już sam termin „spór o sądy”.

Jeśli tzw. populiści nie udźwigną roli reprezentanta całości, mogą być współwinnymi społecznego paroksyzmu, który z dużym prawdopodobieństwem **skończy się jakąś formą despotii.**

Konflikt między PiS-em a sądami ma dwie warstwy. Pierwszy poziom to jest oczywiście kwestia walki o władzę i wpływy. Mówiłem o tym przed chwilą. Druga warstwa jest taka, że akurat w historii wzmacnianie demokracji i osłabianie władzy sądowej bardzo często szły w parze. To ważny wątek świetnej książki niemieckiego historyka Christiana Meiera „Powstanie polityczności u Greków”, którą wydaliśmy w Teologii Politycznej w 2012 r. Widać tam, że im więcej władzy dostaje lud, tym bardziej musi się ograniczyć arystokracja. Mówienie, że zwiększenie demokratycznej kontroli nad sądownictwem jest niszczeniem demokracji, jest nieporozumieniem. Jeśli system się destabilizuje i nie jest zdolny zaspokoić nowych aspiracji, to musi zostać zredefiniowany.

To jeszcze nie koniec świata. Gdy w VI w. przed naszą erą Solon zakończył w Atenach długi i wyniszczający konflikt pomiędzy biednymi a bogatymi, jego ważnym elementem było – uwaga! – zwiększenie wpływu ludu na sądownictwo.

Ale w Polsce mamy raczej sytuację, że z jednej strony obrońcy sądów mówią: „Demokracja to my”, a z drugiej władza powiada: „Nie, demokracja jest po naszej stronie”.

To są doraźne zakłęcia. A zakłęcia – niezależnie od tego jak bardzo naciągane – działają tylko tak długo, jak długo ludzie nie powiedzą sobie, że właśnie porządek prawny im się nie podoba. Myślę, że jeszcze dziś w Polsce nie jesteśmy na tym etapie. Gniew – z różnych przyczyn nie dojrzał jeszcze tak mocno jak w wielu innych zachodnich krajach. Dla

tego jest jeszcze czas, by rozmawiać o problemie na głębszym poziomie. I tam szukać rozwiązań, zanim jeszcze problem narzmięje.

Gdzie jest ten Pana zdaniem głębszy poziom problemu?

Wyda mi się, że współcześni politycy oraz ich działające w przestrzeni publicznej stronnictwa coraz częściej odpychają od siebie to, że ich podstawowym zadaniem powinno być wzięcie odpowiedzialności za całość.

Polityka jako branie odpowiedzialności za całość. Ładne. To Pana?

Myśl pożyczam od Sofoklesa. Coś takiego próbuje powiedzieć Hajmon swojemu ojcu Kreonowi w „Antygonie”. W ogóle uważam, że „Antygona” to dobry klucz do zrozumienia kłopotów z polskim i nie tylko polskim ładem politycznym.

Kreon przejmuje władzę w Tebach po okresie bratobójczej walki swoich dwóch kuzynów. Jednego z nich ogłasza bohaterem, drugiego zdrajcą. Antygona, córka tego, którego uznano za zdrajcę, grzebie zwłoki ojca wbrew wyraźnemu zakazowi władcy. Zostaje za to skazana na śmierć. Kreon nie okazuje łaski mimo próśb płynących nawet od jego najbliższych.

Współcześni politycy oraz ich stronnicy bardzo mi przypominają takich Kreonów. Kreon to nie jest żaden groteskowy satrapa. Przeciwnie, on uważa politykę za rodzaj racjonalnego projektu. Celem jest wprowadzenie nowego porządku, który będzie lepszy od tego poprzedniego, a na dodatek będzie się cieszył cechą spójności. Kreon przejmuje władzę po wojnie i latach niepokoju. Chce zakończyć tragedię, uporządkować świat. Wszystkich, którzy mu do tego obrazka nie pasują, uznaje za wrogów, którzy mogą wybierać między uległością a eksterminacją. Wierzy, że świat bez nich będzie światem rozumnej harmonii. Pasja, z jaką Kreon próbuje zniszczyć Antygonę, jest zastanawiająca. Dziewczyna nie stanowi dla władzy Kreona bezpośredniego zagrożenia. Prawie do samego końca nie formułuje też żadnego pozytywnego programu politycznego.

Więc dlaczego chce ją zniszczyć?

Bo jest złym politykiem. Nie chce wziąć odpowiedzialności za całość. Żeby tak się stało, musiałby zrezygnować z racjonalistycznej utopii i uwierzyć w nieusuwalną tragiczność świata polityki. Hajmon przekonuje go, że na rzeczywistość składają się puzzle pochodzące z różnych opakowań. Niestety polityk w stylu Kreona widzi i akceptuje wyłącznie elementy pasujące do wymarzonego obrazka. Reszta go irytuje, przeszkadza. Dobry polityk wie, że ważniejsze od ułożenia pięknego obrazka jest wzięcie odpowiedzialności za wszystkie elementy.

A jak to się ma do Polski?

O, bardzo konkretnie. Weźmy na przykład projekt polskiej transformacji po roku 1989. Kreon byłby nim zachwycony. To było przedsięwzięcie z pozoru bardzo racjonalne. Polska miała wyjść z socjalizmu oraz radzieckiej dominacji i dołączyć do świata zachodniego kapitalizmu.

Dlaczego „z pozoru”?

Bo świat, do którego mieliśmy zmierzać, nie był żadną empiryczną rzeczywistością, lecz raczej wyidealizowanym mitem „bogatego Zachodu”. Jednocześnie po naszej stronie dojście do tego mitu wymagało konkretnych posunięć. Trzeba się było pozbyć wszystkich elementów, które do wdrożenia tego nowego wielkiego projektu nie pasują. Z tego brał się ów radykalny podział na „nas” i na „tamtych”. Stąd moim zdaniem – właśnie z tego kreonizmu – brało się okrucieństwo tego projektu. Stąd przekreślanie jednym ruchem losów setek tysięcy ludzi, którym jako jedyny projekt osłony oferowano zupę Jacka Kuronia. Brutalność i sentymentalizm w miejsce projektu opartego na solidarności społecznej. Wielu pyta, czy można było inaczej.

Można było?

To trzeba odpowiadać: tak, można było inaczej. I trzeba było inaczej. Zawsze można uprawiać politykę inną niż ta spod znaku Kreona. Zawsze można było pamiętać, że polityka jest braniem odpowiedzialności za całość. Teraz też można inaczej. Jeśli nie chcemy oglądać wybuchu związanego z kryzysem modelu demokratyczno-arystokratycznego, o którym tak wiele tu powiedzieliśmy. Musi dojść do nowego ułożenia relacji pomiędzy żywiołem demokratycznym a arystokratycznym.



ANDRZEJ HULIMKA / REPORTER

DARIUSZ KARŁOWICZ jest filozofem, publicystą, wydawcą książek i działaczem społecznym. Założyciel rocznika „Teologia Polityczna” i prezes Fundacji św. Mikołaja. W 2008 r. zainicjował powstanie Orszaku Trzech Króli. Napisał m.in. „Arcyparadoks śmierci”, „Koniec ery Konstantyna”, „Sokrates i inni święci”. Niebawem ukaże się jego książka „Teby-Smoleńsk-Warszawa. O iluzji nietragiczności polityki”. Felietonista tygodnika „Sieci”. Wspólnie z Markiem A. Cichockim i Dariuszem Gawinem prowadzi w TVP Kultura cotygodniowy program „Trzeci punkt widzenia”.

Co to znaczy?

Naszym wielkim problemem jest to, że nie rozumiemy, iż problemem systemu stała się jego stabilność. Chcąc ją zachować, musimy przestać działać nawykowo. Dla ćwiczenia wyobraźni warto wrócić do przykładów skutecznie rozwiązanych kryzysów stabilnych modeli politycznych. Warto zastanowić się, czy doświadczenia te można jakoś przełożyć na dzisiejsze warunki polityczne. O reformach Solona już wspominałem. Ciekawy wydaje się przykład starożytnej Mezopotamii, gdzie stabilność porządku ekonomicznego i politycznego prowadziła do powstawania radykalnych nierówności. W efekcie wolni chłopci zadłużali się u dworu, tracąc nie tylko majątki, ale i wolność. Jednocześnie wzmacniała się niebezpieczna dla władcy grupa bogatych, a więc potencjalna oligarchia. Antidotum stała się instytucja regularnego odłużania. Rodzaj ekonomicznego resetu. Raz na jakiś czas uroczyście niszczone tabliczki dłużne. Pomiędzy 2400 a 1400 rokiem historycy naliczyli co najmniej 30 aktów anulowania zobowiązań zaciągniętych przez lud. Umorzenie było in-

stytucją gwarantującą trwałość porządku politycznego, społecznego, a paradoksalnie również gospodarczego i prawnego. Podobny mechanizm był znany również z innych kultur, które musiały zmierzyć się z problemem politycznej, społecznej i prawnej stabilności. W Biblii mamy rok jubileuszowy, czyli ustalony z wyprzedzeniem moment powrotu do własnościowego *status quo ante* – gdy nierówności ulegają częściowej kasacji. Ozdrowieńczy reset pozwala uniknąć wybuchu przemocy. Ale jest i haczyk.

Jaki?

Chodzi o to, że w pewnych warunkach zachowanie stabilności politycznej i społecznej wymaga naruszenia ciągłości prawnej.

Ktoś może zakrzyknąć, że to droga w kierunku końca państwa prawa.

A ja odpowiem, że taka próba reagowania na kryzys systemu jest najgorszą z możliwych reakcji. To traktowanie prawa stanowionego, jakby spadło z nieba albo wykopali je na Księżycu astronauty. To niedorzeczność. Zwłaszcza w sytuacji, gdy zachowanie stabilności politycznej wymaga elastyczności. Bo my musimy przecież podjąć działania, które doprowadzą co najmniej do redukcji nierówności. Nie tylko ekonomicznych. Ale także tych, które się manifestują w braku reprezentacji politycznej, braku podmiotowości, dostępie do dóbr. Powtarzam: to nie musi się odbywać drogą eliminacji arystokracji. Żadna ze stron na dłuższą metę nie może się czuć przegrana.

Do kogo te słowa? Do tych, co się opierają, czy do tych, co napierają?

Myślę o obu stronach. Tzw. populiści muszą udźwignąć rolę reprezentanta interesów całości. Jeśli tego nie udźwigną – a zdarza im się mieć z tym problem – to mogą być współwinnymi społecznego paroksyzmu, który z dużym prawdopodobieństwem skończy się jakąś formą despotii. Ale pamiętajmy, że tyrania może mieć różne genezy. Może być tyranią rozdokazywanej demokracji albo też despotią zainspirowaną przez przerażonych arystokratów, którzy postanowią raz na zawsze zrobić z tą demokratyczną samowolą porządek. Chciałbym bardzo, żeby udało się tego uniknąć.

ANNA

Dziewit-Meller:

Jazda



LUBIĘ JEŹDZIĆ NA NARTACH. NIESPECJALNIE umiem, co prawda: uczyłam się techniki wyłącznie w czasach liceum, na szkolnych obozach narciarskich w Beskidach, i nie przykładałam się jakoś wybitnie do

cyzelowania techniki skrętu typu kristiania, którą nasz nauczyciel wuefu, mgr Ficek, usiłował wyćwiczyć na naszych leniwych nastoletnich ciałach. Narciarstwo mnie wtedy niespecjalnie kręciło i dziś wyraźnie to widać, gdy alpejski wiatr rozwiewa moje wystające spod kasku włosy, a ja usiłuję pokonać kolejne zjazdy, unikając przy tym złamań i kontaktu z przydrożnymi choinkami.

Gdy na stokach mijają mnie z prędkością wiatru koledzy i koleżanki, którzy – podczas gdy ja zajmowałam się czymś zupełnie innym – szlifowali swoje umiejętności na stokach Kasprowego, a może w samym Val d'Isère, nie jest mi przykro. Cieszę się raczej, że mnie nie rozjechali i z godnością dojeżdżam do początkowej stacji gondoli.

Prędkość mnie nie jara, wyrafinowana technika też nie, bo ja narty lubię za coś zupełnie innego. Otóż za każdym razem, gdy (w swoim mniemaniu) pędzę jak błyskawica w dół, mój nadaktywny, zawsze gotów do kolejnej rozkminy mózg przechodzi w zupełnie inny tryb. Ileż to razy podczas niezliczonych już zajęć jogi, na które od lat chodzę, usiłowałam przejść na tę stronę mocy, która mówi: uwolnij się od wszelkich myśli, bądź tu i teraz – zawsze bezskutecznie!

Tymczasem na nartach – mimo iż nie zasuwał w dół tak szybko, jak wielu innych – ów stan „bądź wyłącznie tu i teraz” osiągam już po pierwszych metrach zjazdu! Chcę po prostu przeżyć, dojechać w jednym kawałku na dół i cieszyć się nadal zdrowiem oraz całkowitym brakiem gipsu. Dlatego

maksymalnie skupiam się wyłącznie na przetwarzaniu danych idących z otaczającej mnie natury, tak by wylapać każdą muldę, każdy lód na trasie, każdą niepokojącą koleinę wyżłobioną nartą poprzedników. I je ominąć. Dlatego też – w przeciwieństwie do wielu innych zajęć, które pozwalają myślowo na swobodny bieg, najczęściej w stronę czekających mnie potem obowiązków, problemów do rozwiązania, zadań do zrealizowania – narty uważam za coś najwspanialej na świecie bezproduktywnego. Jest to po prostu czyste bycie z samą sobą i zagrażającą mi przyrodą. Bez żadnego konkretnego celu i powodu. Ale możliwe, że tylko dla mnie – czego jestem prawie pewna widząc wysiłki tych, którzy naprawdę zdecydowali się trenować ten sport, choćby tylko amatorsko.

Piszę zaś o tym wszystkim dlatego, że spędzając ferie z dziećmi na nartach – w wolnych chwilach czytam książkę, niewydaną na razie po polsku, zatytułowaną „How to Do Nothing. Resisting the Attention Economy” autorstwa amerykańskiej pisarki i artystki Jenny Odell.

Mam taką słabość, jako osoba pracująca w wolnym zawodzie – czyli poniekąd będąca w pracy zawsze (bo wszystko, co przeżywam, może mi się potem do czegoś przydać, więc non stop wystawiam radary) – że uwielbiam czytać książki o nicnierobieniu. Odkąd przeczytałam „Jak być leniwym” Thomasa Hodgkinsona, moje życie nieco zmieniło wektor: uwierzyłam, że kiedyś, przy odpowiedniej dozie starania, osiągnę ten stan, w którym nie będę się już zadręczać bezproduktywnie spędzonym czasem, a zacznę – jak mój guru od lenistwa – chwalić się tym.

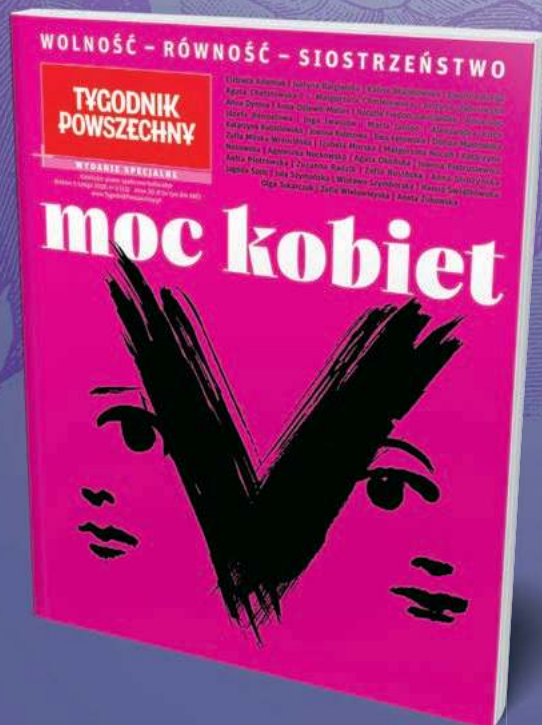
Jenny Odell przychodzi mi z pomocą z innej jeszcze perspektywy. Otóż występując z pozycji krytycznych wobec kapitalizmu i neoliberalizmu, powiada ona: ktoś wmówił nam, że najbardziej wartościowa w nas jako ludziach jest nasza produktywność, rozumiana jako ciągła konieczność wytwarzania nowego. Ale to nieprawda! – zdaje się mówić autorka, która będąc także artystką wizualną, nie wytwarza w ramach działań artystycznych niczego nowego poza kontekstem, w który wsadza istniejące już przedmioty. W związku z tym często spotyka się z niezrozumieniem i gniewem publiczności. Jak to? Co z ciebie za artystka, skoro w sumie nic nie tworzysz? Ludzie – woła Odell – mantra produktywności, którą klepiemy, to iluzja podtrzymywana przez morderczą w skutkach ekonomię uwagi, w której każda sekunda została przeliczona na efektywność. Każde nasze spojrzenie ma cenę, którą ktoś chce zapłacić, by potem uczynić z nas swoich wiernych klientów. Nasza ograniczona uwaga jest więc dziś najcenniejszym towarem. Nic dziwnego, że system pragnie uzależniać nas od siebie, tak byśmy poza jego kręgiem czuli się źle.

Odwrotny perspektywę – proponuje amerykańska autorka. Przecież z punktu widzenia kradnących nam uwagę mediów społecznościowych te myśli, które uznamy tylko za nasze i się nimi nie podzielimy, są całkowicie bezwartościowe. Pozwólmy sobie zatem na to, by mieć ich jak najwięcej. Niech się im to nijak nie opłaca. A robienie niczego jest jak nawóz dla umysłu. Robienie niczego wreszcie – podkreśla pisarka – jest doskonałe dla naszej planety. Przestańmy produkować. Bezproduktywne zajęcia niech przestaną nas brzydzić, niech stan „tu i teraz” stanie się zalecaną przez lekarzy i cenioną przez pacjentów. Po prostu skup się na tym, by dojechać cało na sam dół, i ciesz się, że dojechałaś. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się, na wniosek Danuty i Krzysztofa małżonków Kolanek, pod sygnaturą I Ns 172/19, postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia udziału w 1/3 części w prawie wieczystego użytkowania nieruchomości położonej w Sulejówku, w obrębie 0017, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 82, o pow. 0,0776 ha, dla której prowadzona jest księga wieczysta SI1M/00065639/6.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Ferdynanda Aradyna i Teofila Aradyna, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się do tutejszego sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.



Premiera — już w kioskach!



”

Cudowne było uświadomienie sobie, że nie zdobędę stu procentowej akceptacji otoczenia. Szkoda, że tak późno to rozumiałam.

KATARZYNA NOSOWSKA

„Moc kobiet” – w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

WYDAWCA



WSPÓŁWYDAWCA



PARTNERZY



TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast Powszechny



Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego”

O Noblach i noblistkach. O kosmosie i astronautkach. O zwierzeniach i zwierzętach. O psychologii, edukacji, filmach, sztuce (także umierania), sztucznej inteligencji, polityce, historii, nauce i gwiazdach.

A także o kryzysie klimatycznym, życiu osób głuchych, religii, przemocy domowej, leczeniu niepłodności, mniejszościach i futbolu kobiet.

A nawet mężczyzn.

Zapraszają: Michał Kuźmiński, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Karolina Przewrocka-Aderet, Marcin Żyła.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast



POMOC NIE NA MIEJSCU

Po czterech latach polski Kościół wraca do pomysłu korytarzy humanitarnych dla uchodźców. Podobnie jak wtedy, tak i teraz nie uda się go zrealizować bez pomocy rządu.

EDWARD AUGUSTYN, MARCIN ŻYŁA

ZACZEŁO SIĘ NA POČĄTKU LUTEGO, OD protestu uchodźców. Innego dnia na ulice wyszli Grecy. Protesty się przeplatały. Kiedy policja traktowała uchodźców gazem łzawiącym, dostawało się też wolontariuszom i pracownikom międzynarodowych organizacji.

– Obok 35-tysięcznego miasta wyrósł obóz Moria, w którym mieszka 20 tys. ludzi. To tak, jakby pod Warszawą powstało milionowe miasto uchodźców – mówi „Tygodnikowi” Sonia Nandzik, która od dwóch lat pracuje na Lesbos. – Warunki sanitarne urągają standardom. Do prysznicy stoi się cztery godziny, na kąpiel są dwie minuty. Wielu ludzi chodzi brudnych. Raz dziennie obóz

objeżdżają trzy śmieciarki. Czuć fetor. ONZ boi się epidemii.

Po pięciu latach przymusowego sąsiedztwa miasto Mitylena i obóz Moria mają dość. Nie siebie nawzajem, lecz warunków, w jakich żyją i Grecy, i uchodźcy. Chcą tego samego: aby ci, którzy przyplływają pontonami z nieodległej Turcji (bywa, że 150 osób dziennie), opuścili wyspę.

Nandzik, prezeska fundacji ReFOCUS Media Labs, która zajmuje się edukacją uchodźców, nie pozwala wolontariuszom wracać po zmroku pieszo. – Prowadzi ogólny chaos. Przez kilka dni grupa neofaszystów chodziła po wyspie, biła uchodźców i wolontariuszy – opowiada.

Uchodźcy a polskie niemowlęta

To właśnie kryzys na Lesbos skłonił kardynałów Michaela Czerneho, podsekretarza w watykańskiej Sekcji Migrantów i Uchodźców, oraz Konrada Krajewskiego, papieskiego jałmużnika, do napisania listu do biskupów Europy. Zaproponowali w nim przesiedlenie najbardziej potrzebujących przy pomocy tzw. korytarzy humanitarnych – mechanizmu od kilku lat z sukcesem stosowanego przez katolicką Wspólnotę Sant’Egidio, która sprowadziła w ten sposób do Włoch ponad 2,5 tys. uchodźców (korytarze działają też we Francji, Belgii, Luksemburgu i Andorze). Przypomnieli apel Franciszka

ALKIS KONSTANTINIDIS / REUTERS / FORUM





Migranci w obozie Moria podczas przygotowania do wyjazdu do Grecji kontynentalnej, Lesbos, wrzesień 2019 r.

z 2015 r., aby „każda parafia, wspólnota zakonna, klasztor czy sanktuarium przyjęły przynajmniej jedną rodzinę uchodźców”, oraz jego wizytę na Lesbos rok później, gdy zabrał do Watykanu 12 uchodźców (kolejnych 9 przyleciało rok później).

List trafił też do abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego polskiego Episkopatu. Jego rzecznik prasowy ks. Paweł Rytel-Andrianik potwierdził, że pismo przekazano biskupom diecezjalnym. Wiemy też, że przynajmniej jeden zadeklarował już chęć przyjęcia uchodźców do swojej diecezji.

Jednak to nie biskupi zdecydują, czy ktokolwiek z Lesbos trafi do Polski. Uruchomienie korytarzy humanitarnych

i tak zależeć będzie od rządu, który również na wrogości wobec uchodźców budował swoją polityczną pozycję. Konsekwentne wzbudzanie lęku przed „obcymi”, przy równoczesnym prezentowaniu siebie jako jedynych gwarantów bezpieczeństwa Polaków, jest uznawane za jedną z przyczyn sukcesów wyborczych PiS.

Nie przeszkodziły im nawet najbardziej absurdalne wypowiedzi. „Ostatnio słyszałem, że Państwo Islamskie (...) szkoli swoich żołnierzy w ten sposób, że oni wysadzają w powietrze niemowlęta. Otóż od tego jestem polskim politykiem, żeby zapobiec lub zmniejszyć ryzyko, że kiedykolwiek ktoś wysadzi w powietrze

polskie niemowlę” – mówił w 2015 r. Jarosław Gowin.

Do dwóch razy sztuka

Czy od tamtego czasu zdarzyło się coś, co skłoniłoby władze do zmiany zdania? Według Marty Titaniec z Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, która w 2016 r. kierowała programami zagranicznymi polskiego Caritasu i przygotowała projekt korytarzy humanitarnych do naszego kraju – tak.

– Wtedy trwała pierwsza kadencja PiS, było prężenie muskułów. Nie daliśmy sobie szansy. To nasza wspólna wina: ani media, ani rząd, ani Kościół nie stworzyły przestrzeni do dyskusji, do →

⇒ wypowiedzenia lęków. Dziś jest szansa na dialog. W Kościele coraz bardziej przebija się myśl, że wiązanie się z jedną partią nie jest dobre. I biskupi mogą bardziej na rząd naciskać – mówi Titaniec.

Cztery lata temu pomoc miała objąć syryjskich uchodźców z Libanu. Myślano o kilku rodzinach z dziećmi, wymagającymi najczęściej pomocy ortopedycznej. Biskupi powiązali projekt z jubileuszem 1000-lecia chrztu Polski oraz wizytą papieża na Światowych Dniach Młodzieży w Krakowie. Episkopat podjął stosowną uchwałę, na Bliski Wschód udała się misja rozpoznawcza.

Marta Titaniec: – Mieliśmy wsparcie prymasa Wojciecha Polaka, abp. Gądeckiego, kard. Kazimierza Nycza, bp. Krzysztofa Zadarki i kilku innych biskupów. Ale im niżej, tym było gorzej. Kard. Nycz ogłosił spotkanie dla proboszczów i burmistrzów chętnych do przyjęcia uchodźców. Przyszło raptem kilku.

Jednak za niepowodzenie akcji sprzed czterech lat nie odpowiadają księża. Kluczowe było spotkanie w ministerstwie spraw wewnętrznych: – Rozmowa trwała półtorej godziny i nie była miła. Na odchodnym minister Jakub Skiba, kładąc rękę na sercu, powiedział: „Nie przyjmujemy uchodźców, bo chcemy chronić naszą chrześcijańską tożsamość” – wspomina Titaniec.

Szlaban nawet przed chorymi

Bp Krzysztof Zadarko, delegat Episkopatu ds. imigracji i pomocy dla uchodźców, który brał udział w tamtych rozmowach, nie chce komentować pomysłu kardynałów. – Propozycja korytarzy humanitarnych jest nowa. Każdy biskup może odpowiedzieć na nią, biorąc pod uwagę możliwości własnej diecezji. Jeśli mamy szukać wspólnej odpowiedzi, muszą się wypowiedzieć wszyscy biskupi. Będziemy o tym rozmawiać w marcu – mówi „Tygodnikowi”.

Wcześniej, razem z wiceszefem Caritasu, bp Zadarko poleci na Lesbos. – Zorientujemy się w sytuacji – mówi. – Z tego, co wiem, niektórzy uchodźcy na Lesbos mają już załatwione formalności, są na listach do ewakuacji. Aby opuścić wyspę, potrzebują wiz humanitarnych.

Konieczne będą więc rozmowy z władzami państwowymi. Tyle że rząd podtrzymuje hasło o „pomaganiu na miejscu”, odmawiając sprowadzenia do Polski nawet ciężko chorych i wyłącznie na czas

leczenia. Jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, polskie służby od miesięcy „rozpastrują” kilka wniosków o pilną ewakuację medyczną, choć są szpitale gotowe przyjmować chorych i pieniądze na ich przyjazd.

W takiej sytuacji same zapewnienia kardynałów Czernego i Krajewskiego, z którymi „Tygodnik” rozmawiał w Watykanie – że korytarze humanitarne to pomoc osobom o ustalonej tożsamości, zweryfikowanym przez polskie służby, rodzinom z dziećmi, ofiarom wojen i konfliktów, nie zaś migrantom ekonomicznym – raczej nie znajdują wśród władz zrozumienia.

– Bez zielonego światła ze strony rządu korytarze humanitarne są niemożliwe, bo nie jest to tylko sprawa wrażliwości humanitarnej – przyznaje bp Zadarko. I dodaje: – Potrzebny jest odpowiedni klimat, rozwiązania prawne, praca w samorządach. To nie tylko sprawa Kościoła. Do opinii publicznej dociera wyłącznie to, co pokazują media, a ten przekaz nie jest zachęcający. Pod względem społecznym i politycznym sytuacja jest podobna do tej z 2015 r. Mamy kampanię wyborczą.

Zdaniem Marty Titaniec, Polacy chętnie pomagają: – Przekonują o tym akcje, jakie organizowaliśmy dla ofiar katastrof i wojen. 75 proc. Polaków uważa, że nasz kraj powinien pomagać innym, przede wszystkim dlatego, że kiedyś sami taką pomoc dostawaliśmy. Na drugim miejscu wymieniane są powody etyczne. Oczywiście, pomoc zagraniczna to nie to samo, co sprowadzanie uchodźców. Ale te wyniki świadczą o naszej hojności – twierdzi działaczka warszawskiego KIK-u.

Jednak badania CBOS z lipca 2018 r. pokazują, że przeciwko przyjmowaniu do Polski osób z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki jest aż 72 proc. rodaków. Skoro przyjęcie uchodźców nie przyniesie politycznych korzyści – ani rządowi, ani opozycji – dlaczego ktokolwiek miałby do tego wracać?

Co ma zrobić chrześcijanin

Kościół ma własną odpowiedź – to Ewangelia i jej słowa: „Byłem przybyszem, a nie przyjęliście mnie”. Ma też papieża Franciszka, który z losu uchodźców uczynił jedną z osi swego pontyfikatu.

Choć pojawiają się kontrargumenty: że Ewangelia, owszem, każe pomagać, ale przecież nie mówi, jak. Że wsparcie ma być „mądre i odpowiedzialne”. Że otwarcie granic skończy się źle – jeśli nie dla

gospodarki czy kultury, to na pewno dla polityki. Już raz się tak stało: w latach 2015-16 na lęku przed obcymi utorowało sobie drogę do władzy wiele europejskich partii skrajnych; we własnych ugrupowaniach kłopoty mieli także politycy umiarkowani, jak kanclerz Niemiec Angela Merkel.

Część katolików uważa, że papież myli ewangeliczny radykalizm z naiwnym idealizmem. Pytają praktycznie: kto zapewni opiekę sprowadzonym uchodźcom, jak umożliwić integrację przybyszów, zwłaszcza w tak monokulturowym społeczeństwie, skąd wziąć tylu asystentów socjalnych, kto zajmie się afgańską czy erytrejską rodziną, skoro w parafii ani nawet w mieście nie ma osoby mówiącej ich językiem (uchodźcy nie zawsze znają angielski).

Są też wątpliwości bardziej ogólne. Korytarze humanitarne pomogą tylko wybranym kilku-kilkunastu tysiącom ludzi, nie są więc odpowiedzią na coraz większe wyzwania migracyjne. Do 2050 r. Afryce przybędzie 1,3 mld nowych mieszkańców. Na całym świecie będzie wtedy 1,5 mld uchodźców klimatycznych. Czy w tej sytuacji uda się utrzymać dotychczasowy podział na uchodźców (osoby, które ze względu na wojnę lub prześladowania nie mogą powrócić do swojego kraju) i migrantów ekonomicznych (poszukujących „lepszego życia”)?

Legaliści chcą utrzymania tego rozgraniczenia. Jednak pochodzi ono z lat 50. XX w., kiedy sytuacja w świecie była całkiem inna. Dziś coraz częściej mówimy o tzw. migracji mieszanej, czyli takiej, w której odróżnienie powodów opuszczenia kraju rodzinnego jest trudne lub niemożliwe. Uchwalone w 2018 r. przez ONZ porozumienie „Global Compact on Refugees” to dopiero zapowiedź prawdopodobnych zmian w prawie międzynarodowym.

Co więcej: apele o migrację legalną są coraz mniej wiarygodne w sytuacji, gdy same państwa jawnie naruszają obecne przepisy. Stany Zjednoczone czy Polska odsyłają migrantów z granic z Meksykiem czy Białorusią utrudniając im składanie wniosków o azyl.

Przykład z Niemiec

Naczelne hasło, wokół którego w Polsce toczy się spór o uchodźców – „przyjąć lub nie przyjąć” – coraz bardziej traci na znaczeniu. Europa jest już gdzie in-

dziej. Niemcy, które w 2015 r. zarejestrowały 1,1 mln nowych imigrantów, z ich integracją radzą sobie stosunkowo dobrze. Mimo problemów (także kryminalnych; badania opinii publicznej wskazują również na wzrost poczucia lęku wśród Niemców) nie doszło do prognozowanej przez wielu polityków fali zamachów.

Praktyka Kościołów w Niemczech, Austrii czy Włoszech pokazuje, że między naiwnym idealizmem („przyjmijmy wszystkich”) a brutalnym pragmatyzmem („nie wpuścimy nikogo”) jest przesześć do działań. W tych krajach osoby, którym odmówiono statusu uchodźcy, znajdowały często azyl w świątyniach (choć, dodajmy, podnosiły się głosy, że to podważanie porządku prawnego). W całej Europie Kościół katolicki prowadził w tym czasie ok. 8 tys. projektów na rzecz migrantów, azylantów i uchodźców, w większości muzułmanów.

W Polsce taka pomoc też jest możliwa, choć na pewno nie byłaby masowa. Bp Krzysztof Zadarko pamięta, że w Libanie prawie nie było chętnych na wyjazd do Polski. – Choć teraz – zauważa – sytuacja na Lesbos zmienia się na gorsze. Ci, którzy tam są, marzą tylko o jednym: by wydostać się z wyspy. Gdyby udało się uratować życie i przyszłość kilkudziesięciu osobom, byłby to dobry znak nadziei.

Po drugie, biorąc pod uwagę dobrowolność przystąpienia do programu korytarzy humanitarnych (inaczej niż w przypadku projektu relokacji, forsowanego wcześniej przez Unię), mówimy o kilkudziesięciu, maksymalnie kilkuset osobach, które mogłyby zostać przyjęte przez 27 polskich diecezji. A instytucji, które mają doświadczenie w pracy na rzecz uchodźców, nie brakuje. To choćby Caritas Polska, Wspólnota Sant'Egidio, warszawski KIK, jezuickie Centrum Społeczne „W akcji”, inicjatywa „Chlebem i Solą” czy wiele lokalnych organizacji pozarządowych.

Bez państwa ani rusz

Owszem: samo przyjęcie uchodźców to tylko początek. Anna Chmielewska z Fundacji Ocalenie, koordynatorka Centrum Pomocy Cudzoziemcom w Warszawie, długo wymienia, jakie wsparcie konieczne jest do skutecznej integracji. Przybywający do Europy często uciekali przed wojną, mają zespół stresu pourazowego, deficyty związane z traumami: – Pomoc w usamodzielnianiu się uchodźców musi

Korytarze humanitarne na nowo:

1. DIECEZJE zgłaszają do episkopatów chęć przyjęcia uchodźców i określają ich liczbę.

2. EPISKOPATY występują do rządów swych państw o zaoferowanie pomocy Grecji w rozpatrzeniu wniosków o azyl polityczny ustalonej liczbie uchodźców.

3. WSPÓLNOTA SANT'EGIDIO ustala wraz z przedstawicielami episkopatów listę potencjalnych beneficjentów. Mogą nimi być:

- osoby ubiegające się o azyl, wobec których procedura przyznania ochrony międzynarodowej rozpoczęła się w Grecji, a zostanie dokończona w kraju, który oferuje gościnę;

- osoby, których sytuację normy ONZ i UE uznają za „szczególnie wrażliwą” (np. chorzy, samotne matki z dziećmi). Na razie nie przewiduje się włączenia do programu dzieci bez opieki rodziców;

- w pierwszej kolejności osoby przebywające w obozach na wyspie Lesbos, z czasem także z obozów na sąsiedniej wyspie Samos.

4. PO WERYFIKACJI listy episkopaty przekazują dane beneficjentów władzom państwowym, te z kolei przesyłają je rządowi Grecji.

być szyta na ich miarę. Chcielibyśmy, żeby od razu poszli do pracy i sprawnie się integrowali. Ale niektórzy muszą najpierw doprowadzić do równowagi swoje życie psychiczne – mówi.

Asystenci, tzw. mentorzy kulturowi, pomagają w kwestiach podstawowych: pokazują, gdzie jest MOPS, urząd pracy, gdzie składa się wnioski o kartę pobytu. Wyjaśniają, czym jest Urząd Skarbowy, PIT, prawa pracownicze. – W większości przypadków – wyjaśnia Chmielewska – rok takiej asystentury to za mało.

Dochodzi do tego problem z dostępem do tanich mieszkań i przeszkody biurokratyczne. Jak wykazał ostatni, drugoczący dla urzędów wojewódzkich raport NIK-u, w Polsce na wydanie rocznej karty pobytu czeka się... półtora roku.

Wszystko to potwierdza, że sama chęć Kościoła nie wystarczy. Sprawne przyjęcie uchodźców nie jest możliwe bez aktywnego zaangażowania się państwa.

Nadmuchiwana zaporą

Bp Zadarko przyznaje, że w Polsce rozmowy z władzą są trudniejsze niż we Włoszech, gdzie Wspólnota Sant'Egidio miała w rządzie wydeptane ścieżki. Nawet oskarżany o populizm b. wicepremier Matteo Salvini zgodził się na przyjęcie 600 uchodźców z Rogu Afryki i Bliskiego Wschodu.

W marcu 2017 r. prezes PiS Jarosław Kaczyński mówił „Rzeczpospolitej”: „Jeśli chodzi o korytarze humanitarne, pomoc nawet kilkuset chorym osobom – to ja nie mam nic przeciwko temu. To nie moja decyzja, tylko rządu, ale można ją podjąć. I trzeba pomagać. Ja chodzę do kościoła rektorskiego redemptorystów na Nowym Mieście i utrzymujemy tam jedną rodzinę w Syrii, wdowę z synem. Tego rodzaju akcje są potrzebne i sam w nich uczestniczę”. Dziś w takich wypowiedziach zwolennicy korytarzy humanitarnych upatrują nadziei.

Marta Titaniec: – Niesamowicie, że coś, co nie udało się politykom, próbuje robić Kościół. Po raz kolejny może wpłynąć na historię Europy. Tak samo zaczęło się pojednanie polsko-niemieckie: nie od rządów, ale oddolnie. To jest najciekawsze w propozycji kardynałów Czernego i Krajewskiego. I ma szansę się udać.

Po zamieszkach na Lesbos Sonia Nandzik napisała na Facebooku emocjonalny post. Zakończyła go ostrzeżeniem, które od lat powtarzają pracujący z uchodźcami albo badacze migracji, ale o czym prawie nie mówią politycy: „Prędzej czy później pocujemy konsekwencje tego, co się dzieje w Grecji, we Włoszech czy Hiszpanii. Oby wówczas nie było za późno na zmiany”. Dla niej Lesbos to laboratorium przyszłego świata.

– Ostatnio pojawił się tu nowy pomysł: zbudowania nadmuchiwanej zapory przed uchodźcami, która unosiłaby się na powierzchni morza – mówi na koniec „Tygodnikowi”. – Trwa przetarg na budowę, ma mieć 3 km długości i światła, żeby było ją widać z daleka. Tylko nikt nie wie, co będzie, gdy uchodźcy utkną na tej barierze. Bo skoro bariera stanie na greckich wodach terytorialnych, to i tak Grecy będą musieli ich ściągać na ląd.

©© EDWARD AUGUSTYN, MARCIN ŻYŁA

Amazońskie marzenia papieża

PIOTR SIKORA

Ogłoszona właśnie adhortacja „Ukochana Amazonia” nie zawiera konkretnych rozwiązań. Otwiera sporo możliwości, ale to od lokalnych Kościołów zależy, czy zostaną zrealizowane.

PAPIEŻOWI NAPRAWDĘ CHODZI O AMAZONIĘ. Trzeba to napisać, gdyż wielu krytyków Franciszka twierdziło, że pomysł zwołania synodu dla tego regionu jest sprytnym dyplomatycznym zabiegiem, by pod pozorem szukania rozwiązań dla specyficznego obszaru wprowadzić tylnymi drzwiami w życie całego Kościoła kontrowersyjne pomysły, takie jak odejście od obowiązkowego celibatu lub święcenia diakonatu dla kobiet.

Dokument Końcowy Synodu sugerował potrzebę wprowadzenia takich rozwiązań – choć raczej na marginesie znaczących szerszych tematycznie rozważań. Oczekiwanie na posynodalną papieską adhortację zostało zdominowane właśnie przez wspomniane wyżej kwestie. Także za sprawą ostatniej większej kościelnej „afery” – niejasnego sposobu wciągnięcia Benedykta XVI w publikację (wraz z kard. Sarahem) książki na temat celibatu.

Nic więc dziwnego, że jedną z najczęściej powtarzanych informacji na temat papieskiego dokumentu jest ta, że w adhortacji na te gorące tematy nic nie ma. Papież ani nie uznaje postulatów ojców synodalnych za domagające się wprowadzenia, ani ich nie odrzuca. Píše o czym innym, proponując poszukiwanie nowej perspektywy.

Ze względu na to, że tekst adhortacji został ukończony w grudniu ubiegłego roku – jeszcze przed wybuchem sprawy książki kard. Saraha (i Benedykta XVI?), trudno uznać decyzję papieża za unik dokonany pod wpływem tamtej publikacji. Wybór tematyki jest spowodowany raczej wewnętrzną, osobistą potrzebą Franciszka. Wskazuje na to także forma adhortacji – jest skomponowana jako wyraz czterech marzeń papieża wobec „ukochanej Amazonii”.

Pierwsze trzy marzenia – społeczne, kulturowe i ekologiczne – można rozpatrywać nie tylko w perspektywie chrześcijańskiej (mimo że papieża do ich sformułowania wyraźnie inspirowało jego rozumienie Ewangelii). W marzeniach tych zawarta jest radykalna krytyka konsumpcyjnej cywilizacji, którą rządzą moiżni tego świata, nie dbając o potrzeby, a nawet samo życie słabszych: ludzi i ich środowiska.

Trzeba jednak przyznać, że te marzenia Franciszka wobec Amazonii łatwo można było przewidzieć. Są bardzo podobne do papieskiej wizji świata, którą przedstawiał szerzej w swoich wcześniejszych najważniejszych dokumentach, takich jak „Ewangelii gaudium”, „Laudato si” czy w licznych homiliach i przemówieniach.

Kościół przyszłości

Najważniejsze w adhortacji jest marzenie czwarte – dotyczące Kościoła. Choć wielu komentatorów wyrażało rozczarowanie, że papież nie zawarł w nim konkretnych decyzji wprowadzających te lub inne reformy Kościoła, obejmuje ono kilka bardzo ciekawych elementów.

Inspirujące powinno być m.in. papieskie spojrzenie na dialog chrześcijan z niechrześcijańskimi religiami pierwotnymi i na inkulturację Ewangelii. Ta kwestia również wzbudzała podczas trwania Synodu wiele kontrowersji (najgłośniejsza dotyczyła posążków tzw. Pachamamy – umieszczonych w jednym z rzymskich kościołów, porwanych stamtąd przez katolickich tradycjonalistów i wrzuconych przez nich do Tybru). Organizatorzy Synodu i sam papież oskarżani byli o łamanie pierwszego przykazania Dekalogu – o bałwochwalstwo. W adhortacji Fran-

ciszek wyraźnie broni istnienia elementów prawdy i dobra w pierwotnych kulturach i symbolach oraz możliwości włączania pewnych ich elementów nawet do chrześcijańskiej liturgii.

Otwarcie na duchowość rdzennych ludów Amazonii wiąże się w marzeniu Franciszka z odkryciem kontemplacyjno-kosmicznego aspektu chrześcijaństwa. Podejście do świata stworzonego nie może być tylko analityczno-pragmatyczne. Potrzebna jest postawa kontemplacyjna, tak bliska mieszkańcom Amazonii. Chrześcijanie, inspirowani się ich postawą, mogą odkryć wszechobecność Chrystusa – także w przyrodzie: „On chwalebnie i tajemniczo obecny w rzecze, w drzewach, w rybach, w wietrze, będąc Panem, który panuje nad stworzeniem, nie tracąc swoich przemienionych ran, a w Eucharystii przyjmuje elementy świata udzielając każdemu sensu daru paschalnego” (74).

Marzenie kościelne Franciszka nie pozostaje na poziomie teologii religii i duchowości. Papież dzieli się także swoją wizją sposobu funkcjonowania wspólnot Kościoła. Owszem – nie proponuje tutaj rozwiązań takich, jak święcenie żonatych czy diakonat kobiet. Niemniej rysuje kilka sugestii o wielkiej doniosłości.

Reforma kapłaństwa

Pierwszą z nich jest zarys głęboko zmiennej teologii święceń prezbiteratu. W dotychczasowym nauczaniu bycie księdzem łączono z potrójną rolą: uświęcania, nauczania i rządzenia. Franciszek zaś wyraźnie píše, że jedyne, co wchodzi w zakres nieprzekazywalnej „odrębności” prezbitera, to władza przewodniczenia Eucharystii („tylko on – píše papież – może powiedzieć »to jest ciało moje«”) oraz władza odpuszczania grzechów. Władza rządzenia wspólnotą oraz możliwość nauczania powinny być dostępne także świeckim: kobietom i mężczyznom.

Franciszek zaznacza też, że potrzebna jest taka zmiana kościelnych struktur, by owa teologiczna możliwość realizowała się w praktyce. Píše np., że w Kościele amazońskim potrzeba „stałej obecności dojrzałych liderów świeckich obdarzonych władzą” (94 – polskie tłumaczenie ma w tym miejscu słowo „autorytet”; oryginalne hiszpańskie „autoridad” oznacza jednak przede wszystkim „władzę” – a to tłumaczenie wydaje się lepsze także ze



Franciszek wita wiernych z Amazonii, Puerto Maldonado, Peru, 19 stycznia 2019 r.

względu na kontekst; moim zdaniem polski przykład jest w tym miejscu – jak i w paru innych – zdeterminowany klerykalną wizją Kościoła, przeciwną temu, ku czemu zmierza Franciszek). W takich oficjalnie uznanych strukturach znaczące role liderów przewodzących konkretnym wspólnotom powinny pełnić, zdaniem Franciszka, także kobiety.

Papież jest świadomy, że obecnie ścierają się różne wizje Kościoła i dlatego ludzie zaangażowani w pracę duszpasterską „proponują pozornie przeciwstawne formy organizacji kościelnej”. Tego przecież dotyczy spór o wprowadzenie diakonatu kobiet czy prezbiteratu żonatych mężczyzn. Franciszek wydaje się być świadomy pojawiających się tu głębokich podziałów i sugeruje, by nie forsować żadnego z konkurencyjnych rozwiązań, lecz rozwiązywać konflikt „na wyższym poziomie”, „szukając innych, lepszych sposobów, być może wcześniej niedostrzeżonych” (por. 104).

To marzenie Franciszka odczytuję jako propozycję wizji Kościoła, w którym podział na świeckich i duchownych będzie na tyle mało znaczący, iż spór o to, kogo dopuścić do których święceń, nie będzie aż tak ważny. Ta teologiczna wizja wydaje mi się pociągająca. Uważam jednak, że jej dopracowanie wymaga jeszcze głębszej przemiany naszej teologii niż ewentualne dopuszczenie kobiet do diakonatu, a do prezbiteratu żonatych.

Dlatego obawiam się, że pomysł Franciszka – jeśli nie pozostanie w sferze niejasnych sformułowań papieskiego dokumentu, lecz będzie nabierał konkretnych form w rzeczywistości kościelnej – spotka się z jeszcze silniejszym oporem zwolenników *status quo*.

Tandem dokumentów

Przy interpretacji adhortacji „Querida Amazonia” istotna jest też świadomość, że – jak Franciszek zaznacza na samym jej początku – jego tekst nie zastępuje tek-

stu Dokumentu Końcowego Synodu. Co więcej: papież „oficjalnie przedstawia” ów dokument.

Takie sformułowanie pojawia się pierwszy raz w historii posynodalnych papieskich adhortacji. Trzeba je zrozumieć jako stwierdzenie, że oba dokumenty należy czytać razem – że dopiero wspólnie stanowią one głos Kościoła po Synodzie Amazonii. Znaczenie końcowego dokumentu synodalnego jest tym większe, że – jak przyznaje Franciszek – przy jego tworzeniu „współpracowało wiele osób znających lepiej ode mnie i od Kurii Rzymskiej problematykę Amazonii” (3). Papież nie cytuje tamtego tekstu, lecz zaprasza „do przeczytania go w całości”.

Jak wyjaśniał kard. Czerny podczas oficjalnej prezentacji adhortacji, obecność owego zaproszenia daje tekstowi Dokumentu Końcowego „poza formalnym autorytetem magisterialnym” (jako stanowisku Synodu), „pewien autorytet →

⇒ moralny”. W konsekwencji „zignorowanie tego byłoby brakiem posłuszeństwa wobec prawowitego autorytetu Ojca Świętego, podczas gdy znalezienie pewnych punktów trudnych nie byłoby uważane za brak wiary”.

Jeśli więc nawet są punkty, w których papież ma nieco inną perspektywę niż ojcowie Synodu, proponowane przez niego rozwiązania są tylko elementem szerszej całości: „Pragnę jedynie przedstawić zwięzły zarys refleksji, który ucieleśniałby w rzeczywistości amazońskiej syntezę niektórych głównych trosk, które wyraziłem już w moich poprzednich dokumentach, aby pomógł i ukierunkował ku harmonijnej, twórczej i owocnej recepcji całego procesu synodalnego” (2).

Siła w lokalnej różnorodności

Można więc uznać, że w intencji Franciszka sposób recepcji Synodu w konkretnych wspólnotach nie musi być wyznaczony przez rzymskie – nawet papieskie – instrukcje. Byłoby to zgodne z konsekwentnie rozwijaną przez Franciszka ideą synodalności i decentralizacji Kościoła. Papież być może nie ma zamiaru wyznaczać konkretnych rozwiązań, raczej chce, żeby były one wypracowywane na szczeblu lokalnym. Może to dotyczyć także najbardziej dziś gorącej kwestii dyscypliny księżowskiego celibatu. Jak czytamy w adhortacji: „Inkultuacja powinna się także rozwijać i odzwierciedlać w konkretnym sposobie realizowania organizacji Kościoła i posługi” (85). W konsekwencji „Sposób ukształtowania życia i wykonywania posługi kapłanów nie jest monolityczny i nabiera odmiennych odcieni w różnych miejscach ziemi” (87).

Intencje Franciszka widać też w formie adhortacji – papież obficie cytuje amazońskich poetów i stara się unikać technicznego, europejskiego żargonu teologiczno-kościelnego. Przyznaje, że ci, którzy „żyją w Amazonii i ją namiętnie kochają”, lepiej niż on znają jej problemy. Dzieli się swoimi przemyśleniami, ale jednocześnie próbuje dać głos tym, o których myśli, a których głos nie jest jak dotąd słuchany.

©© PIOTR SIKORA

Sto pytań

STANISŁAW ZASADA

Wstydlivej płaskorzeźby nie widać – czy o jej istnieniu informować zwiedzających świątynię? To dylemat opiekunów katedry w Gnieźnie, jednej z najstarszych w Polsce.

RABIN UNOSI OGON ŚWINI I WPATRUJE się w jej odbyt. Drugi ją karmi, nie widać dokładnie czym, ale na innych średniowiecznych przedstawieniach motywu Judensau („Żydowska świnia”) jest to dziecko chrześcijańskie. Obok rabina rogata postać diabła. Widać jeszcze, jak siedem prosiąt ssie mleko z sutków maciory.

Obsceniczna płaskorzeźba znajduje się w gnieźnieńskiej katedrze od 600 lat. Gniezno to stolica pierwszej polskiej metropolii kościelnej i siedziba prymasów. W tysiącletniej katedrze jest grób patrona Polski, odbywały się w niej koronacje władców z dynastii Piastów, modlił się Jan Paweł II, zaglądają tu wycieczki z całego świata.

– Czy należy wyjaśnić, w jakich czasach powstała rzeźba? – pytam gnieźnieńskich duchownych.

Rabin się nie przejął

Rzeźba znajduje się w bocznej kaplicy św. Andrzeja zwanej też kaplicą Olszowskiego (obok na zdjęciu), w pobliżu konfesji z relikwiami św. Wojciecha. Kaplica jest okratowana i zamknięta.

– Nie udostępniamy jej do zwiedzania ze względów bezpieczeństwa – ks. Jarosław Bogacz jest dyrektorem Muzeum Archidiecezjalnego i diecezjalnym konserwatorem zabytków. – Są tutaj zabytkowe obrazy, świeczniki. Trudno byłoby wszystkiego upilnować.

Mnie ksiądz Bogacz pozwala wejść do środka: – Sam się pan przekona, jak trudno ją dojrzeć. Ludzie nawet nie wiedzą, że coś takiego tutaj się znajduje.

Ma rację. XIV-wieczna płaskorzeźba jest na portalu, ale od wewnętrznej strony kaplicy. Próbowałem wcześniej zobaczyć ją przez kratę i niewiele widziałem.

– Otwieram ją najwyżej kilka razy w roku – zakrystian brat Piotr przekręca wielkim kluczem zamek, a potem mocuje się z kutymi z żelaza drzwiami.

Rzeźba znajduje się na prawym kapitelu lizeny, która podtrzymuje gotycki łuk. Jest nad samym wejściem. Na wysokości grubo ponad pięciu metrów. Muszę zadrzeć wysoko głowę, żeby się jej przyrzuć. Na drugim kapitule jest – wykonana pewnie tą samą ręką – płaskorzeźba ukazująca Żydów, którzy tańczą przy złotym cielcu.

– Ale ta druga nie ma wymowy antysemickiej – uspokaja ks. Bogacz, gdy oglądamy na laptopie zdjęcia obu płaskorzeźb. – To nawiązanie do sceny ze Starego Testamentu.

Nie jest to jednak zwykła ilustracja do Księgi Wyjścia, gdzie Izraelici oddają część złotemu cielcowi. Ci w Gnieźnie przedstawieni są w spiczastych czapkach. Takie musieli nosić w Europie od XIII wieku. Nakazał to Sobór Laterański IV, by odróżnić ich od chrześcijan. Wcześniej Żydzi nosili takie stroje dobrowolnie. Później odbierali to jako przejaw dyskryminacji.

Przed wejściem do kaplicy Olszowskiego jest tabliczka, która wylicza znajdujące się w niej zabytki. O tych rzeźbach ani słowa.

– A po co się chwalić czymś, czego nie widać? – tłumaczy dyrektor muzeum. – Przecież poza kilkoma historykami sztuki nikt o tym nie wie.

Sam pokazywał rzeźbę dwóm wycieczkom z Izraela: samorządowcom z Jerozolimy i delegacji uniwersytetu z Tel Awiwu.

– Byli zaskoczeni, że jest tak mało widoczna – kapłan opowiada o ich reakcji. – Bo widzieli wcześniej te w Niemczech.

O rzeźbie słyszał też Michael Schudrich, naczelný rabin Polski. Podobno nie przejął się tym.



JAROSŁAW GRYGUC

Naziści cytują Lutra

Judensau zrodziło się w XIII wieku w Niemczech. To czas, gdy w Europie rozpala się antysemityzm: pod adresem Żydów padają oskarżenia o morderstwa rytualne na chrześcijańskich dzieciach, o profanację hostii. Prości ludzie przyjmują je za prawdziwe. Atmosferę podgrzewa kler.

Na elewacjach kościołów w całych Niemczech pojawiają się wtedy rzeźby przedstawiające rabina zagląającego pod świński ogon i żydowskie dzieci, które piją mleko z sutków zwierzęcia. Czasem Żyd dosiada świni. Dla wyznawców judaizmu to zwierzę nieczyste. Talmud zakazuje nawet wymieniania jego nazwy.

Antropolog kultury prof. Joanna Tokarska-Bakir w wywiadzie dla „Przeglądu Powszechnego” sprzed kilkunastu lat dopowiada: „Wśród historycznych, dziś już zapomnianych klisz antyjud-

izmu chrześcijańskiego jest jedna szczególnie ekspresyjna: gadka o tym, że Żydzi są dziećmi (lub siostrzeńcami) świni”.

Korzenie Judensau sięgają czasów niemal starożytnych. W VII wieku Izidor z Sewilli przypisuje świni same złe przymioty: łakomstwo, rozpustę, rozwiązłość, pożyrdliwość. Żyjący sto lat po nim Hraban Maur zestawia Żydów ze świniami.

W średniowiecznych Niemczech niemal każde miasto chce mieć na świątyniach Judensau. Najczęściej kamienne płaskorzeźby pojawiają się na elewacjach katedr i zwykłych kościołów. Można je spotkać w Kolonii, Magdeburgu, Norymberdze, Ratyzbonie. Zbiegło się to z falą prześladowań Żydów w Niemczech.

Jedną z takich rzeźb jest też na murach kościoła Mariackiego w Wittenberdze, w którym będzie głosił kazania Marcin Luter. Wywoła to potem dodatkowo złe

skojarzenia. Twórca reformacji zwalczał nie tylko handlowanie odpustami. Atakował też wyznawców judaizmu. W traktacie „O Żydach i ich kłamstwach” dawał takie rady: „podpalać ich synagogi i szkoły”, „niszczyć też i burzyć ich domy”, „skonfiskować wszelką gotówkę, klejnoty, złoto i srebro”, „zmusić do zarabiania na chleb w pocie czoła”.

400 lat później do tego epizodu odwołują się naziści – cytatami z Lutra usprawiedliwiać będą prześladowania, pogromy i zbrodnie na ludności żydowskiej. Po wojnie Kościoły ewangelickie w Niemczech zdystansują się oficjalnie od antysemitycznych poglądów Lutra.

Ks. Bogacz doliczył się około 92 „żydowskich macior” w całej Europie. Aż 90 znalazł w Niemczech i w krajach niemieckojęzycznych. Z pozostałych dwóch: jedna jest w Uppsali, druga – w Gnieźnie.

Zakłócali śpiew

Gdy na niemieckich kościołach pojawiają się rzeźby z Judensau, w Gnieźnie osiedlają się Żydzi. Stawiają kamienice, zakładają warsztaty, w pobliżu katedry budują synagogę. Jeśli wierzyć starym kronikom, zdarzyły się dwa poważne incydenty na tle religijnym.

Pierwszy: w połowie XVII wieku, gdy Żydów wyrzucono za miejskie mury. Powodem miały być skargi na to, że „żydowskie wrzaski” z „bóżnicy Żydów” tłumią śpiew w katedrze oraz w klasztorach franciszkanów i klarysek. Żydzi wzniosą nową synagogę daleko od starówki. Drugi: w XVIII stuleciu, gdy miejscowego Żyda oskarżono o profanację Matki Bożej.

W czasach zaboru pruskiego polskich Żydów zastępują Niemcy (do Gniezna przyłgnie wtedy przydomek Miasto Trzech Kultur). Wyjadą jednak do Niemiec, gdy po zaborach Gniezno wróci do Polski. Napłyną znów polscy Żydzi. W latach międzywojennych jest ich zaledwie około 150 – miasto ma wtedy 30 tysięcy mieszkańców.

Historia gnieźnieńskich Żydów kończy się w czasie wojny: wysiedlono ich do Piotrkowa Trybunalskiego, potem do Łodzi. Już nie wrócili.

Wspomina ich tablica wmurowana na gnieźnieńskiej komendzie Straży Pożarnej. Budynek stoi na pożydowskim kirkucie – Żydzi nie domagali się, żeby go rozebrać. Uznali, że nie można burzyć obiektów, w których pracują ludzie ratujący życie.

Przeżyła Szwedów i Armie Czerwoną

⇒ Jak obsceniczna płaskorzeźba znalazła się w Gnieźnie?

– To dzieło muratorów z Dolnego Śląska, którzy pracowali przy przebudowie katedry. Śląsk był wtedy pod silnymi wpływami niemieckimi. Zapewne stąd wzięła się tematyka płaskorzeźby – objaśnia infułat Jan Kasprovicz, proboszcz katedry, z wykształcenia historyk sztuki.

Gniezno było jednak w Polsce, a obcych kamieniarzy musiał sprowadzić ówczesny Kościół gnieźnieński.

Infułat wertuje opasłe dzieło „Opis katedry gnieźnieńskiej”, które pół wieku temu kazał opracować prymas Wyszyński. Proboszcz czyta, że Judensau „miały sugerować nieczystość źródeł, z których czerpie siły judaizm”.

Płaskorzeźba przetrwała kataklizmy, które nie omijały prymasowskiej bazyliki. Nie zniszczyły jej pożary, najazd Szwedów ani żołnierze Napoleona, którzy na jakiś czas zamienili katedrę na magazyn zboża.

Opisuje ją XIX-wieczny przewodnik po Gnieźnie Józefa Łepkowskiego. Wyczytać tam można, że w kaplicy św. Andrzeja „kapitele mają ozdobę z rzeźb przedstawiających figle Żydów z maciorą”. Łepkowski pisze dalej z dystansem: „Przypominają one rzeźby tegóż samego rodzaju i treści, z czasów fanatycznej nienawiści do Żydów”.

Kamienna płaskorzeźba przetrwała także pożar katedry, którą ostatniej wojennej zimy podpalili wyzwalający Gniezno żołnierze Armii Czerwonej. Katedrę odbudowano przed obchodami tysiąclecia chrztu Polski. Niedawno odnowiono kaplicę św. Andrzeja.

– W Niemczech te rzeźby kłują w oczy, bo są na elewacjach świątyń – przekonuje ks. Bogacz. – A nasza jest schowana.

Uważa, że gdyby umieścić tabliczkę z informacją, która tłumaczyłaby genezę i kontekst jej powstania, wywołałoby to

jeszcze większy ambaras: – Zaraz pojawiłoby się sto pytań i tysiąc wizyt.

Infułat Kasprovicz ma podobne zdanie: – Myślę, że nie byłoby to dobre.

Barbara Nowicka, która oprowadza turystów po katedrze, przyznaje, że jeszcze nikt nie dopytywał o Judensau. Nawet żydowskie wycieczki. – Jeśli ktoś pyta o Żydów, to zawsze o tę scenę na Drzwiach Gnieźnieńskich.

Otóż na jednej z kwater romańskiego zabytku św. Wojciech oskarża Żydów o handel chrześcijańskimi niewolnikami i napomina czeskiego księcia, by nie tolerował tego procederu.

Jak to było w Sandomierzu

Na wielkim obrazie w katedrze w Sandomierzu widać, jak Żydzi toczą krew niemowlęcia wrzuconego do nabitej gwoździami beczki. Obok pies pożera poćwiartowane zwłoki dziecka. Inny Żyd pochyla się z nożem nad przerażoną dziewczynką.

Obraz namalował w XVIII wieku Karol de Prevot na zamówienie proboszcza. Przedstawienie miało uwiecznić tajemniczą śmierć dwójki sandomierskich dzieci. O morderstwa oskarżono Żydów – ludzie powszechnie wtedy wierzyli, że Żydzi używali chrześcijańskiej krwi do wypiekania macy.

Malowidło od dawna budziło kontrowersje. Kolejni biskupi ignorowali problem. Sprawa latami zatruwała relacje chrześcijańsko-żydowskie. Dopiero w 2014 r. bp Krzysztof Nitkiewicz kazał umieścić obok obrazu tablicę, która tłumaczy motywy powstania malowidła.

Kilka lat wcześniej podobnie postąpił w Poznaniu abp Stanisław Gądecki. Z kościoła Najświętszej Krwi Pana Jezusa na rogu Żydowskiej i Kramarskiej nieopodal Starego Rynku kazał usunąć antysemicką tablicę z czasów przedwojennych. Tekst w ordynarny sposób opisywał związaną z tym miejscem średniowieczną legendę o rzekomej profanacji hostii przez Żydów.

W kościółku istnieją XVIII-wieczne malowidła franciszkanina Adama Swacha, na których brodaci Żydzi kłują białą hostię. Arcybiskup kazał umieścić informację, że to wytwór ówczesnej epoki i że nie ma na to historycznych dowodów.

Tablicę z tekstem po jakimś czasie usunięto. A w kościele rozprowadza się broszurę, która nadal kultywuje antysemicką legendę.

W przewodnikach nie ma

Styczeń tego roku. W Gnieźnie trwają ogólnopolskie obchody Dnia Judaizmu. Ks. Bogacz ma referat o żydowskich zabytkach w katedralnych i muzealnych zbiorach. Wśród słuchaczy: abp Wojciech Polak, władze miasta, przedstawiciele lokalnej społeczności żydowskiej. Przyszło sporo młodzieży.

Diecezalny konserwator zabytków opowiada oczywiście o romańskich Drzwiach Gnieźnieńskich. Ale mówi też o rzeźbie w kaplicy św. Andrzeja. Pokazuje zdjęcia. Ksiądz Bogacz: – Wspomniałem o tym, bo historycy sztuki zarzuciliby mi, że przemilczam fakty.

We współczesnych przewodnikach po katedrze takiej informacji nie ma.

O rzeźbę nie prosiliśmy

Kilkanaście dni temu Sąd Najwyższy Saksonii-Anhalt oddalił pozew Żydów, którzy domagali się usunięcia Judensau z murów kościoła w Wittenberdze (głosił tam kazania Luter). Sąd w Naumburgu orzekł, że wizerunek „nie szkodzi reputacji Żydów”, bo jest „osadzony” w szerszym kontekście.

Jak to uzasadnił? Otóż rzeźbie towarzyszy współczesna tablica, której treść tłumaczy, że przedstawienie jest elementem średniowiecznej propagandy. Umieszczono ją tam w 1988 r.

„Ten obraz jest odrażającym i pozbawionym smaku atakiem na Żydów, który napawa mnie wstydem i bólem. Nie prosiliśmy o tę rzeźbę, ale staramy się odpowiedzialnie radzić sobie z tym trudnym dziedzictwem” – tłumaczył „Süddeutsche Zeitung” pastor Johannes Block z kościoła Najświętszej Marii Panny.

Przy opisywaniu wyroku w sprawie Judensau w Wittenberdze media wspominały, że jedna z takich rzeźb znajduje się w Gnieźnie. Tutaj też nikt nie jest dumny, że w katedrze znajduje się wizerunek „żydowskiej maciory”.

Bartku!

Przyjmij wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci Babci

Janiny Ciuruś

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA”

POŻEGNANIE

Jednak Joanna Tokarska-Bakir twierdzi, że antysemityzm wciąż tkwi w umysłach wielu polskich katolików. Kilkanaście lat temu rozmawiała ze studentami na prowincji. Opowiadała potem „Przeglądowi Powszechnemu”, że „co druga osoba, z którą rozmawialiśmy w Sandomierskiem, bała się w dzieciństwie, że Żydzi porwają dzieci na macę”.

W tej samej rozmowie Tokarska-Bakir odnosi się też do sprawy Judensau. Uważa, że „dopóty ludzie na wsi opowiadają bajdy o świni, »żydowskiej ciotce« (...), nie ma z tym problemu”.

A kiedy staje się to problemem?

„Pojawia się on – mówi profesor – gdy pewnego dnia pod wpływem czynników, które zwykle pozostają ukryte (katastrofa, przypadkowe wzbudzenie mitu przez zbieg okoliczności lub celowe działanie »przedsiębiorców etnicznych«, najczęściej wszystko naraz), ludową gadkę o świni – żydowskiej ciotce (...) – zaczyna się brać dosłownie i postępować z Żydami tak, jakby naprawdę byli Judensau”.

Po co nam wojna?

Abp Wojciech Polak o istnieniu w swojej katedrze antysemickiej rzeźby z czasów średniowiecza dowiedział się miesiąc temu. Na wykładzie ks. Bogacza w czasie obchodów Dnia Judaizmu. Oryginału jeszcze nie widział. Ale oglądał zdjęcia pokazywane na prelekcji.

Pytam, czy nie należałoby umieścić tam informacji, że to wytwór średniowiecznej propagandy antysemickiej. I że nie odzwierciedla współczesnego patrzenia chrześcijan na Żydów.

– Mamy w Gnieźnie bardzo dobre relacje z Żydami – tłumaczy. – Po co więc wywoływać wojnę o coś, co znajduje się w zamkniętej kaplicy i czego osoby zwiedzające katedrę czy uczestniczące w liturgii nie mogą zobaczyć. Nagłaśnianie tego niczemu dobremu nie posłuży, a wywoła jedynie niezdrową ciekawość. Pytanie więc, czy umieszczenie przed wejściem do kaplicy tablicy informacyjnej to dobry pomysł.

– To bardziej zadanie dla przewodników, którzy zapytani o rzeźbę, powinni tłumaczyć kontekst jej powstania – mówi dalej prymas. – Przecież tej kaplicy się nie zwiedza. Szkoda by było, żeby tak niewidoczny element zburzył to, co przez wiele lat w Gnieźnie budowano.

Arcybiskup Polak wspomina, że wykładu ks. Bogacza słuchali przedstawiciele społeczności żydowskiej: – I nikt nie domagał się ode mnie, że powinniśmy to dodatkowo wyjaśnić.

Stanisław Krajewski, współprzewodniczący ze strony żydowskiej Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów: – Że to nie rzuca się w oczy, to dobrze. Rozumiem, że postawienie tam tabliczki może być kłopotliwe. Ale może warto przygotować jakąś ulotkę na ten temat i rozdawać osobom, które zwiedzają katedrę.

Prymas nie chce jednak sprawy tablicy stawiać kategorycznie: – Myślę, że gdyby zaistniała taka konieczność, można by taką informację zamieścić.

© STANISŁAW ZASADA

REKLAMA

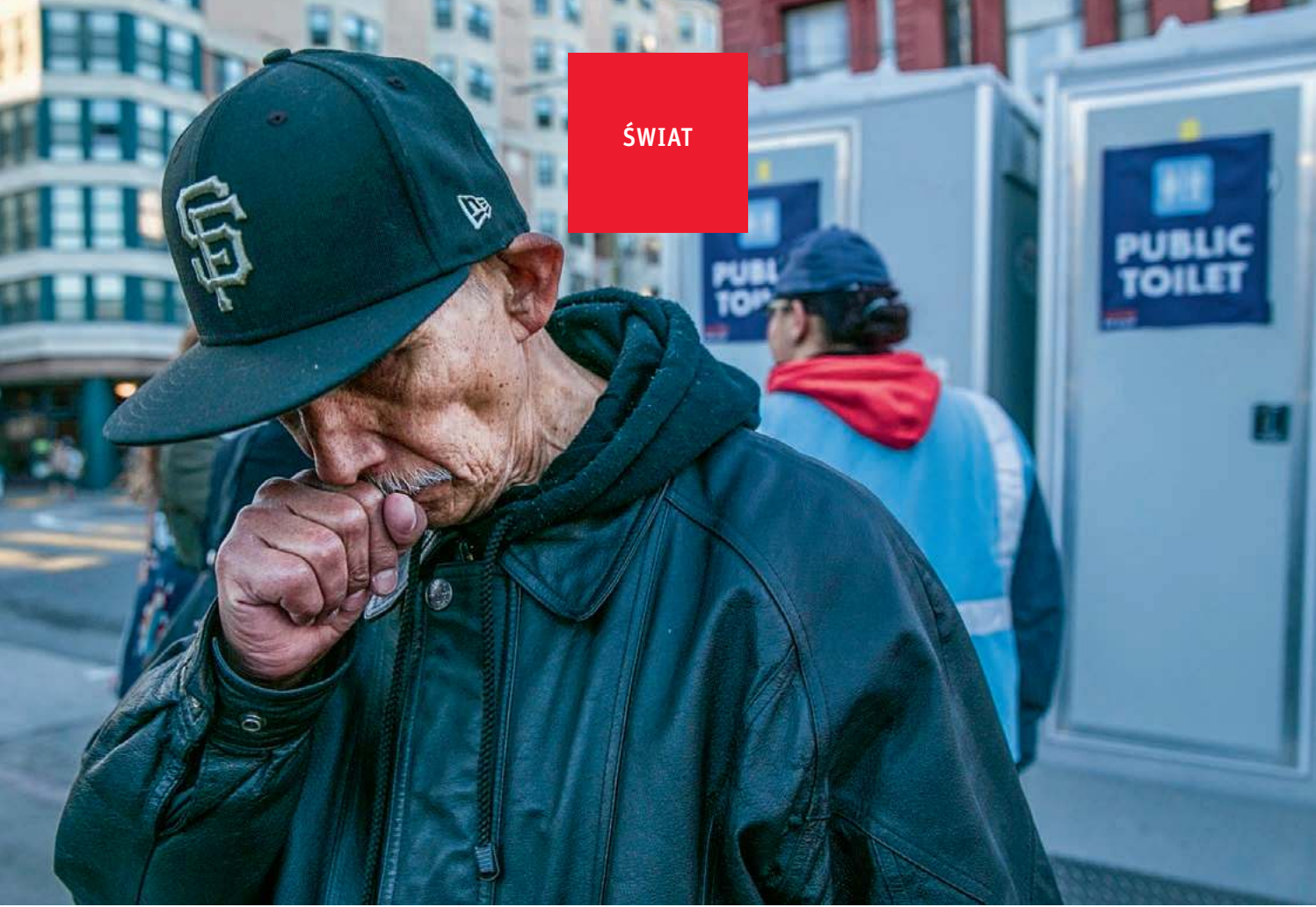


TWÓJ 1 %
DLA FARMY ŻYCIA
DLA OSÓB Z AUTYZMEM
ABY NADZIEJA STAŁA SIĘ ŻYCIEM!

KRS 0000115868

Fundacja Wspólnota Nadziei
 Więckowice, ul. Ogrodowa 17,
 32-082 Bolechowice
www.farma.org.pl





ŚWIAT

Dzielnica Tenderloin w San Francisco, gdzie władze ustawiły publiczne toalety, z których korzystają bezdomni, 2015 r.

TO NIE JEST RAJ DLA SŁABYCH LUDZI

Bezdomność, choroby psychiczne, narkotyki:
to problemy jednego z najbogatszych miast w USA. San Francisco przypomina,
jak bezzwzględna bywa Ameryka.

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

SCENA PIERWSZA: BEZDOMNY JE SPA-ghetti przy salonie Roleksa, resztki lądują na jego brodzie i mocno już poplamionej bluzie. Scena druga: wychudzona Afroamerykanka stoi w bezruchu przy przystanku autobusowym. Sądząc po nienaturalnie pochylonym ciele, może być pod wpływem narkotyków. Scena trzecia: Vick Easton, 48-letni

inżynier, wychodzi z kamienicy przy ulicy Mason 30. Przy drzwiach mija grupkę bezdomnych: jeden spryskuje odświeżaczem pachy, drugi myje twarz wodą z kanistra, trzeci przysypia na chodniku. W powietrzu unosi się nieznośny smród ekskrementów i wymiocin. I nieważne, że to ściśle centrum, a niecałe półtora kilometra dalej mieści się siedziba Twitte-

ra. W mieście, gdzie wynajem maleńkiej kawalerki kosztuje średnio 2,5 tys. dolarów, nietrudno o takie kontrasty. Ci, którym powinno się w życiu noga, mogą wylądować na bruku z dnia na dzień.

Tenderloin

Bez dachu nad głową w San Francisco jest ponad 8 tys. ludzi. Najbardziej obrotni po-

mieszkują w samochodach lub kupionych za oszczędności przyczepach kempingowych. Ponad połowa ląduje jednak na ulicy, która lubi przyciągać także inne nieszczęścia. Szacuje się, że 40 proc. tutejszych bezdomnych jest uzależnionych od narkotyków i alkoholu. Wielu cierpi też na zaburzenia psychiczne.

Tę tragiczną mieszaninę dobrze widać w dzielnicy Tenderloin, która mieści się w centrum miasta, zaledwie 300 metrów od popularnych wśród turystów tramwajów linowych.

Gdy po raz pierwszy trafiam na skrzyżowanie ulic Mason i Turk, zastanawiam się, czy iść dalej. Okolica przypomina jakieś obozowisko, miasteczko namiotowe. Obok koczujących na chodnikach bezdomnych uwagę przyciągają ciągle wykrzykujący coś szaleńcy i przedzierający się wśród przechodniów młodzi skejci. Za tymi ostatnimi nie przepada Vick Easton, który do Tenderloin przeprowadził się zwabiony niższymi cenami mieszkań. Twierdzi, że wielu z tych chłopaków sprzedaje narkotyki i robi w dzielnicy inne ciemne interesy.

– Jeśli nie chcesz mieć problemów, lepiej nie kręć się tu po zmroku – przestrzega Vick. – Jeden z sąsiadów poszedł wieczorem do sklepu i padł ofiarą napadu z bronią w ręku. Media wciąż rozpisują się, że w Tenderloin jest pełno bezdomnych i osób chorych psychicznie. Za brak bezpieczeństwa w dzielnicy odpowiadają jednak przede wszystkim ci, którzy chcą zarobić na ludzkim nieszczęściu – twierdzi.

Niedługo po naszej rozmowie widzę, jak dwóch młodych Afroamerykanów przekazuje sobie niewielki pakunek. Takie scenki podczas mojej wizyty w Tenderloin powtarzają się jeszcze kilka razy.

Dzielnica od lat króluje w niechlubnych statystykach. Z danych Public Works Department wynika, że w 2017 r. z ulic Tenderloin sprzątnięto 100 tys. zużytych igieł. W ciągu trzech lat służby miejskie wymieniły 300 latarni, które zardzewiały pod wpływem ludzkiego i psiego moczu. Największą udręką dla mieszkańców dzielnicy jest jednak zanieczyszczenie chodników ludzkimi odchodami. Władze San Francisco na sprzątanie ulic wydają rocznie 70 mln dolarów. Popularna wśród mieszkańców stała się aplikacja Snapcrap, za pomocą której mogą zgłosić służbom sprzątającym „brudną mieszcza”.

Brudna sprawa

O tym, jak poważny to problem, dowiaduję się od Steve’a, pracownika służb miejskich. Zagaduję go na ulicy Taylor, w pobliżu baru z meksykańskim jedzeniem. 35-latek z uroczymi piegami sprząta ulice w tej dzielnicy trzy razy w tygodniu. Tłumaczy, że to jedyny rejon San Francisco, gdzie ze względów bezpieczeństwa nie ma nocnych zmian. I nie ma się czemu dziwić, bo sprzątanie ulic w Tenderloin to wyzwanie nawet w ciągu dnia.

– Najtrudniejsze są okolice skrzyżowania ulic Willow i Larkin – tłumaczy. – Koczujący tam bezdomni są wyjątkowo agresywni i nie pozwalają wejść w głąb miasteczka namiotowego. Sprzątam tylko z brzegu ulicy. Najbardziej boję się chorych psychicznie, którzy krzyczą i wyraźnie szukają zaczepki. Zdarza się, że ktoś chce się załatwić na środku ulicy i muszę wtedy interweniować. Większość mnie ignoruje i robi swoje. Raz ktoś rzucił w moją stronę swoimi odchodami – opowiada ze skwaszoną miną Steve, który na ulicach Tenderloin sprząta 20-25 odchodów dziennie. Może powiedzieć to dokładnie, bo każde „znalezisko” musi raportować.

– Czasem chciałbym po prostu stąd uciec – mówi zmęczony i pokazuje kątem oka na kobietę, która krąży przy stojącym obok śmietnika plastikowym worku i wyraźnie szykuje się do jego rozerwania. Po chwili wahania rezygnuje i odchodzi niepokieszona. – Tym razem obyło się bez problemów – mówi z ulgą Steve.

Król budowy

– Zwariowałaś? Nigdy nie chodź sama do Tenderloin! – krzyczy do mnie Jed. – Wyglądasz na miłą dziewczynę, martwię się o ciebie – tłumaczy pojednawczo 50-latek, którego spotykam przy centrum handlowym Westfield. Jed wyróżnia się w tłumie. Choć pcha wózek wyładowany po brzegi puszkami i butelkami, ma na sobie marynarkę w szaro-niebieską kratę i elegancką koszulę w drobniotkie paski. Jak się potem dowiaduję, otrzymał je niedawno z opieki społecznej. Na co dzień zakłada raczej t-shirt i pomarańczową służbową bluzę.

– Bo ja jestem królem budowy – przekonuje Jed, który szuka odpadów do recyklingu w rozbudowującej się na potęgę dzielnicy Mission Bay. – Policzmy: na każdego robotnika przypada tam codziennie co najmniej jedna butelka lub puszka

gazowanego napoju. Po kilku dniach uzbiera się z tego niezła góra śmieci.

Jed lubi różne rzeczy kalkulować. Odkąd w 2014 r. wyładował na bezrobociu, korzysta z rządowego programu dystrybucji kartek żywnościowych dla najbardziej potrzebujących Amerykanów. Twierdzi, że w ciągu sześciu lat otrzymał pomoc w wysokości 9 tys. dolarów. Tonem megalomana przechwala się, że był kiedyś menedżerem sklepu RTV i AGD, i miał dłuższy epizod w korporacji.

Aby uchwycić moment, w którym życie Jeda zaczęło się sypać, trzeba cofnąć się do 2010 r. Jego historia brzmi dość typowo: po 14 latach małżeństwa żona składa pozew o rozwód i na mocy wyroku sądu zatrzymuje ich wspólne mieszkanie. Jed wynajmuje kawalerkę i dzieli z żoną opiekę nad dziećmi. Potem przechodzi rok 2013 i mężczyzna poznaje Pamelę. Jego nowa dziewczyna lubi popalać trawkę, a w Jedzie budzi się nałóg z młodości. Wpada w podejrzaną towarzystwo, coraz rzadziej pojawia się w pracy. Gdy traci etat, zaczyna handlować marihuaną. Choć ma z tego niezły utarg, trudno mu opłacić co miesiąc wysoki czynsz. Łąduje na bruku, po czym zostaje przygarbiony przez znajomych. Gdy ich cierpliwość się kończy, trafia do ośrodka dla bezdomnych. Wylicza, że pomieszkiwał już w pięciu różnych placówkach. Z ostatniej został wyrzucony po tym, jak zdarzało mu się nie wracać na noc. Od ośmiu miesięcy żyje na ulicach San Francisco. Najczęściej nocuje w dzielnicy Mission Bay.

– Mam stąd blisko do placów budowy – tłumaczy. – W nocy jest cicho i bezpiecznie. Mam swój koc, poduszkę i śpiwór. Czego mi jeszcze w życiu trzeba? Ostatnio mieliśmy długie lato i każda noc była ciepła.

– Powiedz mi, gdzie znajdę twój artykuł – prosi. – Nie, nie wysyłam mi linka esemesem, bo nie mam komórki. Odciałem się od świata i jest mi z tym dobrze. Aha, i napisz, że Amerykanie pamiętają o tym, że pomogliście nam w Iraku i Afganistanie.

Rencista jedzie przez Amerykę

W porównaniu do Jeda, Mike wygląda na oazę spokoju. Choć można by powiedzieć, że jego wyluzowanie jest nieadekwatne do sytuacji, w jakiej się znalazł.

Gdy wieczorem spotykam tego 61-letniego Afroamerykanina na przystanku autobusowym w centrum San Francisco, →

⇒ Mike mówi, że siedzi tu już od godziny piętnastej. Nie rusza się ani na krok, bo nie chce stracić dobrej miejscówki na nocleg. Oprócz tego, co ma na sobie, posiada tylko dwa koce owinięte w niebieski worek na śmieci. Twierdzi, że resztę najpożebniejszych rzeczy – dokumenty, ubrania i kartę bankomatową – miał w torbie, którą skradziono mu zaledwie kilka dni po przyjeździe do San Francisco.

Mężczyzna jest w Kalifornii od miesiąca, a przyjechał autobusem z odległego o 3800 kilometrów Cincinnati w stanie Ohio. Bo nie jest tak, że Mike nie ma żadnych pieniędzy. Jest chory na AIDS i dostaje 770 dolarów miesięcznej renty. Opowiada, że jeszcze kilka lat temu dorabiał jako fryzjer i stać go było na wynajem pokoju w Cincinnati. Gdy do listy jego schorzeń doszła zastoinowa niewydolność serca, wywołująca puchnięcie nóg, musiał zapomnieć o pracy stojącej.

Mike mówi, że jest bezdomny od pięciu lat. Przyjechał do San Francisco, bo myślał, że w Kalifornii będzie mu łatwiej przetrwać zimę. – To był może głupi pomysł z tą przeprowadzką – narzeka. – W nocy w San Francisco temperatura spada do ok. 40 stopni Fahrenheita [4-5 stopni Celsjusza – red.]. Nie tak wyobrażałem sobie Kalifornię! – podnosi głos.

Ma jeszcze jeden problem. Dopóki nie wyrobi nowego prawa jazdy (w USA służy ono jako dokument tożsamości), nie może pójść do lekarza. Aby, tak jak w Ohio, korzystać z bezpłatnej opieki medycznej, musi zarejestrować się do prowadzonego w Kalifornii programu Medi-Cal. W jego przypadku to ważne, bo kończą mu się leki na serce i potrzebuje recepty.

Gdy jednak pytam Mike'a, czy po uzyskaniu nowych dokumentów i dostępu do konta bankowego wróci do Cincinnati, zarzeka się, że zostanie w San Francisco na dłużej. Ma nadzieję, że tutaj szybciej niż w rodzinnym mieście dostanie przydział mieszkania socjalnego dla najbardziej potrzebujących.

Branża technologiczna winduje ceny

Mike jeszcze tego nie wie, ale na tego rodzaju lokum w San Francisco czeka się latami. Trudno jest też z miejscem w noclegowniach, gdzie na liście oczekujących znajduje się średnio tysiąc bezdomnych. Potrzebujących jest coraz więcej,

bo od 2017 r. liczba bezdomnych wzrosła o 17 proc. W efekcie mieszkańcom San Francisco, którzy na co dzień mijają namiotowe miasteczka, zaczynają puszczać nerwy. Latem 2019 r. lokalna prasa rozpisywała się o głazach, jakie mieszkańcy ulicy Clinton Park rozstawili na chodnikach, by powstrzymać bezdomnych przed rozkładaniem namiotów.

Z jeszcze bardziej oryginalnego pomysłu zasłynęła reprezentantka władz sąsiedniego Oakland. Zaproponowała, by bezdomnych zakwaterować na statku rejsowym zacumowanym w miejskim porcie. Choć idea wydaje się szalona, na podobny pomysł wpada wielu mieszkańców rejonu Zatoki San Francisco, którzy dla cięcia kosztów wynajmują lub kupują łodzie i żyją na terenie portu.

W San Francisco trzeba szukać najtańszych rozwiązań, bo w ciągu 10 lat koszty wynajmu wzrosły o jedną czwartą, a ceny nieruchomości skoczyły nawet kilkakrotnie. Podczas gdy w 2012 r. średnia cena domu wynosiła 600 tys. dolarów, dziś jest to już 1,4 mln dolarów (gdy średnia cena domu w USA to 200 tys. dolarów).

Takie astronomiczne ceny nakręca silnie obecna w mieście branża technologiczna, która zwykle dobrze płaci. Swoje biura mają tu Google, Apple i Facebook. Siedzibę główną w San Francisco mają Uber, Lyft czy Slack. Szacuje się, że w rejonie Zatoki San Francisco w branży technologicznej pracuje aż 835 tys. ludzi. Komplikuje to życie tym, którzy o równie wysokich zarobkach mogą tylko pomarzyć.

Najbogatszy stan USA

Problem drogich mieszkań i wynikającej z tego bezdomności dotyczy zresztą całego stanu Kalifornia, w którym żyje prawie 40 mln mieszkańców. Bez dachu nad głową może tu być nawet 140 tys. osób, co stanowi jedną czwartą wszystkich bezdomnych w Stanach. W amerykańskich mediach regularnie pojawiają się relacje ze Skid Row, opanowanego przez bezdomnych rejonu Los Angeles, gdzie szerzą się tyfus, gruźlica i żółtaczka typu A.

Jak to się stało, że w najbogatszym stanie USA, jakim jest Kalifornia (gdyby była osobnym państwem, należałaby do grona pięciu najsilniejszych gospodarek świata), sprawy zaszły tak daleko? Problem bezdomności pogarsza liberalizacja dostępu do narkotyków, brak obowiązkowego leczenia dla osób z zaburzeniami

psychicznymi i uzależnieniem od narkotyków, a także prawo utrudniające likwidację miasteczek namiotowych.

Sytuacja dawno wymknęła się spod kontroli i nawet liberalna Kalifornia ma powoli tego dość. W tegorocznych wyborach stanowych władze rozważają przedłożenie pod głosowanie ustawy, która umożliwiłaby pozywanie miast i hrabstw, które nie robią nic w kierunku walki z bezdomnością. Gubernator stanu Gavin Newsom chce przeznaczyć w tym roku 1,4 mld dolarów na budowę schronisk dla bezdomnych i programy leczenia uzależnień.

Jesienią 2019 r. w kalifornijskich mediach głośno było o wprowadzonych przez władze San Francisco przepisach, które ułatwiają ustanowienie kuratora dla osób uzależnionych od narkotyków i chorych psychicznie. Jak wynika z danych San Francisco Department of Public Health, aż połowa osób trafiających na ostry dyżur psychiatryczny jest uzależniona od metamfetaminy. Burmistrzini London Breed zapewnia też, że jej priorytetem jest budowa nowych schronisk. Niedługo po objęciu urzędu, latem 2018 r., obiecała, że zapewni tysiąc dodatkowych miejsc noclegowych. Dotąd powstało ich nieco ponad pięćset.

Jane woli ulicę

Na miejsce w noclegowni nie czeka już Jane. Otoczoną torbami Afroamerykankę spotykam pod drogerią przy Piątej Ulicy, niedaleko biura koncernu Yahoo. Kobieta opowiada, że po śmierci męża nie była w stanie opłacić wysokiego czynszu i 12 lat temu wylądowała na bruku. Pomieszkiwała już w różnych schroniskach dla bezdomnych, ale woli jednak ulicę.

– To przerażające, jak zachowują się w noclegowniach niektóre kobiety – tłumaczy Jane. Przekonuje, że jej współlokatorki nie dbały o higienę, że wiele z nich miało poważne – i nieleczone – problemy psychiczne. Oraz że wciąż musiała uważać, żeby nikt jej nie okradł.

– Trzy lata temu ktoś zwinął mi w nocy sztuczną szczękę – wspomina Jane. – Od tego czasu bardzo się męczę, bo nie mam ani jednego własnego zęba, a nowa sztuczka przysługuje tylko co pięć lat.

– Wiesz, co mnie najbardziej w tym wszystkim boli? – dodaje. – Skończyłam studia, miałam normalną pracę, a tak szybko stoczyłam się na samo dno.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Wyspa w cieniu wulkanu

MARCIN RYCHŁY Z OMETEPE (NIKARAGUA)

Cocibolca, jedno z największych jezior obu Ameryk, o mały włos nie padło ofiarą chińskich ambicji. Ale plan nowego kanału łączącego Atlantyk i Pacyfik nie wypalił: podobno Chińczycy wystraszyli się Niepokalanego Poczęcia.

NIEWIELKI STATEK JEST STARY, WYRĄŻNIE wysłużony. „Jeśli Bóg będzie ze mną, nic nie stanie przeciwko mnie” – głosi napis nad kapitańskim mostkiem. 54-letni Juárez, który dowodzi jednostką, głęboko wierzy w te słowa. A przynajmniej o tym zapewnia. – Tylko Najwyższy może uchronić nas przed niebezpieczeństwem czyhającym tam w środku – mówi, wskazując na spowity mgłą wulkan Concepción. Jego nazwa znaczy dosłownie: Niepokalane Poczęcie.

– Ta góra może zaskoczyć nas w każdej chwili. A z przyrodą nie wygrasz – dodaje marynarz. Mężczyzna wygląda na znacznie starszego niż jest. A także mocno spracowanego; twarz ma zniszczoną słońcem i wiatrem. Od 40 lat, każdego dnia, tą samą trasą przewozi ludzi,

zwierzęta, samochody i inne ładunki. Zapewnia w ten sposób łączność mieszkańców niewielkiej wyspy Ometepe, położonej na jeziorze Cocibolca, z resztą Nikaragui. Prom nosi nazwę „Ernesto Guevara”. Przywódca kubańskiej rewolucji i sprawca licznych zbrodni wojennych tutaj uważany jest za bohatera.

Dzisiaj „Che” jest jednym z czterech promów kursujących na tej trasie. – Kiedyś mieliśmy jeden drewniany stateczek i jedno połączenie dziennie. Nie było tak łatwo się dostać na wyspę. 20 lat temu ludzie walczyli o miejsce na pokładzie – wspomina Juárez.

– Ale to i tak nie wystarczy, gdyby trzeba było ewakuować wszystkich mieszkańców w razie zagrożenia. Nie ma szans – dodaje po chwili.

Dwie góry

Jezioro Cocibolca, nazywane także jeziorem Nikaragua, jest jednym z największych zbiorników słodkowodnych w obu Amerykach. Ometepe, największa wyspa na jeziorze, ma powierzchnię podobną do aglomeracji Poznania. Jej dźwięczna nazwa pochodzi z języka natch, którym posługiwali się Aztekowie, i oznacza „dwie góry”.

Rzeczywiście, wyspa składa się z dwóch wulkanów, wysokich na półtora kilometra: aktywnego Concepción i już dawno wygasłego Maderas. Wulkany zdają się wyrastać prosto z malachitowych wód jeziora, są majestatyczne i budzą respekt.

Zwłaszcza wyższy – Concepción. Symetryczność jego stożka jest uderzająca, wygląda, jakby namalował go uczeń w zeszytce do geografii. Mierząca 1610 m n.p.m. góra wydaje się znacznie wyższa, niż jest w rzeczywistości. Wysokość ta jednak wystarczy, aby do wulkanu przynależał rekord najwyższego na świecie szczytu położonego na wyspie jeziornej. Wierchołek często jest skąpany w obłokach gęstych białych chmur, które opatulają go niczym welonem. Niekiedy wiatr rozwiewa woal i wtedy wydaje się, że wulkan dymi.

Pierwotnie góra nosiła nazwę Ometatecigua, ale w czasie podboju Ameryki Środkowej przez konkwistadorów →

Na plaży jeziora Cocibolca, w oddali po lewej wulkan Concepción, 2014 r.



→ w XVII stuleciu franciszkanie nadali jej nowe imię: Niepokalanego Poczęcia. Zmiana nazwy, wraz z wycinką gaju drzew – przez rdzenną ludność traktowanych jak święte – przypieczętowała zapanowanie chrześcijaństwa na wyspie.

Talpety warte ryzyka

Populacja wyspy jest spora: u podnóża wulkanów mieszka ok. 30 tys. ludzi. To potomkowie Indian Tolteków, a także afrykańskich niewolników, hiszpańskich konkwistadorów i angielskich piratów.

Ich proste życie kręci się wokół gór. Zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Żeby odwiedzić rodzinę czy jedyny działający na wyspie szpital, często trzeba objeżdżać wulkany rowerem albo wysłużonym żółtym autobusem (zwanym chickenbusem), który wcześniej rozwioził amerykańskie dzieci do szkół. Nie ma tutaj zbyt wiele samochodów.

Góry wyznaczają również rytm funkcjonowania. Mają kluczowy wpływ na warunki atmosferyczne, które często są odmienne od tych panujących na wybrzeżu jeziora. Deszcz pada prawie codziennie, zarówno w porze suchej, jak i deszczowej.

I wreszcie gleby – nazywane tutaj talpetami. Ich żyzność wynika z faktu, że powstały z pyłów i popiołów wulkanicznych, bogatych w szklisko wulkaniczne. To właśnie żyzne ziemie i wysokie plony, jakie mogą przynosić, skłoniły przodków obecnych mieszkańców, by żyć na tej ziemi, budować domy i zakładać rodziny. Mimo strachu, że w każdej chwili może się ta ziemia zatrzęść, a Concepción z dnia na dzień zwiększyć swoją aktywność. Albo nawet wybuchnąć.

– Pewnie, że się boimy. Strach zawsze jest. Zwłaszcza wśród starszych mieszkańców wyspy, którzy pamiętają wybuch z roku 1957 – opowiada Alejandro, przerywając cygaro.

Mężczyzna jest pracownikiem otwartego w 2007 r. Muzeum El Ceibo. Jest to jedyna placówka tego typu na Ometepe, poświęcona przedkolumbijskiej historii wyspy. Muzealnik opowiada łamanym angielskim, wtrącając hiszpańskie słowa.

Od 1893 r. Concepción wybuchła 25 razy. Ostatnia erupcja miała miejsce w marcu 2010 r. Na szczęście wulkan do tychczas zawsze „ostrzegał” przed wybuchem: wydzielał opary, zmieniało się na-

chylenie stożka, pojawiały się nieduże trzęsienia ziemi. Erupcje, choć zdarzają się często, zwykle nie były zbyt gwałtowne.

– Bardzo dobrze pamiętam wybuch w 1957 r. Było to w nocy. Wszystko widzieliśmy, będąc w Grenadzie, gdzie mieszkała siostra mojej mamy – wspomina Alejandro. – Ojciec podjął decyzję, żeby pojechać do ciotki. Tam byliśmy bezpieczni. Pamiętam ogromny huk, fontanny czerwonej lawy i wszechobecny pył w powietrzu przez wiele dni. – Bałem się, że już nigdy nie wrócimy do domu, nie podobało mi się w mieście, poza tym długo męczył mnie ostry kaszel. Ale może wcale nie było tak groźnie? Możliwe, że wszystko wyolbrzymiam? W końcu miałem tylko pięć lat – zastanawia się Alejandro.

Latynoskie „ziemniaki”

Droga z południa wyspy do jej stolicy, Moyogalpy, wiedzie przez profesjonalny pas startowy małego lotniska, otwartego kilka lat temu. Nikaraguańskie linie lotnicze Costaña Airlines chciały obsługiwać stąd połączenie do stołecznej Managui. Jednak z racji niskiego popytu połączenie szybko zawieszono i największa inwestycja ostatnich lat na wyspie okazała się nietrafiona.

Po drodze mijam małe wioski ulokowane między polami i pastwiskami, oplecionymi drutem kolczastym i fragmentami dzungli. Na podwórkach przy drewnianych chatkach, pokrytych blachą, kobiety robią pranie w plastikowych miskach. Umorusane dzieci ganiają przestraszone gęsi i prosiaki, które swobodnie poruszają się po obszarze całych wsi, nie zwracając uwagi na przejeżdżające motocykle. Krowy i wyliniałe konie wałęsają się wszędzie, często blokując drogę.

Mężczyźni przesiadują w tzw. pulperiach: miejscach, gdzie można coś zamówić do jedzenia i jednocześnie zrobić zakupy. Niektórzy przy swoich obejściach naprawiają rowery, które obok chickenbusów są najważniejszym środkiem lokomocji na Ometepe – choć teraz coraz częściej zastępują je chińskie skuterki. Starsi mieszkańcy odpoczywają w plecionych hamakach i piją napar z hibiskusa, nazywany tutaj „jamajką”.

Większość tubylców, podobnie jak mieszkańcy całej Nikaragui, utrzymuje się z rolnictwa. Uprawia się tu głównie platany. To rodzaj niesłodkich bananów,



zwanych warzywnymi, które dla mieszkańców Ameryki Środkowej są tym, czym dla Polaków ziemniaki. Można je gotować, smażyć i piec – jak nad Wisłą ziemniaki, mogą być uzupełnieniem posiłku. Zbiera się je dwa razy w roku, w lutym i listopadzie. Na Ometepe uprawia się też kawę. Dominują małe poletka kawowców, nie ma większych plantacji. Ziarna kawy zbiera się również w lasach, gdzie rosną dzikie krzewy kawowe; ich nasiona osiągają wyższe ceny w skupie niż ziarna kawy uprawianej.

Turyści mile widziani

W Moyogalpie, nieopodal portu, znajduje się tani bar, przerobiony ze starego kontenera. W dzień właścicielka serwuje vigorón: gotowany na parze maniok podawany z kapustą i smażoną świńską skórą. Wieczorami gromadzą się tu taksówkarze, pracownicy portu i podróżni: ci, którzy właśnie na wyspę przyплыли, i ci, którzy czekają na poranny prom następnego dnia. Nie ma zwykle obcokrajowców, nie ma też kobiet, prócz tej prowadzącej spelunkę.

Przy głośnej muzyce Daddy Yankee’go, którego piosenki są hitami od Ziemi



Na wyspie Ometepe, po prawej zbocza wulkanu Concepción, 2019 r.

Ognistej aż po Florydę, a także przy szklankach taniego i mocnego rumu Flor De Caña, dyskutuje się o platanach i zbliżającym się sezonie turystycznym.

28-letni Pedro, który z ciekawością zagaduje mnie o narodowość, jest taksówkarzem. Ładą niwą rozwozi po wyspie turystów i czasami również mieszkańców. Chciałby jednak sprzedać samochód, zmienić zawód na przewodnika górskiego i wprowadzać turystów na szczyty wulkanów.

– Nie chce mi się wciąż wozić ludzi. Jestem typem sportowca, potrzebuję ruchu. A i zarobić, myślę, można lepiej. To byłaby świetna praca – uważa chłopak. W wulkanach nie widzi zagrożenia, wręcz odwrotnie: twierdzi, że oba szczyty mają duży i wciąż niewykorzystany potencjał turystyczny. – Żeby bezpiecznie wejść i zejść z góry, trzeba ją znać. Trzeba wiedzieć, jak się zachować w czasie gwałtownego deszczu, burzy... Wielu turystów wchodziło na własną rękę i zostali na szczycie na zawsze – emocjonuje się młody Nikaraguańczyk.

– Przez politykę i ostatnie zamieszki ludzie niestety boją się do nas przyjeżdżać. Szkoda, bo turyści są szansą i przyszło-

ścią dla wyspy – dodaje Pedro. Mówiąc o „zamieszkach”, ma na myśli trwający od wielu miesięcy konflikt między lewicowym reżimem Ortegów a opozycją, w którym podczas manifestacji zginęło już kilkuset demonstrantów, zabitych przez policję.

Papież Wojtyła i św. Faustyna

Kościoły na Ometepe są bardzo biedne. Ich architektura przypomina hale targowe. Wykonane są ze słabej jakości materiałów i zwieńczone elewacją w pastelowych kolorach (często to najbardziej estetyczne części świątyni). Dach zazwyczaj przykrywa blacha falista. Na ścianach nie ma malowideł ani obrazów, brakuje posadzek i ławek dla wiernych, na ołtarzach nakrytych ceratami próżno znaleźć drogocenne wyposażenie.

Choć ich wnętrza porażają prostotą, wydają się mieć jakiś wyjątkowy, trochę tajemniczy urok. Poza tym są nawiązaniem do kościoła ubogiego.

W jednym z takich kościołów, położonym na południu wyspy, poznaję miejscowego duszpasterza. Padre Tigerino podjeżdża pod świątynię mocno skolorowanym zielonym żiguli. Nie wygląda

Aby odwiedzić rodzinę czy jedyny działający na wyspie szpital, często trzeba objeżdżać wulkany rowerem albo wystużonym żółtym amerykańskim autobusem.

jak kapłan: nosi robocze ciuchy, w rękach trzyma wiadro farby i wałki malarskie. Tak jak rosyjskie auta na nikaraguańskich drogach są dowodem gospodarczej współpracy lewicowych rządów Ameryki Łacińskiej z Moskwą, tak skromność tu-tejszego Kościoła jest dowodem, że papież Franciszek ma kogo wskazywać za przykład europejskim duchownym.

Widząc, że przyglądam się plakatowi ministerstwa zdrowia, wywieszonym na kościelnej tablicy ogłoszeń, ksiądz podchodzi i na wszelki wypadek uspokaja, że ostrzeżenia w sprawie dengi dotyczą głównie pory deszczowej. Kiedy mówię, że jestem Polakiem, wskazuje wiszące na ścianie przy wejściu na dzwonnice zdjęcie Jana Pawła II w ramce i obraz przedstawiający św. Faustynę Kowalską, ordowniczkę Bożego miłosierdzia. To stały zestaw wyposażenia kościołów na Ometepe – i w wielu świątyniach w Ameryce Środkowej.

Chińczycy się wycofali

Padre Tigerino jest absolwentem seminarium w Managui. Na wyspę przyjechał pracować zaraz po święceniach. Dzisiaj opiekuje się kilkoma kościołami.

– Ludzie są tu biedni, ale bardzo solidarni i uczynni. Dają od siebie, ile tylko mogą. Wieczorem będziemy malować zakrystię – mówi ksiądz. – Największym problemem jest brak pracy. Nie mamy żadnych fabryk. Kiedy Chińczycy podjęli decyzję o przekopaniu kanału, tu-byłcy nabrali nadziei. Ale Chińczycy wystraszyli się wulkanów... – dodaje.

Ksiądz Tigerino nawiązuje do planów wielkiego przedsięwzięcia: budowy przez chińskie przedsiębiorstwa na terenie Nikaragui przekopu, który miałby być konkurencyjnym dla Kanału Panamskiego. Nowy łącznik Atlantyku z Pacyfikiem miałby przebiegać przez jezioro Cocibolca, kilka kilometrów od wyspy Ometepe.

→ Władze Nikaragui przystały na ofertę Pekinu, godząc się na oddanie całkowitej kontroli Chińczykom nad pracami przy przekopie i wywłaszczaniu ziemi. Managua zignorowała przy tym zagrożenie, jakie projekt mógł oznaczać dla środowiska naturalnego jeziora i okolic. Inwestycję wartą 50 mld dolarów miała prowadzić spółka HKND Group z Hongkongu, na czele z multimiliardierem Wang Jिंगem, a termin jej zakończenia ustalono na 2020 r.

Jednak do dziś projekt się nie rozpoczął. – Mieszkańcy to prosić ludzie. Wierzyli, że zarobią ogromne pieniądze na tej inwestycji. Nie mają jednak świadomości, że zniszczy ona nasze jezioro i negatywnie wpłynie zarówno na rośliny, jak i zwierzęta – podkreśla ksiądz. – Na stałym lądzie, gdzie chcieli odebrać tubylcom ziemię, ludzie protestowali. A tutaj wszyscy się cieszyli, że dostaną pracę albo będą wynajmować kwatery dla robotników – dodaje.

Jezioro na razie uratowane

O budowie kanału na południu Nikaragui mówi się właściwie od czasu, gdy kartografowie wykazali, że na tym odcinku cały kontynent amerykański jest najwęższy. Najbardziej poważne próby podejmowano w połowie XIX w., gdy Amerykanin Cornelius Vanderbilt podpisał z rządem Nikaragui umowę na zaprojektowanie kanału.

Przedsiębiorca jednak szybko zorientował się, że projekt może być ryzykowny ze względu na aktywność wulkanu Concepción. Zarzucił swój pomysł i zdecydował, by wykorzystać naturalną trasę przez jezioro Nikaragua i rzekę San Juan, która wypływa z jeziora Cocibolca i płynie do Morza Karaibskiego, będąc na całej długości żeglowną. Natomiast odcinek od jeziora do Pacyfiku towary pokonywały za pomocą wozów konnych. W ten sposób droga ułatwiała handel między wschodnim i zachodnim wybrzeżem USA.

Kiedy jednak w 1914 r. Amerykanie otworzyli Kanał Panamski, szlak stracił rację bytu, a dyskusje na temat przekopu kanału w Nikaragui się zakończyły. Nowe nadzieje rozbudzili dopiero Chińczycy.

– Na szczęście wulkan uratował nasze jezioro, Chińczycy przestraszyli się Niepokalanego Poczęcia – powtarza z nieskrywaną satysfakcją padre Tigerino.

© MARCIN RYCHŁY



Tam skarb twój, gdzie serce twoje

KAROL FRYTA Z ROSJI

Niektórzy, jak Igor z Tomska, języka przodków uczyli się z książek Sienkiewicza. Jak Polacy z Syberii odkrywali swoje korzenie?

TO PRZEDSIONEK SYBERII I MIASTO obciążone piętnem carobójstwa. Tu, w Jekaterynburgu, nocą z 16 na 17 lipca 1918 r. bolszewicy rozstrzelali cara Mikołaja II wraz z rodziną. Obecnie jest to czwarte co do wielkości miasto Rosji i ważny ośrodek biznesowy.

Z Antoniną Umińską, dyrektorką Szkoły Języka i Kultury Polskiej, spotkam się w centrum. Z cokołu zerkna na nas Lenin.

Początki formowania się Polonii w tym mieście sięgają upadku Związku Sowieckiego.

W 1992 r. Czesława Pietuszko rejestruje Stowarzyszenie Polaros i zostaje jego pierwszym prezesem. Sprzyja temu klimat polityczny i wielonarodowość tego miasta. Swoje związki mają tu Mongołowie, Czesi, Baszkirzy, Ormianie, Ukraińcy i wiele innych nacji.



B. ADIAS / ANDIA.FR / EAST NEWS

Zabytkowe budownictwo w Tomsku

– Czesława pochodziła z Kresów, z okolic Przemyśla. Podczas wojny została sierotą i dzieciństwo spędziła w domu dziecka, w którym zakazano jej mówić po polsku. Stowarzyszenie założyła już na emeryturze, bo przeżywała, że potomkowie Polaków żyjących w Rosji nie mówią po polsku – wspomina Antonina Umińska.

Także w 1992 r. udaje się reaktywować tu rzymskokatolicką parafię św. Anny, a w 1997 r. do miasta przyjeżdżają palotynki. Wśród nich siostra Mirosława Włodarczyk, polonistka, która poprowadzi zajęcia z polskiego. – Gdy zaczęła mówić, to nagle dziwnie się poczułam. Wszystko rozumiałam – mówi Umińska.

Jekaterynburg: kim się czuję

Antonina Umińska pokonała długą drogę, by zostać dyrektorką szkoły.

Sowieci deportowali jej rodzinę z Wołynia do Kazachstanu, gdzie się urodziła w 1966 r. W 1990 r. zdobyła dyplom fi-

lologa rosyjskiego na uniwersytecie w Omsku, a rok później zaczęła studiować zaocznie historię sztuki na Uralskim Uniwersytecie Państwowym w Jekaterynburgu.

– Zakochałam się w tym mieście, zrezygnowałam z obywatelstwa kazachskiego i wystąpiłam o rosyjskie. Decyzja zbiegła się z kryzysem ekonomicznym w Kazachstanie na początku lat 90. Było ciężko. Choć dziadek powtarzał, że nie wiemy, co to jest głód – mówi Umińska.

W domu rodzice przyszłej dyrektorki nie mówili już po polsku. Po 1991 r. rodzina Antoniny zaczęła jednak jeździć do Polski, bo odnalazła krewnych. – Nie chciałam jechać do Polski bez znajomości języka. W ten sposób trafiłam na zajęcia polskiego. Kiedy usłyszałam „Cicha noc” i „Gdy się Chrystus rodzi”, to aż mnie ścisnęło, bo przypomniało mi się, jak dziadek śpiewał te kolędy – wspomina Antonina. – Pyta pan, kim się czuję? Trudno powiedzieć. Język mojej matki to rosyjski, w Kazachstanie się wychowałam, przodków mam z Polski...

Naukę w jej szkole zwykle zaczyna ok. 20 osób, kończy połowa. Części brakuje motywacji, inni przychodzą na chwilę. Przez placówkę przewinęło się kilka nauczycieli oddelegowanych z Polski. Pierwsze, które przyjeżdżały, zarabiały tak mało, że uczniowie zrzucali się, by pomóc wynająć im mieszkanie. Obecnie nauczyciele nie dostają pieniędzy za pracę; także dla dyrektorki to praca społeczna, bo szkoła nie otrzymuje już dofinansowania.

– Przychodzą do nas nie tylko ludzie starsi, którzy w czasach komunizmu próbowali czytać Sartre’a i Camusa po polsku, bo rosyjskich wydań nie było. Coraz więcej młodych ludzi ciekawych jest współczesnej Polski – mówi Antonina.

Zajęcia odbywają się w piwniczce za przyjaźnionej szkoły artystycznej. Przez lata w szkole udało się zgromadzić pokazny zbiór literatury, słowniki, gry planszowe. W niewielkim pomieszczeniu wisi godło Polski.

Nauka języka to nie tylko wkuwanie gramatycznych reguł. – Dużo rozmawiamy o współczesnej Polsce, bo praca polonijna to nie tylko folklor. Ważne jest, by nikt się nie rozczarował, że po przyjeździe do Warszawy ludzie nie chodzą w stroju krakowiaka i nie mówią Sienkiewiczem – śmieje się Antonina Umińska.

Tomsk po raz pierwszy: krew nie woda

To miasto leży na obszarze historycznej Syberii. Przez dwa wieki, XVIII i XIX, rozwijało się dynamicznie – do czasu, gdy szlak kolei transsyberyjskiej ominął Tomsk. Do guberni tomskiej trafiali nie tylko zesłańcy, ale i dobrowolni przesiedleńcy w poszukiwaniu ziemi i lepszych warunków życia. Polacy zostawili trwałe ślady w Tomsku, gdzie pracowało m.in. kilkunastu polskich architektów, w tym Wincenty Orzeszko (spowinowacony z Elizą Orzeszkową).

Poznaję tu 43-letniego Igora Iwanowskiego, jego syna Eliasza i żonę Innę. Mężczyźni nauczyli się polskiego, bo czują się Polakami. A wszystko zaczęło się kilka lat temu, gdy nieznaną kobietą o imieniu Sabina szukała kogoś z rodziny Iwanowskich. Trafiła do Igora. – Dowiedziałem się, że Iwanowscy przyjechali na Syberię i założyli wieś Pietropawłówkę. Doszedłem do tego, że moi przodkowie pochodzili z Wileńszczyzny – wspomina Igor. – We wsi były trzy katolickie rodziny Iwanowskich. Może za wiele w Pietropawłowce nie było, ale potrzeba klęknięcia przed krzyżem istniała, więc we wsi stanął duży czarny krzyż.

Potwierdzenie tego, że Igor ma polskie korzenie, przyszło w lutym 2018 r.: w liście z Warszawy, z Wojskowego Biura Historycznego. Igor przeczytał w nim, że jego dziadek Franciszek Iwanowski został wcielony w 1944 r. do Wojska Polskiego [armii Berlinga – red.]. – Rozwiały się moje wątpliwości. Muszę powiedzieć, że urońiłem łzę – mówi Igor. – Od dawna czułem, że nie mogę znaleźć swojego miejsca. Moja pamięć genetyczna dawała mi do zrozumienia, że nie do końca jestem Rosjaninem. Jak mawiają, krew nie woda.

List był już tylko przypiecztowaniem dłuższego procesu, bo kilkanaście lat wcześniej Igor zaczął swoją „repolonizację”. – Postanowiłem sam nauczyć się polskiego. Wziąłem „Pana Wołodyjowskiego” i zacząłem czytać – wspomina.

Potem poszło z górki. Książki Chmielewskiej, Sienkiewicza i Mickiewicza, z naciskiem na „Dziady”, w których wystąpił podczas amatorskiego występu teatru w Wilnie. – Grałem rolę starca. W Wilnie poczułem się jak w domu. Nawet kiełbasę kupowałem po polsku, choć to teraz nie jest polskie miasto.

Siedzimy w dwupokojowym mieszkaniu Igora na parterze w bloku. Zimą →

⇒ śnieg sięga do połowy okna. Jak przysiadł 40-stopniowy mróz, wszystkiego się odechciewa. Na lodowce polskojęzyczne zwroty, łamańce językowe. Igor rzuca sloganami reklamowymi z Radia Zet, którego słucha w drodze do pracy. – Spytałam kiedyś przyjaciółkę z Lublina, jak ocenia mój polski. Powiedziała, że piszę dobrze, ale używam języka, który w Polsce stosowany był 150 lat temu. Wyobrażasz sobie? Ktoś z Polski przyjeżdża na Syberię, a ja wychodzę i mówię do niego Sienkiewiczem? Tylko szabli mi brakuje!

– Igor, a na co ci ten polski? – pytam.

– Chciałbym się przenieść do Polski, bo życie tu jest ciężkie. A jeśli nawet nigdy bym nie pojechał do kraju przodków, to ich język trzeba znać.

Tomsk po raz drugi: rozmowy w piwnicy

Kolejna wizyta w Tomsku to spotkanie w więzieniu NKWD, które zamieniono na Muzeum Historii Represji Politycznych. Rezyduje tu Wasyl Haniewicz: historyk, ekspert od dziejów Polaków na terenie obwodu tomskiego. Siedzimy w piwnicy byłego więzienia, gdzie Haniewicz ma biuro.

– Moi przodkowie pochodzili z Grodzieńszczyzny, przyjechali na Syberię dobrowolnie skuszeni ziemią, którą im oferowano – opowiada historyk. – Pradziadek Józef Haniewicz wraz z bratem Janem i kilkoma innymi rodzinami osiedlili się w północno-zachodniej części obwodu. Założyli wieś Białystok. Urodziłem się w niej, wychowałem, a mój 89-letni ojciec wciąż tam mieszka. Z kolei rodzina matki to przesiedleńcy spod Białej Podlaskiej.

O syberyjskim Białymstoku zrobiło się głośno w 2017 r., gdy we wsi spłonął drewniany kościół (społecznicy i księża z Tomska zorganizowali zbiórkę, będzie odbudowany). Żyje tam wciąż spora grupa ludzi mających korzenie polskie, ale rzadko kto mówi w tym języku. Młodzi nie są zainteresowani rodowodem. Zresztą kto może, ucieka do miasta. – Dla mnie to osobista tragedia. To była piękna wieś. Z klubem, szkołą. Teraz nie ma tam nic, dzieci na zajęcia dojeżdżają do sąsiedniej Pudówki – mówi Haniewicz.

W więziennej piwnicy siedzimy we troje: jest z nami wesoła brunetka, profesor Aleksandra Guziejewa, która sfinansowała stowarzyszeniu Kulturalna Autonomia Polaków Tomska Polonia i uczy polskiego na Uniwersytecie Pedagogicznym, w Centrum Nauki Języka Polskiego. Od

1999 r. Centrum wspierane jest przez Uniwersytet Wrocławski, studenci z obu krajów jeżdżą na wymianę.

Guziejewa, absolwentka matematyki stosowanej, na rzecz mowy przodków porzuciła kierunki ścisłe. – Moi pradziadkowie przyjechali z Wileńszczyzny dobrowolnie w 1911 r. Syberia stanowiła dla nich romantyczne wyzwanie, ze względów ekonomicznych. Brakowało specjalistów, można było zrobić karierę. Wiem, że potem, w latach 30. XX w., pradziadek żałował tej decyzji. W czasie stalinowskich represji rozstrzelano trzech jego synów i spośród czworga rodzeństwa ocalał tylko mój dziadek. I to przez przypadek, bo studiował leśnictwo i był akurat na praktykach, gdy NKWD chciało go aresztować – opowiada Guziejewa.

– Dziadek już nie żyje, ale był zadowolony, że zainteresowałam się historią rodziny i porzuciłam matematykę na rzecz językoznawstwa – dodaje.

Nowosybirsk: Polska jest miłością

W ciągu ponad 126 lat istnienia Nowosybirsk rozrósł się do ponad półtora miliona mieszkańców, a codziennie do pracy dojeżdża tu 100 tys. ludzi spoza granic tej nieoficjalnej stolicy Syberii. Miasto przytłacza ogromem, ale wydaje się siemiężne ze względu na brak historycznego centrum i wszechobecną zabudowę w stylu socrealizmu.

Spotykam doktor biologii Zofię Judanową, która szefuje Stowarzyszeniu Kulturalno-Oświatowemu Dom Polski. Zofia mieszka i pracuje w Akademogorodoku: to dzielnica-moloch, jedno z największych centrów edukacyjnych w kraju, z dziesiątkami instytutów badawczych.

Początki organizowania się Polonii w Nowosybirsku sięgają końca lat 70. XX w., choć formalnie stowarzyszenie udało się zarejestrować dopiero w 1991 r. Potem różnie bywało z aktywnością jego członków, bo po śmierci Ireny Chrułowej, animatorki życia polonijnego w mieście, aktywność stowarzyszenia przygasła.

Ostatnie 10 lat to ożywienie działalności Domu Polskiego. Przy stowarzyszeniu działa szkoła języka polskiego. Obecnie nauczycielką nie jest polonistka, lecz pracownica instytutu jądrowego, która dzieli się swoją wiedzą społecznie (poprzednie nauczycielki wyjechały do Petersburga).

Korzenie Zofii Judanowej sięgają kresowej Szarkowszczyzny koło Witebska,

skąd pochodzi jej babcia. Po objęciu władzy przez bolszewików jej rodzina przeniosła się do ówczesnego Piotrogradu (Petersburga). Podczas oblężenia miasta w czasie II wojny światowej zginęła większość rodziny pani Zofii; przeżył tylko jej przyszyły ojciec wraz z siostrą i ciocią. Po wojnie rodzeństwo trafiło do domu dziecka w Kraju Ałtajskim; dopiero po kilku latach odnalazła ich ciocia. Po różnych zawirowaniach, ostatecznie osiadł w Nowosybirsku, gdzie urodziła się Zofia.

Wiedząc, że ma korzenie polskie, ojciec odszukał kuzynów w Polsce i napisał do nich. Spotkali się w pociągu na granicy w Terespolu. Wzruszony konduktor udostępnił im cały przedział, by mogli opowiedzieć sobie historię życia.

– Pierwszy raz do Polski przyjechałam w 1988 r. – wspomina szefowa nowosybirskiej Polonii. – Gdy wróciłam do Rosji, zaczęłam sama uczyć się języka, potem przez trzy miesiące uczęszczałam na kurs na uniwersytecie. Chciałam uczyć się w Polsce, ale się nie udało.

– Czym dla pani jest Polska? – dopytuję.

– Miłością. Tak się złożyło, że jestem Rosjanką, ale polskiego pochodzenia. Czuję się Polką. Blżej mi do Warszawy niż Moskwy.

Gornoałtajsk: drzewo genealogiczne

To stolica Republiki Ałtaju i zarazem jedynie miasto w tej jednostce administracyjnej Federacji Rosyjskiej, przez które przebiega górzysty i malowniczy Trakt Czujski. Droga, na której w 1995 r. zginęła utalentowana piosenkarka Tatiana Śnieżyna, ciągnie się do Mongolii. Poza tym miasto Gornoałtajsk nie zapada w pamięć; choć warto odnotować, że w muzeum regionalnym można obejrzeć 2500-letnią mumię, zwaną syberyjską księżniczką z Ukoku.

Spotykam się z Mariną Worobjewą, wykładowczynią na wydziale języków obcych na Gornoałtajskim Uniwersytecie Państwowym. Marina zna polski, angielski i niemiecki. Jednocześnie jest prezeską Polskiego Narodowo-Kulturalnego Zjednoczenia Zdrój.

– Istniejmy od 10 lat i prowadzimy wiele działań związanych z polską kulturą – mówi Marina Worobjewa. – Organizujemy spotkania, podczas których przedstawiamy sylwetki znanych Polaków, prezentujemy kuchnię polską, obchodzimy święta polskie, do tego docho-

dzą wystawy, coroczny festiwal narodowości. Współpracujemy też z plockim Regionalnym Stowarzyszeniem Wschód-Zachód.

W Gornoaltajsku poznaję również dr Tatianę Szczerbakową (Kugajewską). Jest spowinowaconą z Edwardem Piekarskim – zesłańcem, etnografem i lingwistą, autorem monumentalnego dzieła: słownika języka jakuckiego. Piekarski, podobnie jak kilku innych Polaków, jest w Jakucji postacią szczególną. Jego imieniem nazwano jedną z ulic w Jakucku. Dom, w którym mieszkał przez 18 lat, został rozebrany i przewieziony do muzeum etnograficznego w Czerkiochu.

Okazuje się, że siostra dziadka doktor Szczerbakowej była żoną polskiego językoznawcy. – Dowiedziałam się przez przypadek, że należy on do mojej rodziny. Tworzyłam nasze drzewo genealogiczne – wyjaśnia kobieta. – Od tego odkrycia za interesowałam się Piekarskim, napisałam kilka artykułów na jego temat, jeździłam na konferencje. Obecnie kontaktuję się z ludźmi na Białorusi, bo tam się urodził. Mam nadzieję, że dowiem się o nim więcej.

Barnauł: królewicz i chmura

Wandę Jarmolińską z Barnaułu w Kraju Ałtajskim zna chyba każdy Polak na Syberii. To kobieta-instytucja: piosenkarka, krawcowa, tłumaczka, animatorka życia polonijnego, szefowa Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego Obwodu Ałtajskiego Dom Polski.

– Polskie piosenki śpiewałam, jeszcze nim powstało nasze stowarzyszenie – mówi Wanda Jarmolińska. – Od 20 lat szyję stroje ludowe. Przez to człowiek czuje więź z krajem. Zresztą, ile można rozmawiać o Polsce bez działań? Praca lepiej jednoczy niż gadanie.

Wanda mówi, że wzory strojów ludowych czerpie z wizyt w polskich muzeach. – Mam dobrą pamięć, a szczegóły sprawdzam w internecie.

Oglądamy stroje. Podczas przekopywania się przez wieszaki Wanda zaczyna opowieść o innych inicjatywach artystycznych. Przy stowarzyszeniu funkcjonuje zespół Polskie Kwiaty („Nie kieruję nim, bo źle wygląda, gdy prezes zajmuje się wszystkim”) i Teatr Polski Konwalie („Tym kieruję”). – Napisałam kilka lat temu balladę muzyczną do wiersza Marii Konopnickiej „Konwalia” – Wanda



ANTONINA UMIŃSKA, Jekaterynburg:
Kim się czuję? Trudno powiedzieć. Język mojej matki to rosyjski, w Kazachstanie się wychowałam, przodków mam z Polski...



WANDA JARMOLIŃSKA, Barnauł:
Od 20 lat szyję stroje ludowe. Przez to człowiek czuje więź z krajem.



ZOFIA JUDANOWA, Nowosybirsk:
Czym dla mnie jest Polska? Miłością. Tak się złożyło, że jestem Rosjanką, ale polskiego pochodzenia. Bliżej mi do Warszawy niż Moskwy.



WASYL HANIEWICZ, Tomsk:
Pradziadek z bratem Janem i kilkoma innymi rodzinami założyli wieś Białystok. Urodziłem się w niej i wychowałem.

Jarmolińska rozkłada nad głową szarą chmurę, element scenografii. – I sama ją śpiewałam. W 2018 r. przyszło do stowarzyszenia kilka utalentowanych osób, więc zrobiliśmy to na role. Jest Królewicz, jest Drzewo. Niech pan posłucha...

Rodzina matki Wandy Jarmolińskiej mieszkała w Baranowiczach. Po inwazji Niemiec na Związek Sowiecki uciekli aż na Ałtaj. Dziadek dobrowolnie poszedł na front, zginął w bitwie pancerniej na Łuku Kurskim, więc trzyletnia wówczas matka Wandy Jarmolińskiej nawet nie pamiętała ojca. Po wojnie, wraz z babcią, wróciła do Baranowicz, ale nie zagrzała tam długo miejsca, bo miasto nie nadawało się do życia. Ostatecznie matka z córką osiadły w Kaliningradzie, gdzie przyszła mama Wandy Jarmolińskiej skończyła technikum, a potem wyjechała na Ałtaj.

– W połowie lat 50. XX w. w Związku Sowieckim zaczęła się kampania, której celem było pobudzenie słabo rozwiniętych ziem. Ałtaj cierpiał na niedobór specjalistów. Dlatego mama po skończeniu studiów w Barnaulu postanowiła tu zostać – wyjaśnia Wanda Jarmolińska. – Całe życie czułam w sobie polską krew, bo matka zawsze przypominała, że jej ojciec był Polakiem. Gdy byłam nastolatką, podczas szkolnej wycieczki do Moskwy kupiłam podręcznik do nauki polskiego. I tak sobie całe życie do niego zerkalam. W końcu nauczyłam się polskiego, jeździłam na szkoły letnie do Polski. Trudno zliczyć, ile nocy nie przespałam, żeby ludziom tłumaczyć urzędowe pisma, gdy starali się o Kartę Polaka.

Wanda Jarmolińska mówi, że gdy słyszy słowo „Polska”, robi się jej cieplej na sercu.

Abakan: dom jest tam, gdzie nasi krewni

Miasto jest stolicą Republiki Chakasji, na której terenie żyją w większości potomkowie przymusowych i dobrowolnych osadników z początku XX w. Na tych terenach udało się lepiej zachować polską tożsamość, o czym świadczą m.in. polskie wsie Aleksandrowka i Znamienka. Można tam spotkać potomków Mazurów, mówiących gwarą.

W Abakanie spotykam Olę Sedych, nauczycielkę w Szkole Języka Polskiego i Kultury Polskiej. – Szkoła istnieje od 25 lat, jestem jej absolwentką. Uczyłam się pod okiem Sergiusza Leończyka, jeździłam na letnie kursy do Krakowa →



KAROL FRYTA

WALENTYNA SZYMAŃSKA, Jakuck.

Gdy przyjechałam z Kazachstanu, postanowiłam oddać hołd moim przodkom i wszystkim zesłańcom.

→ i Poznania. Mieszkaliśmy w Polsce dwa lata, skończyłam tam studia podyplomowe – mówi Olga.

Czy nie chciała zostać w Polsce? – Nie wiem... Moja babcia była Polką, kraj jest piękny, uwielbiam go, ale nasz dom jest tam, gdzie nasza rodzina i krewni.

– Jak moja babcia znalazła się w Rosji? – Olga powtarza pytanie. – Jej dziadek, Adam Smolicz, pochodził z Krakowa. W poszukiwaniu ziemi trafił do wsi Sarybalyk w obwodzie nowosybirskim. Tam w 1920 r. urodziła się babcia. Wieś była niemal całkowicie polska, w szkole, kościele i domu mówiło się po polsku. Późniejsze represje oznaczały zakaz mówienia w tym języku. Gdy pradiadek został rozstrzelany, moja babcia wraz ze swoją matką uciekły ze wsi. Potem babcia wyszła za męża, urodziła troje dzieci, w tym Helenę, moją mamę – opowiada Olga.

Rodzina trafiła do Abakanu. Gdy w mieście zaczęła organizować się Polonia, na początku lat 90. XX w., Olga z mamą dołączyły do tego środowiska. Jego animatorem był dr hab. Sergiusz Leończyk. Olga ukończyła filologię rosyjską, pracowała jako dziennikarka w lokalnych „Argumentach Sukcesu”. – Jednak gazeta nie odniosła sukcesu i zmieniłam pracę – śmieje się Olga. – Od 20 lat

uczę polskiego, z przerwami na urodzenie Iwana, Zosi i Ani.

Idziemy z Olgą na lekcję, którą poprowadzi. Uczniowie to kilkusobowa grupa, w różnym wieku i o różnej motywacji. Ktoś chce wyjechać na studia do Polski, innego interesuje język i kultura, ktoś inny chce się starać o Kartę Polaka. Olga jest trochę „pod ścianą”, bo sytuacja trudna, od 2015 r. władze republiki odcięły pieniądze na naukę. Dlatego teraz lekcje są płatne.

– Mówi się o utworzeniu Domu Przyjaźni, w którym swoje siedziby miałyby związki narodowe. Może wówczas wróciłoby finansowanie szkoły? – zastanawia się Olga. – W tej chwili mamy tylko wsparcie z konsulatu polskiego na opłacenie pomieszczeń, gdzie odbywają się zajęcia.

Jakuck: lęk tkwił długo

To już Daleka Północ Rosji, panują kilkunastu stopniowe mrozy i wieczna zmarzlina.

Polacy mają tu status honorowy, bo wśród zesłańców wyróżniło się ich kilkunastu. Najbardziej znani to Wacław Sieroszewski (autor m.in. „12 lat w kraju Jakutów”), wspomniany już językoznawca Piekarski, geograf Jan Czerski (na jego cześć nazwano kilka szczytów i łańcuchów górskich oraz miasto) i geolog Aleksander Czekanowski.

– Jakucja to już inna Syberia – zastrzega Walentyna Szymańska, przewodnicząca tutejszej Polonii. – Wszędzie warunki były ciężkie, ale tu są szczególnie trudne. Jeszcze 20-30 lat temu ludzie mieszkali w drewnianych domach krytych gliną, tzw. bałaganach. W środku, w kącie, było ognisko, dalej zasłonka, aby kobieta mogła się przebrać. A na zewnątrz 50 stopni mrozu...

Przodkowie Walentyny zostali zesłani z Kamieńca Podolskiego do Kazachstanu. Jej dziadek został zamordowany przez NKWD w więzieniu w Karagandzie. – Dlatego gdy przyjechałam z Kazachstanu, postanowiłam oddać hołd moim przodkom i wszystkim zesłańcom. W 1995 r., już na emeryturze, założyłam polonijne stowarzyszenie – mówi Walentyna. – Szukałam potomków Polaków, ale nikt się nie odzywał, bo ludzie wciąż pamiętali łagry i zesłania. Jeszcze tkwił w nich lęk.

Walentyna Szymańska podkreśla dużą rolę Jakutów, którzy wspierali ją w założeniu stowarzyszenia. W latach 90. wszyscy znali nazwiska najślynniejszych Polaków w Jakucji, ale tylko wąska grupa miała świadomość, jakiej byli narodowości. – Dla Jakuta każdy zesłany był po prostu Rosjaninem – mówi. – Nawet w Polsce do czasów wydania książki Witolda Armona „Polscy badacze kultury Jakutów” wiedza na ten temat była niewielka. Postanowiłam zająć się upowszechnianiem tej wiedzy.

Pokłosiem tych działań było sześć międzynarodowych konferencji, Dni Kultury Jakucji na Uniwersytecie Warszawskim i Dni Kultury Polskiej w Jakucji. Ukazała się książka „Polacy w Jakucji”. Walentyna była też zaangażowana w ustawienie symbolicznego kołnieważu w miejscu, gdzie stał dom zesłańca Aleksandra Sipowicza. Ten był student medycyny bezpłatnie leczył Jakutów, a pamięć o nim trwa do dziś. Jakucka Polonia zadbała też o utworzenie pamiątkowego bałaganu Edwarda Piekarskiego w Czerkiochu.

Ukoronowaniem tych działań jest ustawienie czterech głazów, upamiętniających polskich badaczy-zesłańców i oddających hołd ofiarom represji komunistycznych. Na kamieniach znalazły się nazwiska Sieroszewskiego, Czerskiego, Czekanowskiego i Piekarskiego.

Stoimy przy głazach. Rozmawiamy o przyszłości stowarzyszenia, którego istnienie stoi pod znakiem zapytania, ze względu na niewielką liczebność polskiej diaspory w Jakucku.

– Mam swoje lata, jestem już trochę zmęczona – wzdycha Walentyna Szymańska. – Chciałabym w 2020 r. zrobić jeszcze obchody 25-lecia stowarzyszenia, ale zastanawiam się, co potem? Kto będzie chciał się dalej angażować w prace jakuckiej Polonii? © KAROL FRYTA



KAROL FRYTA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 19 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

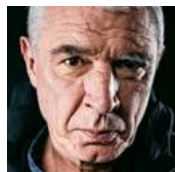
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

ANDRZEJ

Stasiuk: Miasteczko



CHASAMI JEŹDŻĘ TAMTĘDY DO WARSZAWY. Kończy się las, zaczyna miasteczko. Po prawej jest Muzeum Drogownictwa, w którym zawsze chciałem się zatrzymać, ale jakoś nigdy nie znalazłem czasu. Kawalek dalej karczma, oczywiście „Staropolska”. Potem rynek z barokowym kościołem Marii Magdaleny. I to właściwie wszystko. Jeszcze żółta Biedronka, plac z maszynami rolniczymi, składy, hurtownie i Wisła z niskim łakami, cumującą pogłębiarką oraz stalowym, kratownicowym mostem z lat 50. Piękna zielona konstrukcja o nieco już zabytkowym wyglądzie. No więc zawsze sobie obiecywałem, że stanę w Szczucinie, ponieważ miasteczko wyglądało jak kwintesencja uroczego miasteczka z szerokim oddechem rzeki jako epickim akcentem. Lecz nigdy nie stanąłem.

Ale parę tygodni temu kupiłem książkę Moniki Góry „Miasteczko zbrodni. Dlaczego zginęła Iwona Cygan?”. Tytuł jest nieco sensacyjny, ale okładki kryją rzetelny reportaż śledczy, napisany chłodno i precyzyjnie. Książkę wydało W.A.B.

W sierpniu 1998 r. w Szczucinie została zamordowana 17-letnia Iwona Cygan. Wcześniej ją torturowano. Potem wywieziono na brzeg rzeki i uduszono drutem. W miarę dziennikarskiego śledztwa okazuje się, że w dzień zabójstwa ofiarę w towarzystwie oskarżonych o mord widziało pół miasteczka. Widzieli ich miejscowi policjanci. Widzieli ją, gdy zakrawioną i torturowaną prowadzono do auta. Nie zareagowali. Tak więc widzieli i wiedzieli wszyscy. Jeden z policjantów był nawet świadkiem samej zbrodni. Nic nie zrobił. Wchodzimy stopniowo w szczucińską rzeczywistość, by się przekonać, że owszem tak, miasteczko zbrodni, i to niejednej, bo po drodze natrafiamy na inne śmierci. Niejasne samobójstwa, wypadki dotyczące osób, które mogłyby powiedzieć, jak sprawy mają się naprawdę. Lecz Szczucin to przede wszystkim miasteczko strachu.

Boją się wszyscy. Wtedy, dwadzieścia parę lat temu i teraz. Tak mówi w wywiadzie Monika Góra. Wszyscy wciąż się boją. Boją się swoich, sąsiadów, znajomych, mieszkańców po prostu. Powiązanych nicią prowincjonalnych zależności rodzinnych, biznesowych, wódczanych, rozrywkowych. Policjant, który widzi zabójstwo i nie reaguje, musi mieć ważny powód swojej bezczynności i poczucie bezkarności. Musi czuć się całkiem u siebie. Bo cały Szczucin jest u siebie. Da się zastraszyć „swojemu” – psychopatycznemu wielkiemu gamoniowi o wdzięcznym imieniu „Młody Kłapa”. To on według prokuratora miał zabić Iwonę Cygan. Tylko w westernach zło przybywa z zewnątrz. Tutaj, w Szczucinie, we wszystkich naszych malowniczych Szczucinach, z uroczym kościółkiem i ryneczkiem, zło jest naszego, rodzimego chowu. Zło hoduje ozdobne krzewy, żeby było ładnie, pije z komendantem policji, rozpala grilla nad wodą, jedzie do Austrii na gatarbajt, handluje samochodami, baluje w knajpie „U Trabanta”. I właściwie dlaczego miałoby być złem, skoro jest nasze, tutejsze. Sprawa ciągnie się ponad dwadzieścia lat. Umarzane śledztwa, znikające dowody rzeczowe, odsuwani policjanci, którzy jednak próbują dojść prawdy (oczywiście Niemiejscowi). Osamotniona, zastraszana rodzina Iwony. Zwodzona przez prokuratora: jak pójść do mediów, to zaszkodzi sprawie. A jednak media, te wrogie, „warszawskie”, „ichnie”, sprawiają, że śledztwo wychodzi ze ślepego zaułka.

Dawno nie czytałem tak przejmującej książki o Polsce. O tej „naszej”, „tradycyjnej”. Lokalnej, a zarazem wszechpolskiej Polsce. Dawno nie czytałem tak dobrej książki o naszym, swojskim strachu, który wybieramy, bo przecież nasz, dobrze znany, rodzinny i ojczysty.

Z ciekawości wchodzę na stronę „Atlas nienawiści” (choć dla mnie to właśnie „atlas strachu”), na którym zaznaczono na czerwono gminy, które przyjęły tzw. deklaracje anty-LGBT. Gminy truchlejące z lęku przed złem, które nadejdzie z wielkiego świata i przyniesie zagładę ich „małej ojczyźnie” oraz „tradycyjnym wartościom”. Gmina Szczucin jeszcze się trzyma. Ale sąsiednie Żabno czy Mielec już palają ogniem przerażenia.

Książka Moniki Góry jest napisana jasno i prosto. Nic nie stoi na przeszkodzie, by wójtowie, radni, burmistrzowie mogli się z nią zapoznać. To oszczędzi im czasu, który poświęcą na obserwację widnokręgu w nadziei, że wynurzy się zza niego zło, któremu pragną stawić czoła. Amen. ©

TP Kluby „TP” zapraszają na spotkania

BIELSKO-BIAŁA

wtorek, 25 lutego, godz. 17

Przed rocznicą pierwszego wydania. Rozmowa o „Tygodniku Powszechnym”.

Goście: Anna Mateja, Marcin Żyła, dr Janusz Okrzesik. Miejsce: Kawiarnia „Perspektywa” (ul. Słowackiego 4).

LUBLIN, poniedziałek, 2 marca, godz. 16

Kościół wobec wyzwań ekologicznych i klimatycznych. Gościem będzie o. Stanisław Jaromi. Miejsce: aula klasztoru oo. dominikanów (ul. Złota 9).

WARSZAWA, sobota, 29 lutego, godz. 16

Kawiarenka „By rozjaśnić noc”. Gośćmi będą Barbara Engelking oraz Michał

Okoński. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

ZIELONA GÓRA

wtorek, 25 lutego, godz. 18

Czy dr Marcin Luter stoi na przeszkodzie ekumenizmowi? Gościem będzie ks. Marek Bożek. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).



Adolf Hitler i jego asystent Julius Schaub podczas podróży po Niemczech, lata 20.

ADOLF HITLER: DZIEŃ PIERWSZY

Choć dla wielu jej historia zaczęła się w 1933 r., wraz z objęciem urzędu kanclerza przez jej lidera, to Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotników powstała sto lat temu. Mało kto wróżył jej wtedy sukces.

JOANNA HYTREK-HRYCIUK

MONACHIJSKA PIWIARNIA HOFBRÄU-
haus otwarta jest codziennie niemal do północy. Lokal zajmujący trzy kondygnacje w XVI-wiecznej kamienicy i oferujący 1300 miejsc siedzących jest dziś obowiązkowym punktem na trasie turystów w stolicy Bawarii. Ale bez złudzeń. Gości nie przyciąga raczej piwo. Owszem, jest wyśmienite, ale nieprzy-

zwoicie drogie: niemal 10 euro za litrowy kufel (trochę dalej, na Marienplatz, można wypić równie dobre za połowę tej ceny). Owszem, karta dań oferuje bawarskie przysmaki, a lokal chwali się, że ma własną masarnię, piekarnię i cukiernię, jednak i tu ceny są wyśrubowane. Do tego zniecierpliwieni kelnerzy, straszny hałas i specyficzna bawarska muzyka.

Wolno więc sądzić, że sporą część klientów do Hofbräuhaus ściąga historia: chcą zobaczyć miejsce, gdzie wydarzył się jeden z punktów zwrotnych XX stulecia.

To tutaj 24 lutego 1920 r. spotkali się członkowie i sympatycy Niemieckiej Partii Robotników (Deutsche Arbeiterpartei) – ugrupowania niewielkiego i założonego ledwie rok wcześniej – aby do nazwy swo-

jej formacji dołączyć przymiotnik „narodowo-socjalistyczna”, a także przyjąć 25-punktowy program. W ten sposób powstała NSDAP.

Ruch powołany w zabytkowej piwiarni – i przez swoich zwolenników, zwykle młodych lub bardzo młodych, pojmowany jako rewolucja narodowo-socjalistyczna – wkrótce miał stać się jednym z najbardziej złowrogich symboli.

Świat zakwestionowany

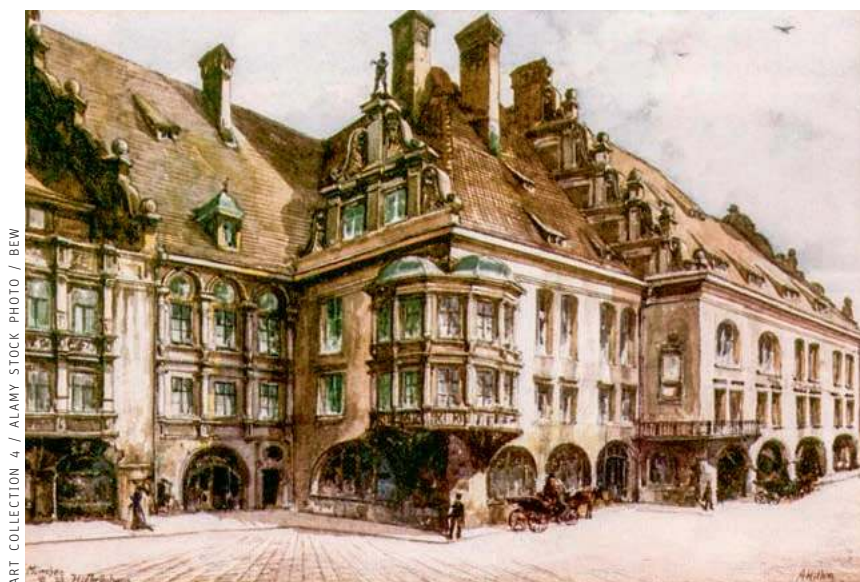
Monachium w przeddzień piwiarnianego spotkania to świat wywrócony do góry nogami. Podobnie jak całe Niemcy – po tym, jak wcześniejszy ład został zakwestionowany pod wpływem doświadczeń I wojny światowej, upadku monarchii i prób przejścia władzy przez lokalnych komunistów (także w Bawarii) oraz kryzysu, pauperyzacji i głodu.

Kiepski był to punkt wyjścia do budowania państwa demokratycznego, jakim miała stać się nowa niemiecka republika (od miejsca powołania zwana weimarską). Na razie w kraju nie rządził lud, lecz polityczna zawierucha i nędza. Tak będzie zresztą przez kilka następnych lat. W 1914 r., przed Wielką Wojną, funt chleba kosztował 0,15 złotej marki, w 1918 r. – 0,25 marki papierowej, w 1922 r. – ponad 10 marek. Za to rok później, gdy zaczęła się galopująca inflacja, 220 mln marek.

Frustracja wyrażała się wzrostem skrajnych nastrojów, podsycanych legendą o „ciosie w plecy”, który niepokonanej w polu armii niemieckiej mieli zadać socjaldemokraci, spekulanci i Żydzi (oraz ich diaboliczne machinacje). Fakt, że wielu z tych ostatnich zaangażowało się w komunistyczną Bawarską Republikę Rad (powołaną w kwietniu 1919 r. i w maju zdławioną przez wojsko rządowe), nie mógł się podobać w katolickiej Bawarii – i zdawał się potwierdzać zarzuty wobec Żydów (choć ogromna większość z nich czuła się Niemcami i niemieckimi patriotami – i dowiodła tego na polach bitew I wojny światowej).

Odzyskane poczucie sprawczości

Po takie hasła szczególnie chętnie sięgał 31-letni Adolf Hitler, wówczas informator wywiadu wojskowego. Do środowiska związanego z Niemiecką Partią Robotników skierowali go przełożeni: miał je inwigilować. Urodzony jako poddany



Adolf Hitler, „Hofbräuhaus”, obraz olejny.

cesarza Austrii, ale poczuwający się do wspólnoty narodu niemieckiego, Hitler był wtedy jednym z licznych biedujących weteranów (wojnę spędził w szeregach bawarskiego pułku, do którego zgłosił się w 1914 r. na ochotnika).

Do Deutsche Arbeiterpartei trafił więc jako konfident, ale szybko się tam odnalazł i został jej działaczem. Bo choć mieszkał w przytułku przy Lothstrasse 29, to miał spory kapitał: czytanie, kilka obiecujących znajomości i talent do żarliwego przemawiania. Prezentowany przez niego radykalizm zdawał się odświeżający. Zwolenników przekonywał też mówieniem o „ruchu” narodowo-socjalistycznym, co dawało poczucie sprawczości i sprawiedliwości.

24 lutego 1920 r. w Hofbräuhaus musiało być wyjątkowo tłoczno: Hitlera miało słuchać dwa tysiące ludzi. W programowej książce „Mein Kampf”, napisanej kilka lat później, podzielił się wrażeniami z tego dnia: „Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi z tej radości”.

Z jednego pokolenia

Od początku Hitlerowi będzie towarzyszył cztery lata młodszy Alfred Rosenberg. Zza biurka w redakcji „Völkischer Beobachter” trafił potem na szczyty władzy, jako autor teorii rasistowskich i minister odpowiedzialny za okupowane terytoria na Wschodzie. Nieco później dołączył początkujący dziennikarz Joseph Goebbels (rocznik 1897). Najpierw sceptyczny, w 1926 r. zanotuje w dzienniku: „Mówi Hitler. O polityce, idei, organizacji.

Głęboko i mistycznie. Prawie jak ewangelia. Przejmuje dreszcz, gdy wędruje się z nim ku otchłaniom bytu”. Za kilka lat Goebbels zostanie szefem propagandy.

Równie niezdeterminowany wydawał się początkowo Hans Frank (rocznik 1900), później namiestnik okupowanej Polski, który kilkakrotnie wstępował i wypisywał się z DAP oraz NSDAP. Ostatecznie skusiła go oferta Hitlera, by jako świeżo upieczony absolwent uczelni został radcą prawnym partii. 3600 – taki numer nosiła z kolei legitymacja partyjna Ernsta Boepflego (rocznik 1887, jeden z założycieli DAP, zaangażował się w NSDAP). Dodajmy do tej listy innych młodych: Heinricha Himmlera (potem szefa SS, rocznik 1900) czy Reinharda Heydricha (rocznik 1904, szefa RSHA, tj. głównej instytucji aparatu terroru).

Wszyscy byli przedstawicielami jednego pokolenia. O wspólnych doświadczeniach, młodzi, radykalni i podatni na odrzucenie tradycyjnych ograniczeń moralnych (choć oni sami woleli nazywać to inaczej – nową moralnością) – w czym byli podobni do bolszewików.

Wizja alternatywnego ładu

Podczas spotkania w Hofbräuhaus nowa partia przyjęła program, którego treść można by dziś ironicznie skomentować, że „był przeciw”. W 25 punktach działalności rewolucji narodowo-socjalistycznej kreślili wizję nowych Niemiec, alternatywnych do republiki weimarskiej. Deklarowali także sprzeciw wobec postanowień traktatu wersalskiego: przyjęty →

→ pół roku wcześniej, odbierał on Niemcom znaczne terytoria, niemal likwidował ich armię, zakazywał ewentualnego zjednoczenia z Austrią, nakazywał oddać niemieckie kolonie i nakładał na kraje reparacje wojenne (w wysokości jeszcze bliżej nieznaney, ale można było oczekiwać, że ogromnej). Hitler i współautor programu Anton Drexler – założyciel Deutsche Arbeiterpartei, starszy o pięć lat od przyszłego Führera, w lipcu 1921 r. zrezygnuje z funkcji przewodniczącego NSDAP na rzecz Hitlera – postulowali unieważnienie tego traktatu, który zwykli nazywać „dyktatem”.

Siedem punktów programu poruszało kwestie ekonomiczne. Postulowano zmniejszenie oprocentowania kredytów, konfiskatę części dochodów sektora prywatnego, nacjonalizację przedsiębiorstw i „komunalizację” dużych domów towarowych na rzecz małych sklepów. Postulowano też karę śmierci dla „lichwiarzy i wichrzycieli”.

Zwolenników do NSDAP miały przyciągnąć też, umieszczone w drugiej części programu, postulaty rozbudowy systemu opieki nad najstarszymi członkami społeczeństwa oraz ochrony matek i dzieci (w tym zakaz pracy najmłodszych). Autorzy nie zapomnieli o postulacie budowy silnego i zdrowego społeczeństwa. Jednakowe miały być również prawa i obowiązki wszystkich obywateli (ale niewiele miało to wspólnego z demokracją: podkreślano, że interes państwa jest ważniejszy niż dobro jednostki).

Hitler i Drexler nie zapomnieli o Żydach. Co najmniej cztery paragrafy były mieszaną ich antysemickich obsesji. Żydzi, określani w kategoriach rasy, mieli zostać pozbawieni niemieckiego obywatelstwa (w przypadku kryzysu ekonomicznego dopuszczano ich deportację). Postulowano zakaz wykonywania przez Żydów zawodu dziennikarza czy wydawcy i bardziej ogólnie – wprowadzenie cenzury. Ruch deklarował się też jako „chrześcijańsko pozytywny”, jednak wolność religijna miała być ograniczona. Wyznanie nie mogło naruszać moralności i dobrych obyczajów. Nie do końca było jednak jasne, gdzie należy wytyczyć te moralne granice, przy najmniej na początku.

Postulaty zamykał apel o zbudowanie silnej, obdarzonej charyzmą i autorytetem władzy parlamentarnej. Emocjonalną wymowę całości podkreślał fakt, że przywódcy NSDAP ślubowali zająć bez-



Adolf Hitler na początku lat 20.

względne stanowisko w sprawie realizacji 25 punktów programu – jeśli trzeba, z narażeniem życia.

Hitler zanotował, że uczestnicy spotkania opuszczali Hofbräuhaus w pełnym refleksji milczeniu. Policja meldowała o awanturze z udziałem grupy komunistów i interwencji.

Dobosz nowych Niemiec

Wtedy, w lutym 1920 r., program NSDAP pozostał bez znaczenia. Zresztą szybko zmarginalizowana została sama partia: po puczu monachijskim – próbie przejęcia władzy przez Hitlera w 1923 r. – została zakazana, a on aresztowany i osadzony w więzieniu w Landsbergu (tam swemu sekretarzowi Rudolfowi Hessowi podyktuje tekst „Mein Kampf”). Jednak to, co wydawało się klęską ruchu, okazało się okolicznością wyjątkowo szczęśliwą: po tamtym puczu i procesie Hitler stał się nagle postacią znaną, a popularność jego idei rosła szybko. Do tego stopnia, że wzywając do uwolnienia Hitlera, Philip Leonard i Johannes Stark – dwaj fizycy i laureaci Nobla – już w 1924 r. nazwali go „doboszem nowych Niemiec”.

Czas i okoliczności sprzyjały NSDAP, ponownie zarejestrowanej w 1925 r. Na-

To, co w 1920 r. mogło
wydawać się tylko
chcieniem i znakiem
czasów, 13 lat później
oznaczało skok w otchłań
terroru, rabunku i pogardy,
**a na koniec wojny totalnej
i ludobójstwa.**

dzieje narodowych socjalistów wzmacniały sukcesy Benito Mussoliniego we Włoszech czy podobne w duchu deklaracje Gyuli Gömbösa (premierem Węgier zostanie na rok przed przejściem władzy w Niemczech przez Hitlera). W wyborach w 1932 r. NSDAP zdobyła 37 proc. głosów i utworzyła największą frakcję w parlamencie (choć nie zdobyła, jak się czasem sądzi, samodzielnej większości). Pół roku później prezydent Hindenburg desygnował Hitlera na szefa koalicyjnego rządu (kilka miesięcy później kanclerz pozbył się koalicjantów).

Wkrótce NSDAP miała liczyć ponad 8 mln członków. Mogłoby być więcej, gdyby nie ograniczenia w przyjmowaniu chętnych, garnących się do nowej władzy.

Program (częściowo) realizowany

Po 1933 r. do życia społecznego i politycznego wprowadzono wiele elementów 25-punktowego programu przyjętego w Hofbräuhaus. To, co w 1920 r. mogło wydawać się tylko chęcią i znakiem czasów, 13 lat później oznaczało skok w otchłań terroru, rabunku i pogardy, a na koniec wojny totalnej i ludobójstwa.

Zgodnie z wprowadzonym prawem Żydów pozbawiono majątków, tytułów naukowych i obywatelstwa, później ich życie sprowadzono do wyboru: emigracja lub śmierć. Cztery punkt programu z 1920 r. – „Obywatelom może być jedynie ten, który jest narodowym towarzyszem (*Volksgenosse*). Towarzystwem może być jedynie ten, kto jest niemieckiej krwi, bez znaczenia, jaką religię wyznaje. Żaden Żyd nie może być narodowym towarzyszem” – mógłby być preambułą do przyjętych 15 lat później ustaw norymberskich.

Całkowita kontrola nad prasą i kulturą sprawiła, że wprowadzenie cenzury nie było konieczne. Niemcy, wkrótce przemianowane na III Rzeszę, zjednoczyły się z Austrią, odbudowały militarny potencjał i w ciągu kilku następnych lat znacznie powiększyły swoje terytorium. Odbrane zamorskie kolonie, zgodnie z zawartą w „Mein Kampf” sugestią, zastąpiły tereny okupowane, gwarantujące tanią siłę roboczą, żywność i „przestrzeń życiową” (*Lebensraum*). Sport i spędzanie wolnego czasu sprowadzono do wspólnotowo-religijnego rytuału. Podobnie jak w programie 25 punktów, także w późniejszych pryncypiach pojawiło się słowo

„moralność”, odmieniane przez wszystkie przypadki.

Natomiast kłopotliwe, w gospodarce rzeczywistości po 1933 r., okazały się ogłoszone 13 lat wcześniej hasła ekonomiczne. Ostatecznie zrezygnowano z likwidacji prywatnej własności na rzecz rozbudowania procesów regulujących płace, wielkość produkcji, kredyty czy możliwości handlu z zagranicą. Wkrótce zresztą gospodarka weszła na nowe tory, rozkwitając dzięki liczным zamówieniom na potrzeby zbrojącego się kraju.

Freski na suficie

Jest paradoksem, że NSDAP powołano do życia dwa razy (w roku 1920 i 1925) – oraz dwa razy ją likwidowano. Najpierw w maju 1945 r. rozwiązał ją admirał Karl Dönitz, który na mocy testamentu Hitlera objął 30 kwietnia 1945 r. funkcję prezydenta Rzeszy. Sądził najwyraźniej, że odcinając się od ideologii Führera, stanie się – przynajmniej dla Zachodu – partnerem do negocjacji. Pięć miesięcy później, w październiku 1945 r., rozwiązała ją ponownie Sojusznicza Rada Kontroli, pełniąc funkcję *quasi*-rządu okupowanych Niemiec.

W latach narodowo-socjalistycznej dyktatury Hofbräuhaus stał się miejscem kultowym, ciągnęły tu pielgrzymki z całych Niemiec. Spotkanie, które uznano za założycielskie, i przemowę Hitlera upamiętniała tablica z brązu (dziś nie ma po niej śladu).

Znacznie uszkodzona w czasie wojennych nalotów na Monachium, piwiarnia została jednak w 1950 r. odrestaurowana. Nie zapomniano przy tym o charakterystycznych freskach. Te widniejące na suficie największej sali na parterze są szczególnie: wokół każdej z lamp namalowana jest charakterystyczna niebiesko-biała bawarska flaga narodowa, ułożona w kształt swastyki. © JOANNA HYTREK-HRYCIUK

DR JOANNA HYTREK-HRYCIUK specjalizuje się w dziejach Niemiec i Śląska, pracuje w Oddziale IPN we Wrocławiu. Autorka książek: „Rosjanie nadchodzą! Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948” (2010) oraz „Między prywatnym a publicznym. Życie codzienne we Wrocławiu w latach 1938–1944” (2019).

Kolejność według Steinmeiera

WOJCIECH PIĘCIAK

Zniszczenie Drezna było końcem drogi, która zaczęła się w 1933 r. – formułując taką interpretację, prezydent Niemiec znalazł odpowiednie słowa w tym miejscu i czasie.

BYŁA GODZINA 21.45, GDY W MINIONY czwartek we wszystkich kościołach Drezna zagrały dzwony. Jak co roku. Choć ten dzień, wilgotny i deszczowy, był szczególny: 75 lat temu, 13 lutego 1945 r., kilkaset bombowców (brytyjskich, a także, o czym mało kto wie, kilkadziesiąt polskich) zaczęło nalot na 600-tysięczne miasto. Kolejnego dnia nadleciało kilkaset maszyn amerykańskich. Zginęło 25 tys. ludzi, głównie cywilów; historyczne Drezno przestało istnieć.

Wtedy nie była to rzecz wyjątkowa. W latach 1942–45 alianci bombardowali kilkaset miast III Rzeszy. Zginęło 600 tys. ludzi, w tym kilkadziesiąt tysięcy nie-Niemców (np. robotników przymusowych; bomby nie różnicowały). Były miejsca bardziej dotknięte, jak Pforzheim o gęstej średniowiecznej zabudowie: 23 lutego 1945 r. zginął co czwarty z 80 tys. mieszkańców. Trauma *Bombenkrieg* (takim słowem-kluczem niemiecka pamięć określa to doświadczenie) była udziałem 25 mln Niemców.

Jednak po 1945 r. to Drezno stało się, za sprawą wielu czynników, symbolem *Bombenkrieg*. I poligonem, na którym

w minionych 30 latach – po tym, jak zjednoczone Niemcy musiały na nowo kształtować politykę historyczną i pamięć zbiorową – przyszło testować rytuały i interpretacje. Nie było innego wyjścia, skoro miasto stało się, co roku w lutym, celem „pielgrzymek” skrajnej prawicy pod hasłem *Bombenholocaust* (słowo oddaje intencje). Naprzeciw stawiała skrajna lewica, przekonana, że każda forma publicznej pamięci o niemieckich ofiarach to relatywizowanie niemieckich zbrodni. Starcia obu stron stały się tu rytuałem.

Mniej więcej dekadę temu drezdeńscy znaleźli – wysiłkiem lokalnych aktywistów, duchownych, władz miasta i zwykłych ludzi – rytuał alternatywny wobec obu skrajności. Odtąd każdego 13 lutego wieczorem centrum miasta oplata ludzki łańcuch, ku pamięci wszystkich ofiar wojny. W miniony czwartek w łańcuchu, utworzonym przez kilkanaście tysięcy ludzi (na zdjęciu poniżej), stanął prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier oraz goście z Anglii i Polski.

Przemawiając wcześniej, Steinmeier sformułował interpretację, którą można uznać za puentę do niemieckiej dyskusji o własnych ofiarach tamtej wojny, która od końca lat 90. nabrała w sferze publicznej ogromnej dynamiki (jej aspektem był polsko-niemiecki spór o wysiedlenia). Pierwsze zdanie mowy prezydenta brzmiało: „Kilka miesięcy temu, rankiem 1 września 2019 r., stałem na rynku pewnego małego miasta w Polsce, Wielunia”, by „upamiętnić ofiary nalotu przed 80 laty”. Nalot ten, mówił Steinmeier, był początkiem *Bombenkrieg* w Europie i zwiastunem tego, co stało się później.

Ta kolejność jest ważna. Stwarza przestrzeń do dyskusji, w której mogą padać pytania o winy nie tylko Niemców – bez obawy, że ich skutkiem będzie pisanie historii na nowo. © P



ROBERT MICHAEL / DPA / EAST NEWS

TEGO SIĘ NIE JE

Niemal wszystkie ludzkie kultury wykształciły jakieś tabu pokarmowe. Skąd one się biorą? Dlaczego z własnej woli ograniczamy swoje menu?

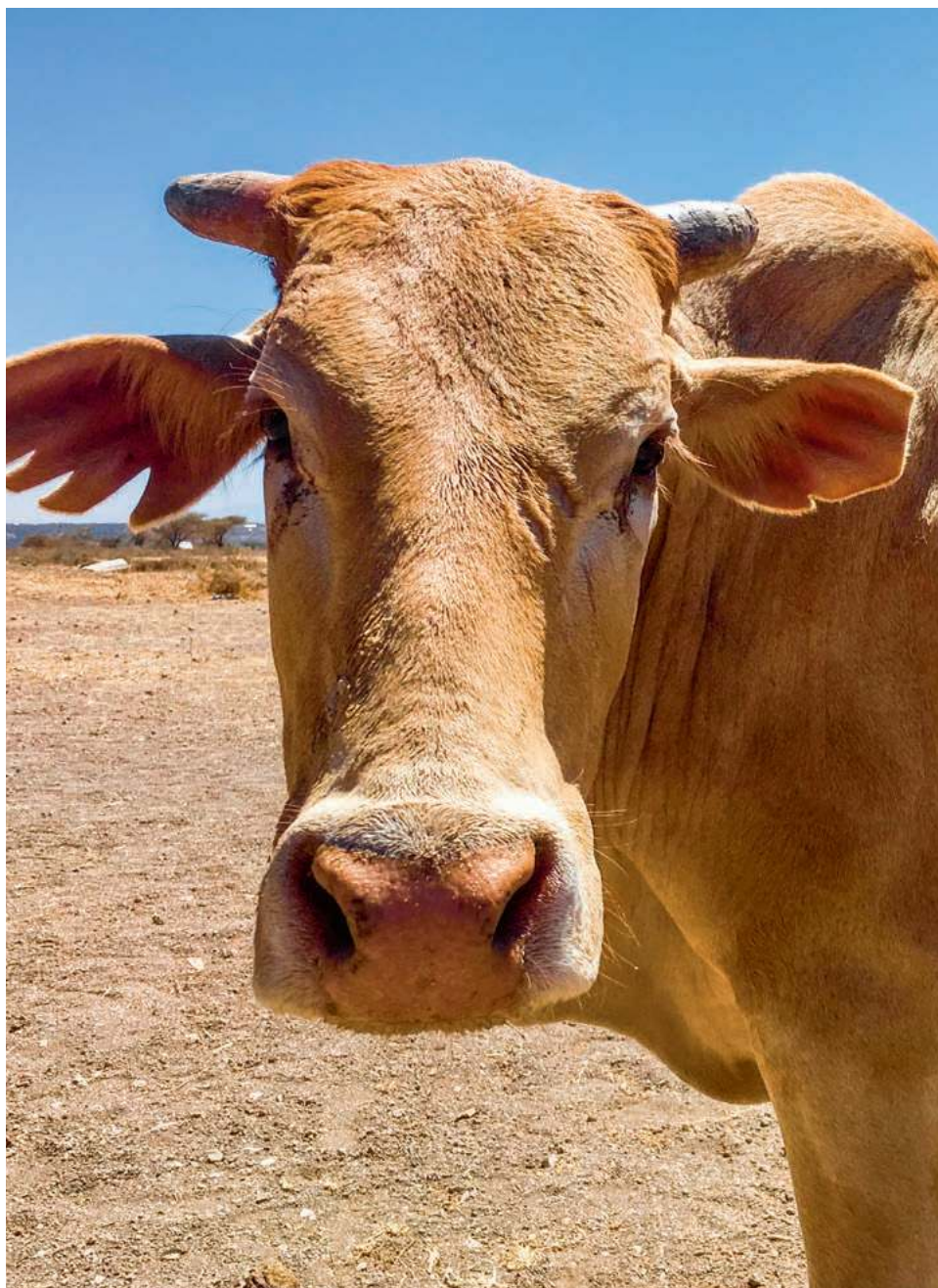
MICHAŁ MISIAK

DATOGA SĄ PASTERZAMI. SĄ ZNANI z niechęci do obcych. Specjalizują się w hodowli krów. W trakcie zaślubin pan młody obdarowuje wybrankę krowami. Panny młode są nacierane masłem z krowiego mleka. Choć krowy pełnią symboliczną rolę w kulturze Datoga, ich mięso jest ważnym elementem diety. Krowy stanowią jedno z głównych źródeł białka i tłuszczu. Datoga nie mają dużego wyboru – zamieszkują wyschnięte równiny północnej Tanzanii w okolicy słonego jeziora Eyasi; trudno jest wyhodować w takich warunkach bogate w białko rośliny.

Razem z antropologką Mariną Butovską prowadziliśmy wśród Datoga badania. Interesowała nas ich dieta. Wypytywaliśmy o potrawy, które są przez nich regularnie spożywane. Podobne wywiady prowadziliśmy wśród członków sąsiadującej populacji – Iraqw. Członkowie tego plemienia nie są pasterzami. Uprawiają ziemię i prowadzą osiadły tryb życia. Diety Datoga i Iraqw okazały się bardzo podobne. W obu populacjach je się bardzo dużo ugali, papki z mąki kukurydziej; pije się mleko i sporadycznie spożywa kozie i krowie mięso. Na talerzach Iraqw gości jednak potrawa, która wśród Datoga budzi obrzydzenie i moralne oburzenie. Wieprzowina.

Spaghetti na talerzu

Jedzenie wieprzowiny jest zakazane dla Datoga. To najsilniejsze z ich tabu pokarmowych. Iraqw nie widzą w tym nic niewłaściwego. Wiele domostw hoduje własne świnie. Dlaczego dwie sąsiadujące



populacje tak bardzo różnią się w podejściu do jedzenia wieprzowiny? Datoga nie cierpią przecież na zbiorowy strach przed nieznanym jedzeniem. Kiedy prowadziliśmy wśród nich wywiady, byliśmy zaskoczeni, że wielu z nich z chęcią spożywa gastronomiczne nowinki, takie jak mandazi, czyli rodzaj pączka sprowadzonego do Tanzanii przez Hindusów, i herbatę przywiezioną przez Brytyjczyków. Na ich talerzach można też znaleźć od czasu do czasu nawet spaghetti.

Zapytani, dlaczego nie jedzą wieprzowiny, Datoga odpowiadali stanowczo, że świnie to nieczyste zwierzęta. Podobny stosunek do wieprzowiny mają gorliwi wyznawcy judaizmu. Szacuje się, że Księga Kapłańska, w której zawarty został zakaz spożywania wieprzowiny, mo-

gła zostać napisana nawet siedem wieków przed Chrystusem. Jednak przejawów tego tabu pokarmowego można dostrzec znacznie wcześniej. Archeolodzy badający starożytne domostwa Judejczyków znajdują w nich pozostałości wielu zwierząt, ale nie świń. Sugeruje to, że już ponad 500 lat przed powstaniem Księgi Kapłańskiej ludzie zamieszkujący tereny Judei – centralnej części dzisiejszego Izraela i Palestyny, na zachód od Morza Martwego – nie spożywali wieprzowiny.

Kulturowy drogowskaz

Niemal wszystkie ludzkie populacje wykształciły w procesie ewolucji kulturowej jakieś tabu pokarmowe. Dotyczą one pożywienia, które choć jest jadalne, zostaje wykluczone z jadłospisu. Zazwyczaj zakaz obejmuje wszystkich członków danej populacji, choć często dotyczy wyłącznie konkretnych grup: np. kobiet w ciąży, dzieci czy osób posiadających wysoki status społeczny. Tabu pokarmowe może zostać zawieszone tylko w jednym przypadku: zagrożenia śmiercią głodową. W innej sytuacji osoby łamiące tabu muszą liczyć się z fizyczną karą i ostracyzmem społecznym.

Dlaczego jednak ludzkie populacje przestrzegają tabu pokarmowych? Intuicja może podpowiadać, że bywają one symbolami religijnymi, odwołują się do wielowiekowych tradycji. Zakazane jedzenie może być elementem rytuałów magicznych. Dlaczego jednak wykształciły się takie symbole religijne, tradycje, rytuały i normy? Czy były dziełem przypadku? Antropolodzy twierdzą, że olbrzymią rolę w ich powstaniu odgrywa środowisko, które zamieszkuje dana populacja. Tabu pokarmowe pełnią rolę kulturowego drogowskazu, ułatwiającego członkom danej populacji adaptację do zastanego środowiska.

Tabu związane ze spożywaniem wieprzowiny mogło mieć podobne źródła u Datoga i mieszkańców Królestwa Judei. Wspólnym mianownikiem obu tak odległych populacji jest właśnie środowisko, w którym przyszło im żyć. Wysoka temperatura, bezkresne równiny i brak

łatwego dostępu do wody pitnej były wyzwaniem zarówno dla Datoga, jak i starożytnych Judejczyków. W sąsiedztwie obu populacji rozciąga się zaś wielkie słone jezioro, które nie może nawadniać pól uprawnych.

Świnie lubią wodę. Piją jej trzy razy więcej niż zjadają pożywienia. W gorącym klimacie muszą chłodzić się w kąpielach błotnych – może stąd właśnie wzięło się przekonanie, że świnia jest zwierzęciem nieczystym. Z racji swojej fizycznej budowy świnie nie nadają się do pędzenia na długich dystansach. Przemieszczają się bardzo powoli i w porównaniu do bydła czy kóz – na bardzo krótkich dystansach. Nie dają przy tym jajek ani wełny; nie da się na nich podróżować. Chociaż, jak wszystkie ssaki, świnie produkują mleko – niezwykle trudno je wydoić.

Nasi i obcy

Dla starożytnych Judejczyków hodowla świń byłaby poważnym wyzwaniem. Wymagała dużych nakładów pracy i czasu, a przynosiła umiarkowane korzyści. Uzyskanie tej samej ilości mięsa z krów i innych przeżuwaczy było zdecydowanie łatwiejsze. Podobna sytuacja ma współcześnie miejsce w przypadku Datoga. Jednak to, że hodowanie świń może się okazać w niektórych warunkach nieekonomiczne, nie znaczy, że powinno się go zakazywać.

Tabu pokarmowe pełnią jeszcze jedną, bardzo ważną funkcję – pomagają odróżnić swoich od obcych.

Sformalizowanie tabu pokarmowego w Księdze Kapłańskiej pojawiło się niedługo po okresie intensywnej migracji Filistynów na tereny zamieszkiwane przez Judejczyków. Filistyni to starożytna populacja, która znana jest z biblijnych opisów starć z Izraelitami (najsłynniejszym wojownikiem najeźdźców był Goliat). Badania DNA kości świń, które zachowały się w starożytnych domostwach Filistynów, sugerują, że przywieźli oni własne świnie. Konsumowanie ich było prawdopodobnie istotnym elementem ich kultury. Była to oczywista różnica między nimi a Judejczykami, pasterzami. Wielu antropologów sugeruje, że umocnienie zakazu spożywania wieprzowiny wśród Judejczyków było reakcją mającą na celu umocnienie wspólnej identyfikacji. Filistyni – nasi wrogowie – jedzą wieprzowinę. My nie. Nie możesz być Judejczykiem, jeśli zjadasz mięso świń.

→



MICHAŁ MISTIAK

Hodowla krów w okolicach słonego jeziora Eyasi jest łatwiejsza i bardziej opłacalna niż hodowla świń. Czy to dlatego Datoga wykształcili tabu, zakazujące im jedzenia wieprzowiny? Tanzania, 2018 r.

⇒ Również Datoga mogli mieć swoich „Filistynów”. Świnie pojawiły się na terenie dzisiejszej Tanzanii w XIX w. za sprawą niemieckich kolonizatorów. Marina Butovskaya opowiadała mi o zbrojnych starciach z Niemcami, które zachowały się w pamięci Datoga. Zostali zapamiętani jako okrutni najeźdźcy. Najeźdźcy hodujący i jeżdżący świnie.

Najsilniejszy zakaz

Datoga i Iraqw różnią się preferencjami dietetycznymi i kulturowymi obostrzeniami regulującymi spożywanie przeróżnych potraw. W obu populacjach występuje jednak tabu, które jest ograniczone tak silnymi kulturowymi zakazami, że samo wspomnienie o nim budzi odrazę. Nie tylko wśród Datoga i Iraqw. Wśród ludzi wszystkich kultur świata. Mowa, rzecz jasna, o spożywaniu człowieka.

Kanibalizm, zwany naukowo antropofagią, bywał praktykowany przez człowieka w trakcie jego długiej ewolucyjnej historii. Prawdopodobnie pojawiał się w okresach ekstremalnego głodu. Archeolodzy odnajdują ludzkie kości liczące dziesiątki tysięcy lat, z widocznymi śladami po odcinaniu od nich mięśni. Takie same ślady są znajdowane na kościach jeleni, koziorożców i dzików. Współczesne badania genetyczne sugerują, że posiadamy adaptacje pozwalające uniknąć zapadania na choroby wywołane przez kanibalizm. Nie pojawiłyby się, gdyby te choroby nie stanowiły presji selekcyjnej. Jedną z takich chorób, która niegdyś pustoszyła populację Fore z Nowej Gwinei, jest kuru – śmiejąca się śmierć.

Rytuał, w którym brali udział Fore, jest daleki od potocznych wyobrażeń o kanibalizmie. Praktykowali endokanibalizm – zjadali członków własnej wspólnoty. Po śmierci ważnych i kochanych członków społeczności organizowano dla nich rytuał pogrzebowy. Kobiety zajmowały się przygotowaniem zwłok do konsumpcji, a potem wraz z dziećmi spożywały mózg zmarłej osoby. Mężczyźni sporadycznie dołączali do ceremonii i zjadali jedynie mięśnie. Choć sam opis tych praktyk może wzbudzać odrazę, dla Fore ta ceremonia była wyrazem największego szacunku wobec zmarłej osoby.

Kiedy Fore nawiązali kontakt z europejskimi kolonizatorami, szybko stali się obiektem badań. Zauważono, że występuje u nich nietypowa choroba neurodegeneracyjna, która dotyka głównie ko-

ŁUD ASMAT,
zamieszkujący
południowo-zachodnie
regiony Nowej Gwinei,
cieszy się złą sławą:
łowców głów i kanibali.
Według relacji misjonarza
Gerarda Zegwaarda, który
żył wśród tego plemienia
po drugiej wojnie
światowej, zjawiska te
były istotnym elementem
rytuałów inicjacyjnych.



GIANLUCA CHIODINI / EAST NEWS

biety i dzieci. Kuru pojawiało się u osób, które brały udział w rytualnych ceremoniach. Naukowcy wysnuli hipotezę, że źródłem tej choroby musi być konsumpcja ludzkiego ciała; w 1976 r. Daniel Gajdusek i Baruch Blumberg dostali Nagrodę Nobla za odkrycie nowego mechanizmu rozprzestrzeniania się chorób infekcyjnych. Późniejsze badania udowodniły, że w mechanizmie tym uczestniczą priony – zakaźne cząsteczki białkowe.

Ryzykowna uczta

Dziś nie da się wskazać kultury, która nadal praktykuje kanibalizm. Nawet wśród Fore rytuał ten narodził się w czasie, kiedy dotknęła ich druzgocąca klęska głodowa, tuż przed przybyciem Europejczyków. Od czasu do czasu zdarzają się incydenty kanibalistyczne, takie jak ten w Andach w 1972 r. po katastrofie lotniczej, lub jak te na terenach radzieckich w latach 20. i 30. XX w. Dochodziło do nich jednak w sytuacji skrajnego głodu.

Historyczne kulturowe praktyki kanibalistyczne są niezwykle rzadkie. Wiele populacji zostało zaś niesłusznie oskarżonych o kanibalizm. Kiedy Krzysztof Kolumb dopłynął do Nowego Świata, natrafił na populację Karaibów, która stawiała opór przybyszom. Kolumb pisał do hispańskiej królowej, że spotkał się z krwiożerczymi ludojadami, których nazywał *Canibales*. W odpowiedzi na te listy królowa chętniej wysyłała hispańskich żołnierzy do Nowego Świata, aby walczyli z ludojadami. Była też skłonna przyjmować pełne statki karaibskich niewolników, aby ich „ucywiliżować”.

Dlaczego tabu spożywania ludzkiego mięsa jest tak powszechne i budzi tak silne emocje? Niektórzy argumentują, że kanibalizm jest tabu, ponieważ naraża ludzi na kontakt z prionami. Nie jest to jednak do końca satysfakcjonujące wyjaśnienie. Priony są przenoszone przez kon-

sumpcję mózgu – dlatego więc tabu nie dotyczy wyłącznie tej części organizmu? Poza tym okres inkubacji choroby prionowej to nawet 50 lat. Niezwykle trudno byłoby po takim czasie połączyć objawy z przyczyną. Są lepsze sposoby wyjaśnienia powszechności tego tabu: pasożyty.

Pasożyty zmieniają swoich żywicieli. Nie jest to takie proste, kiedy żywicieli należą do różnych gatunków. Różnica w środowisku, jakim dla pasożyta jest nowy organizm, sprawia, że adaptacja ta nie zawsze kończy się sukcesem. Najlepsza sytuacja to taka, kiedy nowy żywiciel należy do tego samego gatunku co obecny. Kanibalizm maksymalnie ułatwia więc pasożytom rozprzestrzenianie się. Modele matematyczne sugerują jednak, że kanibalizm nie jest zagrożeniem dla populacji organizmów, o ile dopuszcza się go pojedynczy osobnik. Problem w tym, że ludzie nie spożywają swoich posiłków samotnie.

Odżywiamy się społecznie i jest to cecha wszystkich ludzkich populacji. Organizujemy rodzinne obiady, wyjścia na pizzę z przyjaciółmi czy urządzamy wspólne gotowanie ugali nad ogniskiem. Jeżeli konsumowana przez nas potrawa jest nieświeża, rozchorować mogą się wszyscy uczestnicy uczty. Społeczne odżywianie się dotyczy również kanibalizmu. Choroby wywołane przez pasożyty, które korzystały na społecznym odżywianiu się ludzi, mogły zakończyć istnienie niejednej populacji, która uznała, że kanibalizm to dobry pomysł.

Tabu na nasze czasy

Tabu pokarmowe mogą być efektem bardzo długiego procesu ewolucji kulturowej. Przykład Fore pokazuje, że mogą też zniknąć i pojawiać się stosunkowo szybko. Zasady, na których się rodzą i umierają, nie zmieniają się jednak i we wszystkich kulturach – w tym naszej – są identyczne.

Kiedy na wykładach dotyczących psychologii kulturowej omawiam uwarunkowania tabu pokarmowych, pytam, czy możliwe jest wykształcenie się tabu pokarmowego we współczesnym świecie. Spotykam się z jedną odpowiedzią, która często wywołuje wśród studentów i studentek nerwowy chichot: nowym tabu może stać się mięso.

Choć przemysł spożywczy umożliwił ludziom pokonanie ograniczeń środowiskowych związanych z pozyskiwaniem jedzenia, przyczynił się również do zmian tego środowiska. Karczowanie lasów pod pola uprawne, by wyżywić zwierzęta hodowlane, jest przyczyną deforestacji, erozji gleby i utraty bioróżnorodności. Raport IPCC, ciała doradczego ONZ, postuluje, że globalne ograniczenie jedzenia mięsa jest niezbędne dla zmniejszenia negatywnych skutków zmian klimatycznych. Obserwujemy je już teraz. Tej zimy prawie nie padał śnieg. Rolnicy tracą plony przez coraz radsze opady. Dla Datoga zmiany klimatyczne wiążą się z suszami, upałami i nieprzewidywalnymi deszczami. To dziesiątkuje stada krów.

Te, które żyją, muszą być pędzone na obce tereny zamieszkałe przez inne populacje. Prowadzi to do konfliktów o tereny, na których trawa jeszcze nie obumarła.

Zmiany środowiska mogą wymusić na nas zmianę kulturową. Tak jak w przypadku Datoga i Judejczyków, tabu pokarmowe mogą ułatwić nam adaptację do nowych warunków klimatycznych. Czy ewolucja kulturowa sprawi, że jedzenie mięsa stanie się tabu? Nie da się tego wykluczyć. Do świadomości publicznej coraz częściej przebija się informacja, że przemysłowa hodowla zwierząt jest jedną z głównych przyczyn degradacji środowiska. Rośnie też liczba osób deklarujących, że ograniczają jedzenie mięsa. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy świadkami zmiany kulturowej w obrębie tego, jak patrzymy na jedzenie mięsa.

Analizy zróżnicowania tabu pokarmowych pokazują jednoznacznie, że niezależnie od kultury różne rodzaje mięsa są przedmiotem kulturowych regulacji znacznie częściej niż pokarmy roślinne. Badania psychologiczne dowodzą, że mamy predyspozycję do nakładania tabu

na mięso. Możliwe, że chodzi o naszą niechęć do pokarmów, które mogą zawierać niebezpieczne patogeny. Tych jest znacznie więcej w mięsie niż w produktach roślinnych. Możliwe, że chodzi o naszą umiejętność empatyzowania ze zwierzętami. Prawdopodobnie oba te czynniki odgrywają ważną rolę.

Nie mamy swojego odpowiednika Filistynów – wrogiej populacji, która grozi naszej egzystencji. Ale możemy być Filistynami sami dla siebie. O ile Datoga, starożytni Judejczycy i inne populacje wykształcały swoje tabu w odpowiedzi na wyzwania środowiskowe, w których przyszło im żyć, o tyle zmiany klimatyczne niosą zagrożenie dla większości ludzkich populacji i mogą one skorzystać na wprowadzeniu nowego pokarmowego tabu. Przerażające jest to, że jeśli nie poradzimy sobie z tymi zmianami, załamać się może gospodarka żywnościowa i czekają nas klęski głodu. Miejmy nadzieję, że nie nadejdzie już nigdy klęska, która zmusi nas do naruszenia największego z naszych tabu.

© MICHAŁ MISIAK

REKLAMA



WOLNOŚĆ SIĘ LICZY

Fundacja Panoptikon
broni wolności
i prywatności
w cyfrowym świecie

DOŁÓŻ SWÓJ 1%
KRS: 0000327613

panoptikon.org/wspieram



FUNDACJA
PANOPTYKON

POTĘGA NIUANSÓW

Dla Margaret Atwood literatura jest miejscem pogłębionej analizy, a nie fabryką prostych, czarno-białych wizji świata. Powinni o tym pamiętać ci, którzy zaprzęgają jej pisarstwo do bieżących sporów politycznych.

MICHAŁ SOWIŃSKI

JEJ OJCIEC BYŁ ZAWZIĘTYM ENTOMOLOGEM, więc dzieciństwo spędziła w lasach północnego Quebecu. Żeby zabić nudę, pochłaniała setki książek – jej ulubioną były baśnie braci Grimm. Dopiero w wieku dwunastu lat zaczęła chodzić do normalnej szkoły. Być może dlatego, mimo że dwukrotnie została laureatką Nagrody Bookera (była również siedmiokrotnie nominowana, co czyni ją rekordzistką), dalej podczas pisania robi wiele błędów. Coś z tej pierwotnej dzikości w niej zostało i to nie tylko w nonszalanckim stosunku do ortografii.

Zdalne autografy

Ogrom dorobku – nie tylko pisarskiego – Margaret Atwood może przytłaczać. Od czasu debiutu w 1969 r. wydała ponad 50 książek. Chętnie angażuje się politycznie, choć nigdy nie poparła żadnej konkretnej partii. Jej celem jest raczej walka ze wszelkimi przejawami obskurantstwa zagrażającego wolności i równości obywateli, szczególnie kobiet. Od czasów publikacji postapokaliptycznej trylogii „Madd-Addam” (2003-13) – przejmującego portretu cywilizacji przygniecionej katastrofą klimatyczną – stała się twarzą ruchów ekologicznych na całym świecie.

Przez wielu uważana jest też za jedną z architektów nowoczesnej tożsamości kanadyjskiej. W opublikowanej w 1972 r. książce „Survival: A Thematic Guide to Canadian Literature” stawia tezę (coraz częściej krytykowaną), że kanadyjskość polega właśnie na zdolności do przetrwania nawet w skrajnie niesprzyjają-

czych okolicznościach. Jak argumentuje Atwood, w XVIII i XIX wieku kanadyjską kulturę kształtowały opowieści tych, którym udało się przeżyć i powrócić z niebezpiecznej dzicy.

Wraz z rosnącą popularnością (Booker w 2000 r. za powieść „Ślepy zabójca” oraz świetnie przyjęty „Oryks i Derkacz” z 2003 r.) Atwood poczuła się znużona ciągłymi podróżami po świecie – postanowiła więc spotykać się z czytelnikami poprzez videokonferencje (internet był wówczas w początkowej fazie rozwoju). Pomysł miał jedną wadę – uniemożliwiał podpisywanie książek. Aby nie rozczarować fanów, Atwood wymyśliła maszynę LongPen, służącą do zdalnego pisania. Mechaniczne ramię zakończone długopisem sterowane jest przy pomocy urządzenia przypominającego tablet – w czasie rzeczywistym powtarza ruchy wykonywane specjalnym rysikiem. Maszyna zadebiutowała w 2006 r. i choć nie przyjęła się w świecie literackim, okazała się bardzo przydatna do podpisywania umów biznesowych (Atwood zarobiła na tym patencie sporo pieniędzy).

Atwood to bez wątpienia postać barwna i nieco ekscentryczna. Bezkompromisowa w poglądach, daleka jednak od ideologicznego zacietrzewienia, charakterystycznego dla dzisiejszych czasów. Gdy w 2010 r. miała odebrać nagrodę Dan David na uniwersytecie w Tel Awiwie, Palestyńczycy namawiali kanadyjską autorkę do nieprzyjęcia wyróżnienia w ramach protestu przeciwko zastraszającej się polityce wewnętrznej Izraela. Atwood

powiedziała wtedy, że nie będzie nigdy bojkotować kultury. „Artyści pracują w przestrzeni niuansów, bo opowiadają o ludziach, a nie o propagandzie” – mówiła. W tym zdaniu właściwie streszcza się literackie *credo* Atwood – pisarki, dla której literatura jest przede wszystkim miejscem zniuansowanej, pogłębionej analizy, a nie fabryką czarno-białych wizji świata. Powinni o tym pamiętać szczególnie ci, którzy chętnie zaprzęgają jej pisarstwo do bieżących sporów politycznych.

Narodziny Gileadu

Gdy ukazała się debiutancka powieść Atwood „Kobieta do zjedzenia”, krytyka ogłosiła ją książką feministyczną. Niektórzy co prawda zastrzegali, że to feminizm burżuazyjny – pojawiła się nawet metafora „koktajlu Mołotowa”, w którym zamiast benzyny do butelki wiano perfumy. Niewątpliwie ta historia kobiety z klasy średniej, która wraz ze zbliżaniem się daty ślubu coraz bardziej traci apetyt, by ostatecznie w ogóle przestać jeść, jest ideologicznie bardzo plastyczna.

Sama autorka początkowo dystansowała się od określenia „feministka”, twierdząc, że jej debiut jest przede wszystkim paszkwilem na konsumpcyjny styl życia. Później wielokrotnie prostowała tę wypowiedź, zaznaczając jednocześnie, że tak ogólne terminy jak „feminizm” wymagają dookreślenia. W innym przypadku pozostaje nam okładanie się po głowach dużymi kwantifikatorami. „Nie z każdym nurtem feminizmu utożsamiam się w pełni. Nie zgadzam się na



→ przykład na kategorię mówienie kobietom, jak mają żyć” – mówiła w jednym z wywiadów. Wątki polityczne i społeczne, które pojawiają się w literackim uniwersum Atwood, zawsze mają drugie dno (a bywa, że także trzecie i czwarte).

Niemniej kolejne powieści wydawane w latach 70. umacniały jej pozycję jako pisarki feministycznej, skupionej na oryginalnym i pełnym subtelności opisie świata widzianego z perspektywy kobiecego doświadczenia. Kulminacja nastąpiła w 1985 r., gdy opublikowała „Opowieść podręcznej”, książkę ikonę dla ruchów feministycznych na całym świecie.

Miała to być przede wszystkim opowieść o totalitaryzmie – o tym, jak łatwo wykuwany przez dekady porządek liberalno-demokratyczny może zostać zastąpiony przez permanentny stan wyjątkowy. Atwood w 1984 r. (tropy orwellowskie uzasadnione) na czas pisania książki przeprowadziła się do Berlina Zachodniego. Stamtąd na krótko udała się do Polski, gdzie właśnie zniesiono stan wojenny. Jak wspominała, ta podróż mocno wpłynęła na opis życia codziennego w Gileadzie – uderzające dla autorki okazały się nie tyle panujące w naszym kraju polityczne represje, co poczucie bezsilności wobec autorytarnej władzy, która z łatwością potrafi przetrącić kręgosłup nadziei.

Książka po ponad 30 latach od premiery zyskała drugie życie. Bez wątpienia przyczynił się do tego wybór Trumpa na prezydenta (w Marszu Kobiet na Waszyngton w styczniu 2017 r. jedna z uczestniczek niosła transparent z hasłem „*Make Atwood Fiction Again*”, a jej zdjęcie obiegło świat) oraz serial stworzony przez Bruce’a Millera, w którym świat Gileadu stał się upiornie namacalny, a historia podręcznej Offred jeszcze zyskała na dramaturgii.

Spekulacja, nie fantazje

„Opowieść podręcznej” dzieje się w nieodległej przyszłości (z dzisiejszej perspektywy to już nieodległa przeszłość). Z powodów bliżej nieokreślonych – być może winne jest postępujące skażenie środowiska – kobiety masowo stają się bezpłodne. Katastrofę demograficzną wykorzystują różnej maści ekstremiści i terroryści, doprowadzając do upadku dotychczasowego porządku politycznego.

Na gruzach Stanów Zjednoczonych formują się nowe byty, w północno-wschodniej części powstaje Gilead, teo-



DAVID COOPER / GETTY IMAGES

Margaret Atwood ze swoim wynalazkiem – LongPen służący do zdalnego składania podpisu, Toronto, 2008 r.

kratyczne państwo totalitarne, którego system społeczny zbudowany jest na skrajnie patriarchalnym systemie wartości, oblepionym fanatyczno-purytańską retoryką o chrześcijańskiej proveniencji. Najcenniejszą wartością staje się właśnie płodność – kobiety zdolne jeszcze do rodzenia zredukowane zostają do roli inkubatorów dla wywodzących się z elity bezdzietnych małżeństw. Pozostałym przypadają role żon, służących lub ciotek – surowych nauczycielek i strażniczek nowego porządku. Wszelkie odstępstwa od norm (zdrady, homoseksualizm, antykoncepcja) są bezlitośnie karane.

Atwood wielokrotnie protestowała przeciwko nazywaniu jej pisarką fantastyczną. Podkreśla, że wszystkie jej powieści, które nie odwzorowują wiernie zastanej rzeczywistości, wciąż są formą realizmu, tyle że spekulatywnego, w którym kluczowe elementy mają swoje odpowiedniki w świecie, poddane zostają jedynie rekonfiguracji. Być może tu należy upatrywać przyczyny międzynarodowego sukcesu tej historii. Atwood nie ucieka się bowiem do wyrafinowanego światotwórstwa. „Opowieść...” z brutalną szczerością pokazuje, że od upadku w nowe formy barbarzyństwa dzieli nas mniej, niż wolelibyśmy myśleć.

Pracując nad książką pisarka zebrała pokaźny zbiór wycinków prasowych z całego świata, opisujących przykłady skrajnego mizoginizmu i odzierania kobiet z ich podstawowych praw. Część z nich dotyczyła krajów tzw. odległych kulturowo (choć w epoce globalizacji ten frazes traci resztki swojego znaczenia), jednak podstawowym budulcem Gileadu był ro-

dzimy, amerykańsko-kanadyjski konserwatyzm. Dlatego też zagłębiając się w tę mroczną dystopię z niepokojem dostrzegamy wiele rozpoznawalnych, dobrze znanych z naszej codzienności elementów, które pozbawione niewinnego kontekstu ujawniają swoją mroczną naturę.

Atwood pokazuje, że wszystkie fantazje o sielskim życiu, gdzie poranki upływają na zagniataniu ciasta na chleb i leniwym myciu samochodów na przydomowym podjeździe, kryją mroczne fantazje o hierarchii płci, opartej na wyzysku i przemocy. Z kolei mistyczny język obliczony na uwznioślenie okresu ciąży i macierzyństwa w kilku ruchach daje się przekształcić w dyskurs, w którym kobieta odarta zostaje z wszelkiej podmiotowości i praw (dziś wystarczy jedna wizyta na oddziale porodowym, żeby zebrać aż nadto przykładów).

Serialowe uniwersum zaczęło żyć własnym życiem – charakterystyczny czerwony strój podręcznych (zainspirowany etykietką środka do czyszczenia Old Dutch Cleanser, której pisarka bała się w dzieciństwie) wszedł na stałe jako rekwizyt protestów na całym świecie, a fraza „*Nolite te bastardes carborundorum*”, którą Offred znajduje wydrapaną w szafie swojego pokoju/celi, nie schodzi z transparentów. Pojawiły się nawet celebryckie imprezy halloweenowe, gdzie obowiązują stroje z Gileadu – nieco upiorny efekt uboczny tego fenomenu.

Nic dziwnego więc, że pisarka zdecydowała się napisać kontynuację powieści (która jednak nie ma wiele wspólnego z kolejnymi sezonami serialu). Wydane właśnie u nas „Testamenty” powstały,

jak twierdzi Atwood, w odpowiedzi na liczne pytania czytelników, dociekających szczegółów codziennego życia w Gileadzie. Fabuła nagrodzonej Bookerem książki dzieje się 15 lat po zakończeniu poprzedniej części. Tym razem nie rozgrywa się wśród podręcznych, lecz opowiada o życiu nastoletnich dziewczyn, całkowicie już uformowanych przez nowy reżim. Atwood szczegółowo analizuje od strony psychologicznej i socjologicznej mechanizmy kształtowania się systemu, w którym chwiejny porządek oparty jest na strachu i wzajemnym szantażu, a także brutalnym łamaniu ludzkiej psychiki (współtwórczyniami państwa represji były świetnie wykształcone i dobrane sytuowane kobiety, współpracujące z nowym rządem).

Wraz z rozwojem prowadzonej z wielu perspektyw fabuły obserwujemy także początek końca brutalnego reżimu. To niestety najsłabszy element powieści, obciążony grzechem naiwności – w 2019 r. trudno uwierzyć, że do obalenia władzy wystarczy upublicznić dowody jej niegodziwości. Polityka amerykańska (i nie tylko) ostatnich lat dostarcza na to aż nadto dowodów.

Sztuka skomplikowanej opowieści

Sukces opowieści z Gileadu ze względu na jej polityczną aktualność przyćmiewa inne, literacko daleko lepsze książki Atwood. Geniusz kanadyjskiej pisarki polega bowiem na nieustannym komplikowaniu i spiętrzaniu form, w których serwowane są nam pojedyncze opowieści. Same w sobie bywają one jakościowo różne – co przy tak rozległej produkcji literackiej jest więcej niż zrozumiałe.

Atwood, szczególnie we wczesnym okresie, lubuje się w długich, pełnych szczegółów powieściach, przytłaczających pieczołowitością opisów i detali – choćby w „Kocim oku” (1988), częściowo autobiograficznej powieści o dzieciństwie i dojrzewaniu kanadyjskiej artystki, walczącej o swoje miejsce w zdradzieckim świecie sztuki.

Przełomowe pod tym względem okazały się powieści „Grace i Grace” (1996) oraz „Ślepy zabójca” (2000), który przyniósł jej pierwszego Bookera. Pierwsza rozgrywa się w połowie XIX wieku i jest historią służącej skazanej na dożywotnie więzienie za zamordowanie pracodawcy. Problem polega na tym, że kobieta nie

U Atwood marzenia
o sielskim życiu,
gdzie poranki upływają
na zagniataniu ciasta
na chleb i leniwym
myciu samochodów na
przydomowym podjeździe,
**kryją mroczne fantazje
o hierarchii płci, opartej
na wyzysku i przemocy.**

pamięta chwili domniemanej zbrodni. A może kłamie, żeby uniknąć kary? Wątpliwości pragnie rozwiązać młody adept rodzącej się właśnie psychologii, który przez długie dni wsłuchuje się w opowieść Grace. Irlandzka służąca okazuje się jednak przebiegłą Szeherazadą, wciągając lekarza w skomplikowaną sieć opowieści, w której do głosu dochodzą także inne kobiety.

Na pierwszy rzut oka mamy tu do czynienia z wartką powieścią przygodową ubraną w kostium historyczny. Jednak gdy przyjrzymy się bliżej, dostrzeżemy skomplikowaną grę narracyjną. W tych spiętrzaniach, zerwaniach i nieścisłościach, pomyślonych tropach i ślepych zaułkach, a przede wszystkim w ciągłym oddalaniem pytania o prawdę Atwood mistrzowsko odtwarza wielowiekową strukturę patriarchalnego społeczeństwa, w którym dla pozbawionych głosu kobiet była to jedyna możliwa forma ekspresji.

Dla wielu Atwood to przede wszystkim autorka obdarzona nietuzinkową wyobraźnią postapokaliptyczną, zdolna produkować kolejne wizje oddające nasze lęki cywilizacyjne. W trylogii „MaddAddam” – na którą składają się „Oryks i Derkacz” (2003), „Rok potopu” (2009) oraz „MaddAddam” (2013) – opowiada historię z nieodległej przyszłości, kiedy świat pogrążony w kryzysie klimatycznym i politycznym stopniowo osuwa się w chaos, aby ostatecznie wymrzeć z powodu tajemniczej zarazy. Zanim jednak do tego dojdzie, następują ostre podziały – technokratyczne enklawy żyją w luksusie, produkując coraz bardziej absurdalne wynalazki, a mieszkańcy „plebopolii” rządzonych przez lokalne gangi

próbują przetrwać w skażonym, zalewanym przez oceany świecie. Pierwsza część jest rewelacyjna, potem fabuła niebezpiecznie osuwa się w stronę fanowskiej fikcji, jednak poszczególne wątki (choćby hipisowsko-ekologiczna sekta Bożych Ogrodników) i ogólna atmosfera wyprzedzają o ponad dekadę opowieści z gatunku czarnych futurologii.

Pisarka rozpisana

Literatura jest dla Atwood przestrzenią nieskończonych możliwości – żongluje gatunkami i konwencjami, jednocześnie zręcznie rozgrywając swoją pozycję pisarską. Wydany ostatnio po polsku świetny tom opowiadań „Kamienne posłanie” otwierają trzy historie o pisarzach. Bohaterką pierwszego jest ekscentryczna autorka niezwykle popularnej serii powieści o fantastycznej krainie, Alphinlandii. Ta groteskowa, kiczowata literatura gatunkowa przynosi jej twórczyni ogromne dochody, a także, nieoczekiwanie dla niej samej, sporo satysfakcji. Bohater drugiego opowiadania to dawny kochanek pisarki, który po latach został uznany za klasyka awangardowej poezji. Wciąż szanowany, ale już raczej jako zakurzony eksponat w muzeum literatury, zmagają się z wypaleniem i depresją. Te biografie łączy trzecia postać – Jorrie, która znajdowała się w ich orbicie w heroicznych czasach bohemy, ale szybko i bez żalu porzuciła pisanie na rzecz pracy w reklamie.

Z właściwym sobie dystansem, swadą i poczuciem humoru Atwood rozpisuje tu swoją publiczną personę na trzy niedające się uzgodnić fikcyjne biografie. Wielu bowiem wciąż widzi w niej dziwaczną autorkę gatunkową, inni starają się (nie zawsze świadomie) spetryfikować ją przy pomocy etykietek typu „wybitna pisarka” czy „wieszczka”. Czasem próbuje się też umieszczać ją na sztafardach politycznych batalii. W każdej z tych ról Atwood odnajduje się świetnie, w żadnej jednak nie chce zostać zamknięta. To oznaczałoby koniec swobodnego snucia własnej opowieści – bez wątpienia najwyższej wartości w jej uniwersum.

© P MICHAŁ SOWIŃSKI

Margaret Atwood **KAMIENNE POSŁANIE**,
przeł. Paweł Lipszyc, Wielka Literatura 2019
Margaret Atwood **TESTAMENTY**,
przeł. Paweł Lipszyc, Wielka Literatura 2020



Abu Omar, 70-letni mieszkaniec syryjskiego Aleppo, słucha nagrań na gramofonie w swoim zniszczonym podczas walk domu, 2017 r.

Świat na ulicy

WOLFGANG BAUER, REPORTER:

To, co się dzieje na Bliskim Wschodzie, bezpośrednio przekłada się na sytuację w naszych krajach. Nie ma już podziału na politykę zagraniczną i wewnętrzną. Jest tylko polityka wewnętrzna.

PAWEŁ PIENIAŻEK: Choć liczba konfliktów na świecie spada, podobnie jak liczba ich ofiar, Pan w swoim najnowszym zbiorze reportaży „Nocą drony są szczególnie głośne” pisze: „Opowieść o wojnach jest dzisiaj szczególnie ważna”.

WOLFGANG BAUER: Obserwuję przeciwną tendencję na Bliskim Wschodzie i Afryce. Dla ich mieszkańców globalne statystyki nie są żadnym pocieszeniem. W Azji rosną napięcia, których wciąż nie można mierzyć liczbą ofiar. Oczywiście czasy II wojny światowej czy wojny 30-letniej w XVII w., gdy zginęła jakaś jedna trzecia populacji Europy Środkowej, były znacznie gorsze. Kryzysów nie mierzy się liczbami, ale ich potencjałem.

To znaczy?

Jest wiele krajów, które nazywam państwami zombie. Zostały stworzone przez dawne potęgi kolonialne, jak Imperium Brytyjskie czy Francję, czasem też przez Niemcy. Umieszczono w tych państwach ludzi, którzy nie tylko nie ufali sobie od pokoleń, ale i dawnych arcywrogów. Na początku XX w. świat spodziewał się, że takie sztuczne państwa będą funkcjonować i zamieszkujące je narody poczują się polityczną wspólnotą. Ale taki model może zadziałać tylko w dyktaturach rządzonych żelazną pięścią, gdy nie ma technologii, a populacją można łatwo manipulować.

Teraz ten model się wyczerpuje?

Te państwa się rozpadają, bo ludzie rozumieją, że nie ma jednej słusznej idei, którą wcześniej odgórnie narzucali

rządy, tylko jest ich wiele. Niektóre bywają dezorientujące, dziwne czy niebezpieczne. Trzeba coś z nich wybrać dla siebie. Im bardziej zamordystyczna dyktatura i brutalniej tłumiony opór społeczeństwa, tym bardziej krwawa okazuje się wojna domowa. Stąd mam poczucie, że jesteśmy dopiero u początku rozwoju wydarzeń w krajach takich jak Afganistan, Irak, Syria, Libia czy na Sahelu. Te kraje nie działają, bo obywatele nie mają wspólnej tożsamości. Spaja je jedynie centralna władza, która próbuje zmusić te wszystkie narody, by żyły razem.

Teksty zebrane w książce – pisze Pan – „opowiadają o miejscach, w których nasz świat się rozpada albo już się rozpadł. Próbuja oświetlić pęknięcia, jak szczeliny w skale, zbadać ich głębokość i rozgałęzienia. Te pęknięcia to miejsca przewrotów i zmian, tam się zaczyna, tam rozpryskuje się to, co za chwilę obejmie także Europę i Amerykę”. Co nas obejmie?

W latach 2011-12, gdy relacjonowałem początki syryjskiej wojny domowej, moi czytelnicy pytali: co do cholery mamy wspólnego z Syrią? Byli zdezorientowani i twierdzili, że to nie ich sprawa. W końcu mamy swoje własne problemy: deficyt przedszkoli, kryzys ubezpieczenia zdro-

wotnego, bezrobocie. Dlaczego więc mieliby przejmować się jakimś konfliktem daleko od nas i ludźmi, których nie tylko nie znamy, ale nawet nie potrafimy wymówić ich imion?

Jednak już latem 2015 roku wszyscy zrozumieli, jak bardzo jest to nasza sprawa. Wówczas wielu uchodźców dotarło do Europy Środkowej właśnie z Syrii. Samoloty, samochody, autobusy i internet uczyniły planetę nie tyle mniejszą, co łatwiejszą do pokonywania. Państwa są znacznie bliżej siebie, niż były jeszcze 30 lat temu, gdy loty były bardzo drogie, a internet jeszcze mało znany. Dlatego piszę, że to, co zaczęło się w Afganistanie czy Syrii, niedługo będzie miało wpływ na Europę i Amerykę Północną.

Przypomnę: jednym z powodów zwycięstwa Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich był strach przed uchodźcami. Brexit też częściowo był skutkiem wojny domowej w Syrii. Polska również jest dobrym przykładem, prawda? W Niemczech pojawiła się choćby Alternatywa dla Niemiec.

To, co się dzieje na Bliskim Wschodzie, bezpośrednio przekłada się na sytuację w naszych krajach. Nie ma już podziału na politykę zagraniczną i wewnętrzną. Jest tylko polityka wewnętrzna.

Twierdzi Pan, że tracimy wrażliwość, czego między innymi owocem są wspomniane właśnie ruchy populistyczne. Pisanie artykułów może ją przywrócić?

To wszystko, co mogę zrobić jako reporter. Tyle mogę zrobić, by przyszłość była lepsza. Jest mnóstwo przykładów w historii pokazujących, że im lepiej ludzie rozumieją siebie nawzajem, tym mniej jest napięć, a politycy są bardziej rozsądni. W innym przypadku rośnie niebezpieczeństwo, że pojawiają się przemoc, rasizm i nieracjonalne decyzje.

Myślę, że to nasz, dziennikarzy pracujących za granicą, ważny obowiązek, by być na miejscu blisko ludzi, o których piszemy. To znaczy opisywać ich jako sąsiadów, którzy mieszkają w domu obok w Polsce czy Niemczech, a nie jako egzotycznych gości z dziwnymi pomysłami na życie.

Oczywiście nie zastąpimy osobistego spotkania, ale poprzez moje reportaże staram się być tłumaczem kultur, szczególnie w przypadku świata muzułmańskiego.

Nawet jeśli twierdzi Pan, że brakuje mu słów, by pojąć i uczynić zrozumiałym okrucieństwo i strach?

Reportaż jako gatunek pozwala walczyć o własne słowa, które opiszą to, co widziałeś i czułeś. Dziennikarstwo newsowe jest bardzo techniczne i nie ma w nim miejsca na nic niezrozumiałego, niesamowitego, nasze emocje i – nawet – inteligencję. Cała ta przestrzeń jest w reportażu, jeśli wiesz, jak jej użyć.

Często ponoszę porażki. Wyrośłem w bardzo pokojowym społeczeństwie, więc do dzisiaj borykam się ze znalezieniem słów, które opiszą całą tę nienawiść i niepokój. Ale jeśli będziemy opisywać wojnę za pomocą zwykłych słów i chować się za frazesami, to przegramy dwukrotnie. Po pierwsze, nie skonfrontujemy samych siebie, co powoduje, że coś widzieliśmy, ale nie zobaczyliśmy tego naprawdę. Dlatego że będąc tam, nie zastanowiliśmy się naprawdę nad terrorem, który zobaczyliśmy. Uznaliśmy go za dany, za normalną okoliczność. To pułapka czyhająca na korespondentów wojennych.

Określa Pan siebie mianem korespondenta wojennego?

Raczej uznałbym siebie za reportera kryzysowego. Często piszę teksty, których akcja rozgrywa się z dala od wojen, ale też wciąż wracam na fronty.

A jaka może być ta druga porażka?

Prowadzi do niej zobojętnienie. Przestajesz cokolwiek czuć, bo chronisz samego siebie. Stawiasz wokół siebie mur, a twoje emocje blakną, zamykasz siebie i okaleczasz swój język. W rezultacie czytelnik może odnieść wrażenie, że wojna nie jest taka zła. Artykuł w ogóle go nie porusza. Taki tekst z wojny jest stracony, a nawet niebezpieczny, bo po prostu kłamliwy – bycie na wojnie jest straszne. Naprawdę się boję, że ktoś przeczyta mój tekst i tego nie pojmie.

W Polsce dosyć często romantyzuje się wojnę, patrzy się na nią trochę jak na film akcji. Na pewno był Pan na linii frontu, gdzie nic nie działo, było po prostu nudno. Wydaje mi się ważne, by podkreślając tragizm i okrucieństwo wojny nie pisać o niej jako ciągłej akcji, tylko podkreślać, że sterczenie z bronią w rękę często nie ma

w sobie żadnego heroizmu, może być nudnym zawodem.

Najlepsze filmy wojenne są pozbawione tego elementu rozrywkowego. Na przykład „Dunkierka” Christophera Nolana w zasadzie nie ma fabuły. Głównym bohaterem jest terror i horror. Nie ma tam bohaterstwa ani waleczności, tylko bycie na złym froncie w złym czasie, posiadanie szczęścia lub jego brak...

...i próba przetrwania.

Tylko że bardzo często nie masz na to wpływu. Wszystko zależy od okoliczności. Wojna to wielka machina destrukcji, najczęściej bez miejsca na heroizm. Bycie na wojnie jest jak trucizna, która rozprzestrzenia się w nas tygodniami, miesiącami, latami. Powoli zatruwa twoją krew i szpik.

Kogo zatruwa?

Każdego, kto się na niej znajduje. Wojna jest jak umysłowy rak – wydrąży cię, stawia wszystko pod znakami zapytania, nie ma tam nic rozrywkowego i żadnej ulgi.

Wydaje się, że zawsze stara się Pan być tak blisko wydarzeń, jak się tylko da. Może czasami trzeba było zachować większy dystans?

Zawsze trzeba być tak blisko ludzi, o których się pisze, jak tylko się da. W innym razie nie możesz pisać reportażu. Nigdy nie żałowałem, że byłem zbyt blisko moich bohaterów. Czasami jednak trudno się odciąć.

Co ma Pan na myśli?

Pracuję z niedużą liczbą ludzi przez dwa, trzy tygodnie. Nasze relacje stają się zażyłe, do tego bywa, że znajdujemy się w bardzo ekstremalnych warunkach. Potem wracam do domu w Reutlingen. To małe miasto na południu Niemiec. Patrzę na dachy i słyszę głosy przechodniów. Wracam do kompletnie innego życia i to jest trudne. Gdzie podział wtedy cierpienie, które dopiero co widziałem?

Jeśli nie jesteś w stanie poradzić sobie z tym przejściem i nie masz filtra ochronnego, szybko przestaniesz pracować w miejscach ogarniętych kryzysami. Nabawisz się zespołu stresu pourazowego, nie będziesz mógł spać w nocy lub będziesz czuł się niewyobrażalnie winny i odpowiedzialny za to, że twoi przyjaciele dalej żyją w niebezpieczeństwie i giną. ➔

→ **Gdy mówi się „wojna”, ludzie zazwyczaj myślą, że toczy się ona w całym kraju, a przecież strefy objęte działaniami zbrojnymi bardzo płynnie i gwałtownie przechodzą w te, gdzie toczy się pokojowe życie.**

Zawsze te dwie rzeczywistości – rozpac i radość – istnieją obok siebie. W Polsce przecież też nie ma tylko radości. Gdy rozmawiamy, ktoś umiera w szpitalu lub domu, przeżywa straszne cierpienia. Jeśli pojedziesz do Syrii czy Afganistanu, to nie ma tam tylko rozpaczy. Jest też radość. W jednym domu dochodzi do ataku bombowego, a w drugim trwa wesele.

W miejscach, gdzie ludzie doświadczają strasznego cierpienia, często można natrafić na ogromną życzliwość i gotowość do pomocy.

Rzadko spotykam tylu dobrych ludzi, co w strefach kryzysu. Prawdziwa istota człowieka jest tam naga. W naszych społeczeństwach można ją łatwo ukryć, przez co dosyć trudno zobaczyć, co jest prawdziwe w danym człowieku i kim naprawdę jest dana osoba. Jeśli nie żyjesz w nędzy, to nie musisz walczyć każdego dnia ani pomagać, więc rzadko jesteśmy zmuszeni, by pokazać nasze prawdziwe twarze.

Wówczas także przyjaźń staje się prawdziwą przyjaźnią. To skarb, choć nie odważę się powiedzieć, że nagroda.

W reportażu z Aleppo opisuje Pan ludzi, którzy mimo trwających ciężkich walk i ciągłego niebezpieczeństwa próbują przywrócić prąd na swojej ulicy. Ten motyw nadziei i ludzkiej determinacji – podtrzymywania rozsypanych rzeczywistości czy

zebrania jej resztek – pojawia się u Pana często.

Bomby zostały na nich zrzucone, wojna rozpoczęła się bez ich zgody, miasto się rozpadło, ale wciąż w tej małej uliczce mieszkańcy robią, co mogą, i świętują swoje małe sukcesy. Dlatego przetrwają, a nie dlatego, że przywrócili prąd na kilka godzin. Prawdziwy heroizm to nie strzelanie na froncie, tylko niepoddawanie się.

Nawet w najnędzniejszych warunkach wielu ludzi nieustannie podejmuje wysiłek, by przetrwać i odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Jeśli człowiek zostaje pozbawiony tej zdolności, wówczas znajduje się w naprawdę rozpaczliwej sytuacji. Nastaje prawdziwy mrok.

Akcja Pana reportażu zebranych w książce toczy się od Libii po Japonię. Jeździ Pan wszędzie, gdzie trwają kryzysy?

Staram się raczej wielokrotnie wracać do tych samych miejsc, gdzie mam kontakty i ugruntowaną pozycję, więc nie muszę po raz kolejny zaczynać od zera. Ale jeśli jest to konieczne, uprawiam dziennikarstwo spadochroniarskie. Wówczas jednak wybieram temat bardzo ostrożnie.

Dlaczego?

Muszę dotrzeć tak blisko ludzi, o których piszę, jak się tylko da. To jest bardzo trudne, by nawiązać taką relację. To też kwestia bezpieczeństwa i dostępu, a także znalezienia właściwej historii, by przez nią opowiedzieć szerszą historię, a nie egzotyczną ciekawostkę. Dlatego im gorzej znam teren, tym bardziej muszę być ostrożny.

I jak Pan szuka swoich historii?

Próbuję się skupiać na małej przestrzeni, jak ta wąska uliczka w biednej dzielnicy Aleppo. Rzadko ją opuszczam z powodów bezpieczeństwa, ale też nie było takiej potrzeby. Nie miało sensu, bym ganiał po całym mieście od jednego dużego ataku do drugiego. Wolę znaleźć wszystko na małym obszarze. Po tem przynajmniej mogę powiedzieć, że nie wiem zbyt wiele o Aleppo, tylko zarys z książek i doświadczenia, ale jestem prawdziwym ekspertem od tej małej ulicy. Tak wolę pracować. Jestem dziennikarzem lokalnym.

Ale takim naprawdę lokalnym – zajmującym się jednym małym punktem?

Jedną rodziną, jednym domem, jedną ulicą czy jedną wioską. Nie większym. To oczywiście nie zastępuje innych form relacji, ale najlepiej pozwala zrozumieć emocjonalną naturę konfliktu. Znacznie lepiej niż wyłącznie wyjaśnianie kontekstu historycznego czy powiązań gospodarczych.

© Rozmawiał PAWEŁ PIENIAŻEK

FRANCK CASTEL
NEWS PICTURES / PAP



WOLFGANG BAUER

jest dziennikarzem i reporterem „Die Zeit”. Laureat wielu nagród, w tym Nagrody im. Hansela Mietha,

Europejskiej Nagrody Dziennikarskiej Columbus, Nagrody Bayeux-Calvados. Autor książek „Przez morze. Z Syryjczykami do Europy” i „Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki” (nominacja do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego). Niedługo nakładem Czarnej ukaże się jego zbiór reportaży „Nocą drony są szczególnie głośne” w przekładzie Elżbiety Kalinowskiej.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 232/19 postępowanie z wniosku Piotra Guszczaka o stwierdzenie nabycia spadku po Stefanie Dudziaku, zm. 24 października 2016 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. W skład spadku po zmarłym wchodzi jego udział w prawie własności nieruchomości.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 195/19 postępowanie z wniosku Urszuli Macioszczyk o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Adamie Majka, zm. 1 stycznia 2018 r., ostatnio zamieszkałym w Chrzanie, gm. Żerków. W skład spadku po zmarłym wchodzi nieruchomości położona w Chrzanie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Gustave Flaubert, ok. 1870 r.



Louise Colet, 1868 r.

Mgła i krew

MAREK BIEŃCZYK

W namiętnej miłości równowaga to pojęcie niestosowne. Szkoła uczuć poucza, że w parze zawsze ktoś osiąga przewagę; że jedno w danej chwili ma władzę, a drugie jest petentem. W kolejnej może być na odwrót.

W POLSKIM PRZEKŁADZIE JEDNEJ z książek Juliana Barnes'a czytamy o korespondencji Gustave'a Flauberta z Louise Colet. Korespondencja ta w obfitym wyborze ukazała się niedawno po polsku dzięki pracy Ryszarda Engelkinga, wybitnego tłumacza Flauberta, oraz chwalebnej, trwającej od lat flaubertomanii wydawnictwa Sic! Kochanka pisarza raz na zawsze odzyskała swoją pleć; już teraz nikt u nas nie domaluje jej wąsów i nie dołoży cylindra na głowę.

Kochankowie na zawsze

Gustave Flaubert i Louise Colet są jedną z tych wielkich par dziewiętnastowiecznych – trochę tragicznych, trochę komicznych – które miłują się głównie *per*

absentiam. Jak Balzac i Hańska, Krasiński i Delfina Potocka. Nieobecność i pisanie do siebie na odległość są jednym z podstawowych warunków trwalszej miłości; stałe współprzebywanie i słowa wypowiedziane twarzą w twarz to największe jej zagrożenia. Flaubert napisał do Luizy w ciągu kilku lat znajomości blisko 300 listów. Widywali się na chwilę – wieczór, dzień, rzadziej parę dni – uprawiając, jak można się domyślić z sugestii pisarza, ostry seks. Reszta czasu była przyjemnym i zarazem drażniącym oczekiwaniem.

W tej korespondencji gada niemal wyłącznie jedna strona. Listy Colet z wyjątkiem paru, przygotowanych przez nią w brulionie, przepadły, zniszczone przez Flauberta. Pozamiatął wokół siebie, ale

miotła poza jego dom sięgnąć już nie mogła. Zachowały się natomiast dzienniki Luizy, zwane „Memoranda”. Tłumacz zamieścił kilka ich fragmentów dotyczących Flauberta, jednak nie przywróci to równowagi głosów. Głos Colet rozbrzmiewa co najwyżej echem w listach kochanka, gdy ten komentuje jej wypowiedzi, a także po belfersku, z czasem coraz ostrzej, omawia jej utwory literackie. Niekiedy robi to z przyjacielem Bouilhetem, wyrocznią, której dawał do oceny własne rękopisy. Na taką parę nie ma mocnych; Luiza jest bez szans. Nie wiadomo, czy by je miała, gdyby pisała lepiej. Tak czy owak, do nieśmiertelności przedarła się nie własnym słowem, lecz w wehikule zwanym Flaubert.

Równowaga to zresztą dla namiętnej miłości pojęcie niestosowne. Szkoła uczuć poucza, że w parze zawsze ktoś osiąga przewagę; że jedno w danej chwili – w kolejnej może być na odwrót – ma władzę, a drugie jest petentem. W tym przypadku wszystko zaczyna się od przewagi Luizy. Kiedy się poznają, urodzona w roku 1810 (o rok młodsza od Słowackiego), jest już znaną postacią w paryskim środowisku literackim, autorką dzieł różnych, dość szeroko czytanych. Gustaw (jakkż romantyczne dla nas imię), o dwanaście lat młodszy, pozostaje

→ jeszcze normandzkim anonimem, drapi-
piórem czytany tylko przez jego wła-
sne oczy.

Aspirant szybko jednak przejmie rej:
to on stanie się mentorem, nauczycie-
lem, i to jeszcze zanim cokolwiek opu-
blikuje. Z czasem też to on będzie częściej
tym, którego się prosi, a ona ta, która się
ubiega. Jej miłość była silniejsza, kon-
kretniejsza i długodystansowa. Związek,
który zaczął się w roku 1846 (już naza-
jutrz po poznaniu stali się kochankami),
trwał przez trzy lata, odnowił się po trzy-
letnim zerwaniu w 1851, zgasł w 1854 r.
Liczba dni wspólnie spędzonych wobec
liczby dni samotnych jest załośnie niska.
Po śmierci Luizy w roku 1876 Flaubert na-
pisze do pani Roger des Genettes: „Trafnie
pani odgadła gmatwaninę uczuć, które
wzbudziła we mnie śmierć mojej biednej
Muzy! Pamięć o niej znowu odżyła i ka-
zała mi wrócić w minione dni. Ale pani
przyjaciół jest od roku zdecydowanym
stoikiem. Podeptałem wiele rzeczy, żeby
jakoś żyć. Spędziwszy całe popołudnie
w przeszłości, postanowiłem przestać
myśleć o Muzie i zabrałem się do pracy”.

Elegancki i okrutny zarazem, jak za-
wsze. Nie chciał o wspólnym życiu, paro-
letnim dla niego epizodzie, pamiętać. To
my, jego wielbiciele, pamiętamy za niego;
ci kochankowie już się od siebie nie od-
czepią.

Kocham-Cię

Wszystko jest bardzo ciekawe. Ucho-
dząca za piękność Luiza w chwili, gdy po-
znawała Flauberta, była zamężna; Flau-
bert wdzięcznie nazywał męża Figuran-
tem. Była już matką, miała (podobnie jak
Ewelina Hańska, kiedy już przyjechała do
Paryża i od razu sobie Balzaka obrzydziła)
niemało kochanków, także podczas zna-
jomości z Flaubertem. Paru z nich – arty-
stów, filozofów – trafiło do encyklopedii;
nie dzięki Luizie, a dzięki własnym ta-
lentom. Simone de Beauvoir z Sartre'em
sądzi, że wymyślają świat wolnej miło-

ści na pohybel ciemnogrodowi, lecz byli
tylko bardziej historyczną kopią wiel-
kich poprzedników. A już zwłaszcza Lu-
izy, istoty nieokiełznanej, cholerycznej,
godnej podziwu za jej odwagę w rozsze-
rzaniu swej sfery wolności.

Z punktu widzenia ówczesnych oby-
czajów, odwiecznej psychologii miło-
snej, erotyczno-ekonomicznego pola
walki (Flaubert miał więcej pieniędzy,
Luizie ich ciągle brakowało), szczegółów
życia intymnego na społeczno-politycz-
nym i artystycznym tle epoki, wiele tu się
dzieje. Jednakże gdyby wziąć tylko pod
uwagę miłosne zmagania się, wspólne
uniesienia i zaklęcia – nic aż tak nadzw-
yczajnego. Ostatecznie mamy tu do czynie-
nia z typową miłosną szamotaniną, a żar-
liwość też bywa nudna. Oczywiście atrak-
cją jest obecność Flauberta.

Francuzi nie pamiętają o Flaubercie.
Pamiętają o Balzaku, Moliere, Prouście
czy Hugo. „Nie pamiętamy o Flaubercie”
– jak pisała niedawno w głośnym arty-
kule Tiphaine Samoyault, bo Flaubert jest
w nas, jest z nami: „spokojny blok oczy-
wistości, masywny i dyskretny zarazem”.
Francuscy pisarze do dzisiaj piszą Flau-
bertem, pastiszują Flauberta, kopiują go,
określają się wobec niego, nie mogą się od
niego opędzić; pisarz nie należy do dzie-
dzictwa i wspomnienia, lecz do chwili
dzisiejszej. Trochę jak Gombrowicz od-
działujący przez dziesięciolecia na pol-
skich pisarzy. Ale siła rażenia jest w przy-
padku Flauberta jeszcze większa.

Pisał do Luizy: „Artysta winien po-
stępować tak, by potomność uznała, że
wcale nie istniał”. Trzeba było bardziej się
tym zdaniem przejąć; oszczędziłaby sobie
złudzeń. To jednak dla jurnego mężczy-
zny program i tak ponad siły. Zatem nie
bez złośliwej rozkoszy wierny czytelnik
Flauberta – bodaj pierwszego wielkiego
powieściopisarza, który chciał być w ży-
ciu tylko i wyłącznie powieściopisarzem,
i stworzył *image* nieznośnie czystego ide-
ału twórcy, męczennika literatury (te

setki godzin nad jednym akapitem) – od-
najdzie w korespondencji z kochanką
Flauberta-człowieka. Któremu trudno się
ruszać bez mamusi, tak bardzo jest z nią
związany, któremu rytm libido (w prze-
ciwieństwie do Jerzego Pilcha Flaubert
uważał co prawda, że seks raczej osłabia,
niż wzmacnia pisanie; no ale co robić) wy-
znacza rytm korespondencji. Który po-
pada w klisze języka miłosnego, a prze-
cież niczego tak bardzo jak komunałów
nienawidził i niczego tak brutalnie jak
ich w swych książkach nie obnażał, pod-
ając swoich bohaterów, od świętego An-
toniego po Bouvarda i Pécucheta, bezlito-
snym próbom śmieszności.

Można czytać tę korespondencję
z „Fragmentami dyskursu miłosnego”
Rolanda Barthesa w rękę, czyli śledzić fi-
gury języka wspólne od niepamięci dla
wszystkich zakochanych, bez względu na
to, kim są, piszą książki czy kopią rowy.
Choćby wyznanie „kocham cię”. Barthes
zapisuje je z dywizem: „kocham-cię”, by
podkreślić tego wyrażenia pustą reto-
ryczność. „Kocham-Cię: figura ta nie od-
nosi się do deklaracji miłości, do wyzna-
nia, lecz do powtarzanego krzyku miłości
(...) Po pierwszym wyznaniu kolejne »ko-
cham-cię« nie znaczy już nic; tak bardzo
wydaje się puste, że w tajemniczy sposób
powraca jedynie do dawnego przesłania
(które być może nie przebiło się przez
słowa). Powtarzam je poza wszelkim zna-
czeniem”. Flaubert powtórzył setki razy.

Ryszard Engelking nazywa całe to epi-
stolarne zdarzenie „płomienną powieścią
w listach”. Przeszkadza mi w tym określe-
niu liczman: wszystkie wielkie miłosne
korespondencje określa się najczęściej
właśnie „powieścią”. Komu jak komu, ale
Flaubertowi, autorowi jednych z najwięk-
szych powieści w dziejach, artyście wybit-
nie świadomemu tego, czym powieść ma
być, nie powinno się tego robić.

Jednak tkwi w tym porównaniu z po-
wieścią jakaś perwersyjna prawda. Flau-
bert, mistrz podejrzliwości jeszcze przed
Freudem i przed Nietzschem, tropiciel
językowych kodów, wiedział z czasem
coraz lepiej, że każdy język jest „głupi”.
W tym sensie, że nigdy nie jest oryginalny,
lecz jest zlepkiem różnych kalek,
gotowców. I że pisanie jest w konsekwen-
cji kręceniem karuzelą różnych języko-
wych zapożyczeń. Czuł się Flaubert arty-
stą oddanym bezwzględnie Sztuce i zara-
zem „okropnym mieszcuchem”, tym,
kto sam posługuje się w pisaniu utartymi

Przed Sądem Rejonowym w Sanoku, I Wydziałem Cywilnym, pod sygn. akt I Ns
626/19 toczy się sprawa z wniosku ING Bank Śląski S.A. z siedzibą w Katowicach,
z udziałem gminy Zarszyn, o stwierdzenie nabycia spadku po Stefani Lubo Woźniak
z d. Nebesio, c. Józefa i Zofii, zm. 4 lipca 2017 r. w Posadzie Zarszyskiej.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili
się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci
w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

kodami, kto ulega liryczności (a przecież liryczności w sztuce nie znosił) i kto ze swej mieszczańskiej kondycji nie może się wymknąć; może co najwyżej inteligentnie rozpoznawać swój stan. W korespondencji sam staje się, chcąc nie chcąc, bohaterem swej narracji. Czyli kimś, kto nie panuje nad żywiołem języka. Czyli istotą z krwi i kości.

Ujmijmy to inaczej. Fernando Pessoa o epistołach kochanków napisał w jednym z wierszy tak: „Wszystkie listy miłosne są / Śmieszne / Nie byłyby listami miłosnymi, gdyby nie były / Śmieszne”.

Obecny, niewidoczny

Spotykają się, rozjeżdżają, tęsknią, mają do siebie pretensje, przechodzą z „ty” na „pan, pani” i z powrotem, godzą się, znowu żądają od siebie czegoś więcej albo czegoś innego, urządzają kosztowne sceny, przelatują z bieguna na bieguna, z nieba do piekła, z piekła do nieba, wszystko we wspaniałej francuszczyźnie (a dla nas niemniej wspaniałej polszczyźnie). To jest miłość cudownie przedsemesowa, wymagająca długich tyrad, zdań wielokrotnie złożonych, wypatrywania poczty, liczenia dni od listu do listu. I wywołująca nostalgię: korespondencja miłosna jako szczególnie gatunek literacki dziś dobiegła swego kresu.

Jak wszyscy kochankowie wypracowali swój żargon miłosny zrozumiały tylko dla nich samych, sekretne schowki w języku. Ci Anglicy, pojawili się wreszcie czy nie, dokonali desantu? Piętrowa metafora: Anglicy, noszący zwyczajowo czerwone mundury, to zakamuflowane określenie na krew miesięczną. Flaubert, żywiący jak większość wielkich twórców nieprzejeźdną, histeryczną wręcz infantofobię, dopytuje się o sąsiadów z północy nerwowo, po każdym niemal spotkaniu z Luizą. Oby przyjechali, już tu wylądowali, przestali w końcu zwlekać.

Im wszakże dalej w las, tym więcej myśli uniwersalnych. Im dłużej trwa korespondencja, tym częściej Flaubert wygłasza opinie na temat sztuki, literatury, pisania. Flaubertyści będą mieli z czego czerpać do swych referatów, każdy cytat będzie świetny i wiele mówiący. To niejako druga śmierć Luizy: gorąca kochanka, owszem, pamiętamy, lecz także, a może przede wszystkim ciało-tablica, na którym Flaubert zapisał kilka swoich $E=mc^2$ do rozwinięcia przez potomność.

Francuscy pisarze do dzisiaj piszą Flaubertem, pastiszują go, kopiują go, określają się wobec niego. Nie mogą się od niego opędzić.

On nie należy do dziedzictwa i wspomnienia, lecz do chwili dzisiejszej.

Cytat bodaj najślawniejszy, podręcznikowy, zdeptany już na amen: „Tym, co wydaje mi się piękne, co chciałbym stworzyć, jest książka o niczym, książka bez żadnej zewnętrznej podpory, którą scala wewnętrzna siła stylu, książka podobna do kuli ziemskiej, wiszącej w powietrzu, choć nic jej nie podtrzymuje, książka niemal pozbawiona tematu albo z tematem niewidocznym, jeśli to wykonalne. Najpiękniejsze dzieła to te, w których jest jak najmniej materii”.

Zapomnijmy o wymarzonej książce, pomyślmy o Luizie i jej miłości. O możliwym związku z kimś, kto piękna szuka w tym, czego prawie nie ma, w minimum materii, w stanie nieokreślonej nieważkości. Kto już na samym początku porównuje obraz Luizy, jaki nosi w sercu, do „nocy w mlecznych oparach posrebrzanej mgły”. Kto pragnąłby być jako autor – kolejny cytat z Flaubertowskiej złotej kolekcji – „niczym Bóg w przyrodzie, wszędzie obecny i niewidoczny”.

Niewidoczny, odcieleśniony, w powietrzu, nieuchwytny. Nie chodzi tylko o idee estetyczne, o to, jak ma wyglądać i czym ma być powieść. Rozważając ideały literackie, Flaubert kreśli zarazem swoje wizerunki egzystencjalne, fantazmatyczne autoportrety. Przenosi swoje istnienie w inne rejony, tam gdzie ciało, jego ciało, staje się słowem. Dematerializuje się, przeobraża w język; język, w który można się drapać (bo „zdania śwędzą”), który można wyciskać „jak czyraki” i poza którym nie ma nic. W słowach deponuje siebie, unieważnia swoje ziemskie istnienie, zamyka się w nich jak w szczelnej monadzie. I szukaj wiatru w polu, człowieka na widoku, towarzysza do długiego, wspólnego i szczęśliwego życia.

W jednym z listów rzuci nawet: „z chwilą publikacji profanujemy dzieło”, podejmując, zapewne nieświadomie, ideę romantycznych mistyków o książce jako duchowej fiołce przechowującej byt twórcy przeobrażony w wyniku długiej męczeńskiej pracy pisania. Gdyż pisze się po to, by być alchemicznie wysublimować, a nie tracić go przez bezużyteczne ujawnienie.

Na szczęście Flaubert jest mocny w obserwacji konkretów życia codziennego. Bez tego daru nie byłby wielkim pisarzem; ma oko i ucho na ludzi; jego głęboka melancholia ma tę zaletę, że tak gotów do unieobecnienia się, wypełnia się zachowaniami i językami innych, dąży do gęstości, do kondensacji drobin rzeczywistości, do wyłapywania stylu społecznych zachowań.

Ostatni duży blok listów do Luizy powstaje w chwili, gdy Flaubert przymiera już do „Pani Bovary”. Tradycyjne podejście kazałoby czytać tę korespondencję na dwoje oczu, rozdzielając kwestie miłosne od sądów artystycznych. Dwa skowronki sobie, a pisanie sobie. Ale kusi myśl, że Flaubert rozwijał swoje teorie literackie i swoje artystokratyczne-artystyczne wyobrażenia unieobecnienia wobec związku z Luizą i przeciwko niemu, z czasem rozumiejąc coraz lepiej, że życie, jego życie, jest gdzie indziej, że im mniej jest go osobowo tu i teraz, tym jest go więcej panteistycznie, cudownie rozproszonego w zdaniach powieści, suwerennie nieobecnego.

Żadnej przy tym w literaturze introspekcji, fedrowania w zakamarkach własnej duszy. Książka to piękna, malownicza forma nicości; nieśmiertelnej nicości. A istnienie tu na ziemi to nieco zbędne okoliczności. Matka Flauberta, czyli Inteligencja Intuicyjna, ujmie to tak: „Kult zdań wysuszył ci serce”. Czyż to nie wspaniale powiedziane, pisze Flaubert do przyjaciela, „Luiza by się powiesiła z zazdrości”, że sama tak celnie ich związku nie ujęła.

Pianka na powierzchni

No dobrze, ale to tylko mgły w głowie. W listach do Luizy Flaubert, pisarz jeszcze na dorobku, dostaje spazmów, gdy mówi o swym pisaniu, pełen niepewności, wątpliwości, zniechęcenia, niewiary, przedzielonych łalami nagłego entuzjazmu. Typowe historie pisarskie, ekscesy autoironii, autodeprecjacji, które

→ otoczenie pisarza, przyjaciele i sama Luiza muszą znieść. Ona sama, pisarka, aż tak się swoim stylem nie przejmuje i drży nieco mniej; wykorzysta swe pióro, by go sportretować jeden do jednego w jakiejś nieistotnej prozie. I tak to się między pisaniem a kochaniem toczy.

Na swój sposób był uczciwy; od początku dawał do zrozumienia na różne sposoby, że nie ma co dążyć do absolutnych spełnień. „Jeśli traktujesz miłość jako główne danie egzystencji – nie. Jako przypawę – tak”. „Zebrać z kontaktu dwóch osób piankę unoszącą się na powierzchni, nie bełtając mętów, które mogą być na dnie” – tak. „Myśleć wyłącznie o człowieku kochanym, ze wszystkich rzeczy świata widzieć wyłącznie jego” – nie.

Rozstali się po raz drugi i ostatecznie jesienią 1854 r. (Słowacki już nie żył pięć lat, w rękopisach pozostał „Król Duch”). Ale jeszcze w marcu roku następnego, wiedząc, że Flaubert przebywa w Paryżu, napisała do niego z prośbą, by przyszedł. Nie przyszedł, poszła do niego. Nie było go, albo nie otworzył. Nazajutrz napisał do niej: „Doniesiono mi, że wczoraj wieczorem po trzykroć zadała sobie pani trud przybycia pod moje drzwi. Nie było mnie w domu. Aby oszczędzić pani przykrości, które, z racji podobnego uporu z jej strony, mogłyby ją spotkać z mojej, dobre wychowanie nakazuje mi panią uprzedzić, że nigdy nie będzie mnie w domu”.

Na tym ostatnim liście Flauberta Luiza dopisała: „gbur, tchórz, nikczemnik”. Słowo „nikczemnik” podkreśliła dwa razy wścieklą kreską.

Żyli jeszcze dość długo i średnio szczęśliwie.

© MAREK BIEŃCZYK

Gustave Flaubert, **LISTY DO LUIZY**,
przełożył Ryszard Engelking, Sic!,
Warszawa 2019

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Ostatnie takie lato

ANITA PIOTROWSKA

**Przeszłość i przyszłość,
wspólne dorastanie i coraz
bardziej realna wizja rozstania
wyrzucają bohaterów poza
towarzyski nawias. Coś
ciężkiego wisi w powietrzu
i z każdą chwilą narasta.**

ZBLIŻENIE, PRZYNAJMNIEJ W JĘZYKU polskim, może oznaczać filmowy „bliski plan”, ale też bliskie spotkanie o charakterze seksualnym. W najnowszym filmie Xaviera Dolana te dwa znaczenia przenikają się i jednocześnie rozmiągają. „Matthias i Maxime” opowiada o tym, jak pod wpływem niewinnego występu przed kamerą uruchamia się skrywana latami namiętność. I jak okrutni potrafią być czasem dla siebie ci, którzy nie potrafią wyrazić swych prawdziwych uczuć.

A miało to być dziełko „impresjonistyczno-ekspresjonistyczne” – tak mówi o nim pretensjonalna studentka szkoły filmowej. Wprosiła się z kamerą do rodzinnego domu nad jeziorem, gdzie jej starszy brat zorganizował imprezę. Dla tytułowego Maxime’a będzie to jedna z ostatnich – wyjeżdża na dwa lata do Australii, co oznacza definitywny koniec beztroskiej młodości. Gra go osobiście sam Dolan, pozbawiony dawnego chłopięcego uroku, niechłujny, ze szpecącym znamieniem na twarzy. A jednak przyciąga uwagę. Kanadyjski reżyser, rocznik 1989, niegdyś cudowne dziecko kina (debiutanckie „Zabiłem moją matkę” nakręcił w wieku niespełna dwudziestu lat), wkracza właśnie w wiek męski. Po siedmiu nie zawsze udanych filmach zdążył nabrać reżyserskiej pewności. Wystrzega się też dawnych manieryzmów „impresjonistyczno-ekspresjonistycznych”, skupiając się przede wszystkim na brudnym i surowym portretowaniu swoich rówieśników. Na tym, co niepostrzeżenie wy-

darza się pomiędzy ludźmi i między dramami.

Owo przejście w dorosłość pokazuje Dolan jako proces niby bezbolesny. Wszyscy tu przecież świetnie się bawią, przerzucają się nawzajem ciętymi ripostami i mało wybrednymi żartami. Ale nie ma wątpliwości, że to ostatnie takie lato. Ktoś zaraz musi wyjechać, ktoś ma do spłacenia kredyt studencki, ktoś inny – jak Matthias (Gabriel D’Almeida Freitas) – wkrótce założy rodzinę i będzie robił karierę w wielkiej firmie prawniczej. To właśnie między nim a Maxime’em toczy się cichy dramat.

Odegrany przed kamerą pocałunek uruchamia licealne wspomnienia, wytwarza nieusuwalne napięcie, psuje nastrój hałaśliwej chłopackiej imprezy. Reżyser jest tu mistrzem kontrolowanego chaosu. Niemal cały czas gra muzyka, leje się alkohol, krąży fajka wodna, a w żyłach różne substancje. Pożegnanie Maxime’a przechodzi swoje kolejne fazy, trwa odliczanie kolejnych dni, a jednak on i Matthias zachowują się tak, jakby weszli w jakąś boczną odnogę czasu, który raz przyspiesza, to znowu zwalania. Przeszłość i przyszłość, wspólne dorastanie i coraz bardziej realna wizja rozstania wyrzucają ich poza towarzyski nawias. Coś ciężkiego wisi w powietrzu i z każdą chwilą narasta.

Co więcej, Matthias i Maxime stają się w filmie swoim lustrzanym, czyli odwróconym odbiciem. Max pracuje w obskurnym barze, pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny i musi matkować własnej matce.





GUTK FLM / MATERIAŁY PRASOWE

Gabriel D'Almeida Freitas jako Matthias i Xavier Dolan jako Maxime w filmie „Matthias i Maxime”

Gra ją zresztą Anne Dorval, znana z ról toksycznych rodziców w poprzednich filmach Dolana. Wyjazd na drugą półkulę wymaga od bohatera wielu logistycznych i emocjonalnych wygibasów, choć nie jest przecież ucieczką od obowiązków. Z kolei Matt dorastał w zamożnej montrealskiej rodzinie – od listu polecającego, który miał napisać jego wpływowy ojciec, zależy w dużej mierze wyjazd Maksa. Obaj byli dotychczas dla siebie niczym rodzina. Inicjatorką uroczystej kolacji pożegnalnej, która ma potem swoje mniej formalne ciągi dalsze, była sympatyczna matka Matta.

To zderzenie dwóch różnych światów bywa w filmie Dolana trochę tendencyjne. Podczas gdy jeden z głównych bohaterów w dobrze skrojonym garniturze podąża wyznaczoną przez innych ścieżką i wie, że życie niczym z ulicznej reklamy „chleba świętej rodziny”, ubrany w bluzę z kapturem drugi z nich rzuca się na oślep w nieznaną. Ale sceny lekko groteskowe rozgrywają się i w snobistycznym towarzystwie, i wśród ludzi wyrzuconych na margines przez swoje nałogi. Zarówno Matthias, jak i Maxime mocują się, choć każdy na swój sposób, z nigdy niewypowiedzianym uczuciem. Jak bardzo męczą się w swoich kumpelskich rolach, najmocniej pokazuje scena, w której Matt próbuje wygłosić na cześć przyjaciela pożegnalną mowę. Czy zdążą jeszcze coś zmienić, zanim odleci samolot?

Na szczęście reżyser nie ustawia nas sztywno społeczno-psychologicznej

osi symetrii. Składa swój film z rozsypanych drobiazgów: mikroscenek czy mikrospojrzeń, i opłata nimi gęsto swoich bohaterów. W ten sposób z całych sił utrudnia im wykonanie decydującego gestu. Trzydziestoletni dziś Dolan zaznacza też na ekranie swą pokoleniową przynależność i odrębność. Filmowa Eryka, nadpobudliwa studentka z kamerą, na każdym kroku sypiąca anglicyzmami i trajkocząca o płynnych tożsamościach, należy do trochę innej generacji. Max, Matt i cała ferajna zdążyli zbudować silne więzi, niezapomniane przez nowe technologie. Bywają gwałtowni, emocjonalni, czasami głupkowaci.

Ale Dolan patrzy na nich z cierpką czułością. Nawet „Always on My Mind” w wykonaniu Pet Shop Boys staje się czymś więcej niż nostalgiczną ejtisową pocztówką. Równocześnie „Matthias i Maxime” wymyka się konwencji melodramatu. Bywa przy tym nieznośnie rozgadany i rozproszony, dygresyjny i trywialny, celowo opóźnia emocjonalną kulminację. Chwilami można się poczuć jak na przypadkowo odwiedzonej, dusznej prywatce, ale wystarczy się wygodnie rozsiąść w jakimś uszатыm fotelu i podążać uważnie za spojrzeniem kamery, żeby dostrzec, co się tam naprawdę dzieje.

MATTHIAS I MAXIME (*Matthias & Maxime*) – reż. Xavier Dolan. Prod. Kanada 2019. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 21 lutego.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [22 – 28 II]

1. Dzięki Bogu



Dramat, reż. François Ozon, Francja 2019, Canal+, 23 II, 21.30, Canal+ 1, 23 II, 22.30
Sprawa lyońskiego kardynała Philippe'a Barbarina, który przez lata lekceważył przestępstwa seksualne podwładnego, ciągle powraca w medialnych doniesieniach. Film odtwarza historie kilku molestowanych w dzieciństwie bohaterów, którzy odnajdują się nawzajem, by wspólnie nagłośnić temat i zaważyć o sprawiedliwość.

2. Summa



Dokumentalny, reż. Andrzej Kuciła, Polska 2018, TVP2, 25 II, 23.40
W swoim niezwykle domu na Suwalszczyźnie malarz Andrzej Strumiłło gości młodą artystkę z Białorusi. Człowiek u kresu drogi spotyka osobę, która dopiero stawia pierwsze kroki – w życiu i w sztuce. Ich wspólne rozmowy i obserwacje świata zamieniają film w kontemplacyjny poemat.

3. Zero zero zero



Serial, reż. Leonardo Fasoli i inni, Włochy 2019, HBO GO
Przed nami następna, po filmie „Gomorra”, adaptacja reporterskiej prozy Roberta Saviano. Opowiada o tym, „jak kokaina rządzi światem” – podąża jej międzynarodowym szlakiem, śledzi ogniwa „łańcucha pokarmowego” i pokazuje, jaki jest dziś wpływ tego narkotyku na globalną gospodarkę. Pierwszy sezon składa się z ośmiu odcinków. Występuje m.in. Gabriel Byrne.

4. Farmaceuta



Miniserial dokumentalny, reż. Julia Willoughby Nason, Jenner Furst, USA 2020, Netflix

Aptekarz z Nowego Orleanu samodzielnie bada sprawę zabójstwa swego syna. Przy okazji wpada na trop afery opioidowej, w którą zaangażowane są wielkie koncerny farmaceutyczne. Uzależnienie od środków przeciwbólowych stało się amerykańską plagą, która co roku zbiera krwawe żniwo. Czy da się zbić stojący za nią układ biznesowy?

JAN

Klata:

Struktury gestyczne



PERFORMANS WŁADZY W PEŁNEJ KRASIE, wykonywany przy pomocy struktur gestycznych, na oczach suwerena, oczach szeroko rozwartych niczym gałki Alexa z „Mechanicznej pomarańczy”. Brakowało tylko soundtracku Ludwiga van, no

ale przecież zawsze zostaje Zenek. Oszalałem. Widziały gały, co brały. To było coś, zaiste. Tym czymś był palec. Trzeci, ale wielce wskazujący na zachodzące procesy. Widziały gały, co brały. Władza palcem pokazuje, gdzie nas ma.

Nie lekceważmy intelektualnego zaplecza partii rządzącej, happening posłanki Lichockiej nie wziął się z niczego, nie wyskoczył z głowy Zeusa czy innej Ateny, rządząca partia syci się kulturą, ona czyta, ona pisze, ona się delektuje, zwłaszcza klasyką i Cashem w San Quentin, ona kulturę krzewi i ma ją w małym palcu *nomen omen*. Jako inspirację dla performansu Lichockiej słusznie wskazywano cykl pocztówek Ai Weiweia jakże trafnie zatytułowany „Dłoń artysty”, ale tropy wiodą także do równie istotnej, bardziej swojskiej figury gombro-

wiczowskiego „palica”, wielce znaczącego, ujawniającego podszewkę rzeczywistości, zrywającego welon złudzeń. Palec nabrzmiewa znaczeniami. Nie licuje, ale tym lepiej. Prześledźmy sekwencję brzemiennych w skutki wiekopomnych wydarzeń, wykonajmy interpretacyjny *manicure*.

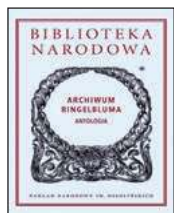
Było głosowanie, więc przegłosowali opozycję. Parlament, więc gadają. Posłanka – kto ją posłał? Wygłosiła tryumfalne przemówienie – to są zawsze emocje, one buzują – a następnie otrzymała nagrodę w postaci oklasków prezesa. I teraz najważniejsze: uskrzydłona i z lekka oszołomiona posłanka Lichocka schodzi z mównicy (kiedys trzeba zejść), aby po drodze na należne jej miejsce w sejmowych ławach w nagrodę otrzymać... pocałunek prezesa. Konkretnie pocałunek otrzymuje dłoń posłanki – tak, tak, ta właśnie, prawa dłoń, która kilka sekund później przejdzie do historii.

Prezes Kaczyński nie powinien całować kobiet w dłoń, gdyż one wtedy od razu tracą rozum. Pocałował dłoń Beaty Szydło – pokazała pazurki, pocałował dłoń Joanny Lichockiej – wysunął się palec. Dobrze, że jeszcze nie mamy w Polsce tradycji całowania męskich dłoni, bo nie chciałbym widzieć, co się stanie po tym, gdy prezes pocałuje dłoń Ryszarda Terleckiego. Dante wymięka.

Następne posiedzenie gabinetu Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich rozpocznie się pozowaniem do uroczystego zdjęcia z gremialnie obnażonymi trzecimi palcami sług narodu. Zdjęcie powinno obowiązkowo zawisnąć w każdym urzędzie, komisariacie, szpitalu – zwłaszcza onkologicznym. ©

Lektor:

Radość Szabatu



■ ARCHIWUM RINGELBLUMA. ANTOLOGIA

Wstęp Jacek Leociak, opracowanie Marta Janczewska i Jacek Leociak. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2019, ss. 936. Biblioteka Narodowa, seria I, nr 334

PRZYJĘLI NAZWĘ ONEG SZABAT, czyli Radość Szabatu, bo w sobotę zwykle się spotykali. Grupa utworzona przez historyka Emanuela Ringelbluma w warszawskim getcie postanowiła udokumentować los Żydów nie tylko z tej największej „dzielnicy zamkniętej”, ale też innych wspólnot. „Kolekcja Jacek Leociak – tworzona według ścisłych zasad metodologicznych i realizowana jako projekt

badawczy przez zespół fachowców dokumentalistów oraz ludzi nauki, literatury, kultury i społeczników, nie ma sobie równych w Europie... w żadnym skupisku żydowskim egzystującym pod niemieckim terrorem”. Archiwum, zawierające około 3040 dokumentów, przetrwało w dziesięciu metalowych skrzynkach i dwóch bańkach na mleko, a dokonana w Żydowskim Instytucie Historycznym jego

pełna edycja liczy 37 tomów. Ringelblum zginął w marcu 1944 r., już po likwidacji getta, gdy schron przy Grójeckiej, w którym się ukrywał, został zadenuncjowany. Z członków ścisłego kręgu grupy Oneg Szabat wojnę przeżyło troje: sekretarz archiwum Hersz Wasser, jego żona Bluma i dziennikarka Rachela Auerbach. Wydana teraz antologia zawiera zaledwie około 3 procent całości i, jak tłumaczy prof. Leociak, kładzie nacisk na ukazanie „różnych sposobów zapisu doświadczenia Zagłady, rozmaitych form ekspresji tego doświadczenia i różnorodności gatunków”. Są więc dzienniki, relacje naocznych świadków, w tym dzieci, opracowania socjologiczne, reportaże, listy, teksty literackie i rozważania religijne. Wiersze Icchaka Kacenelsona, Władysława Szlengla i Rachelki Ofenberg,

lat 11. Samopomoc społeczna i „kuchnie ludowe” – a obok wszechobecna śmierć, jak w relacji Szlamy Ber Winera z obozu w Chełmnie, o mordowaniu Żydów i Cyganów w samochodach-komorach gazowych. „Żydzi stoją pośrodku krwawego diabelskiego tańca” – notuje podczas akcji wysiedleńczej w Lublinie ktoś, po kim zostały tylko strzępy listu w jidysz. Antologia zapiera dech i odbiera sen, ale powinna być lekturą obowiązkową. To, że ukazała się w ramach Biblioteki Narodowej, ma wagę symbolu. Jak napisał w „Dwutygodniku” Piotr Paziński: „Oto podziemne archiwum ginącej żydowskiej Warszawy, dawno uznane za dziedzictwo ludzkości, przyjęto w poczet najważniejszych tekstów kultury polskiej. (...) Dziwny moment, ale radosny”. ©

PAWEŁ

Bravo:

Epoka toczy się dalej



TRZYSTA. MOŻE KILKA MNIEJ, KILKA WIĘCEJ, pogubiłem się w liczeniu. Faktem jest, że to już szósty rok mija, jak co tydzień zachęcam was do filozofowania widelcem. Jakże łatwo się w tym zagalopować na bezkresne pola porośnięte dorodną bzdurą podlaną soczystym chciejstwem! Przy zagniataniu masy na ciasto albo karmelizowaniu cebuli prawa fizyki i struktura materii dopuszczają pewne luzy, ale jednak napotykamy nieubłagany moment, po którym ciasto się nam rozlezie w palcach, a po zwęglonej cebuli zostaną tylko skorupa i śwąd. Tymczasem dzieje narodów i przemiany obyczajów można rozkładać na czynniki pierwsze i składać z nich nowe obrazy właściwie do woli.

Sześć lat temu z zamknięcia pewnej restauracji w Treviso wysnułem wywód o końcu epoki. Zanurzony w atmosferze powszechnego przerażenia, co to będzie dalej z Polską, w dniach kiedy rosyjskie zielone ludziki połknęły Krym bez popitki, pisałem o tym, że jesteśmy świadkami prucia się układu uklepanego z trudem po wojnie, że kończy nam się kolejna *belle époque*. Nazwa Treviso wielu z was nic nie mówi, ale za to każdy kojarzy wymyślony tam deser *tiramisu*, genialny w swej hedonistycznej prostocie, mianowany przeze mnie symbolem spokojnej obfitości przełomu stuleci.

Zajechałem tam znów, przeprosić się z miastem, które wówczas w felietonowym ferworze określiłem jako szpetne. Głównie dlatego, że w '44 ucierpiało bardzo od amerykańskich bomb, ale pozostała tam nietknięta pokaźna tkanka średniowiecznej zabudowy, krętych zaułków i kanałów z wartko biegnącą wodą. Tworzy to wszystko zaiste urokliwą płataninę, kameralną, przychylną spacerom, ogólnie miłą dla oka – choć bez fajerwerków. Przy głównym placu (zwie się *dei Signori*; w wielu miastach spotkacie tę nazwę, oznacza, że dawno temu miasto miało autonomię i własnych panów) obok gmachu prefektury lśni równie duży pałacyk z flagowym sklepem rodziny Benettonów. To są prawdziwi *signori* tego miasta – ich firma (powstała właśnie tu) wyszła poza odzieżowy biznes i trzyma w garści imperium inwestycyjne o globalnym zasięgu.

Oprócz deseru jest jeszcze pewien gorzki powód, by do Treviso przyjeżdżać właśnie późną zimą (choć tam to już właściwie przedwiośnie): z tej okolicy pochodzi jeden z najlepszych rodzajów gorzkiej sałaty radicchio, taki z długimi liśćmi w kształcie macek ośmiornicy. Razem z kilkoma innymi – zwłaszcza bladoróżową i jedwabistą w dotyku odmianą z We-

rony oraz przypominającą szkarłatne róże odmianą z Gorycji – sałaty te są pochwałą zimowego skąpego słońca, ich malarzkie ubarwienie bierze się z ubóstwa chlorofilu (zieleń – jakie to w sumie banalne!). W tych dniach bez trudu na ulicach napatoczymy się na festyny ku ich czci, z darmową degustacją potraw, zwłaszcza risotto, ale także grzanek z duszonymi liśćmi albo sałatek. Za jakieś dwa tygodnie w tych samych miejscach zjawiają się stoiska częstujące szparagami.

No dobrze, ale co z tiramisu? Restauracja „U Rzeźników”, której zamknięcie opłakiwałem sześć lat temu, wznowiła działalność pod innym właścicielem i na razie wygląda kwitnąco. „Rozbłysła na nowo latarnia morska naszej kultury i historii” – tak przywitał jej powrót gubernator regionu, polityk Ligi o dalekosiężnych ambicjach, który wie, że Włoch ojczyznę kocha żołądkiem. Jest pretensjonalnie, jeśli chodzi o wystroj i menu, ale i dawniej był to lokal dla burżuazji z pretensjami.

Tiramisu podają w wersji kanonicznej oraz *sbagliato*, czyli pomyłonej, niepoprawnej, gdzie do kremu z mascarpone daje się bitej śmietany, a nie żółtek, zamiast biszkoptów zaś – rodzaj niesłodkiego biszkopta nasączony kawą i pokruszone ciasteczka orzechowe. W promieniu kilometra jest kilka innych miejsc, które walczą o palmę najlepszego *tiramisu* w mieście. Jeśli chcecie mojej rady, to idźcie do cukierni La Romana tuż obok katedry (wielce szpetnej, tu zdania nie zmieniam).

Czy zatem *belle époque* trwa dalej? Niepotrzebnie wieszczęłem przesilenie? A może w ogóle na próżno kroimy dzieje na plastry epok? Ten ciągły przymus porządkowania żywiołu, który po prostu płynie. Energia życia w najprostszych formach i tak rozsada podziały. Chciałoby się napisać, że tego nas uczy odrodzenie restauracji, ale znów byłby z tego symbol, z którego musiałbym się wam za sześć lat tłumaczyć. ©



„Pomyłona” wersja *tiramisu* przypominała mi inne odstępstwa od podstawowego przepisu (który, przypomnijmy to znów, nie przewiduje żadnej bitej śmietany, a z alkoholi tylko rum albo grappę). Można, jak czynią to w naszym ulubionym lokalu z pizzą przy Wiślniej, utrzyć *ricottę* z odrobiną cukru i korzystając z takiego „kremu” osiągnąć wersję dietetyczną. Może aż za bardzo dietetyczną. Można wybrać wersję pracochłonną, ale z doświadczenia wiem, że uzależni ona gości od waszej kuchni jeszcze bardziej: zamiast herbatników typu *savoardi* zrobić domowy biszkopt wedle włoskiego przepisu na *pan di Spagna* (hiszpański chlebek, etymologię tej nazwy zostawmy na później): 6 żółtek ucieramy z dwiema łyżkami wody i 200 g cukru na puszystą masę, bardzo długo, nawet 20 minut – to ważne, żeby je napowietrzyć. Dodajemy ostrożnie 6 ubitych na sztywno białek i po 75 g mąki i 75 g mąki ziemniaczanej. Przelewamy do formy tak, by ciasto miało 3 cm grubości. Pieczemy w 180 stopniach ok. pół godziny, aż mocno się zrumieni z wierzchu (nie otwierając drzwiczek w trakcie pieczenia). Po wystudzeniu mocno oklapnie, ale to nie ma znaczenia. Kroimy na kawałki pasujące do naczyn, w których robimy *tiramisu*, nasączamy kawą i dalej jak zwykle. Przekonacie się, co za różnica!



WSCHÓD NA ZACHODZIE

Kiedy wreszcie się rozchmurzyło, ujrzałem oddalony o 82 kilometry Przylądek Dieżniowa.
Czyli Azja i przeciwległy koniec mapy, geograficzne zaświaty.
W Rosji było już jutro.

TEKST I ZDJĘCIA **MICHAŁ MILCZAREK**

POJECHAŁEM NA ALASKĘ DLATEGO, ŻE KIEDYŚ BYŁA ROSYJSKA. I dlatego, że sąsiaduje z Rosją. Ale postąpiłem inaczej niż zawsze. Nie pojechałem do Rosji na wschód, ale na zachód. Na końcu zachodu chciałem znaleźć wschód.

To jest podróżowanie dialektyczne. Znoszenie tezy przez antytezę, widzialnego przez niewidzialne. Tego, co jest, przez to, co było. Jednego końca mapy przez drugi. Dzięki temu widać coś więcej niż widok.

Widoki na Alasce są oczywiście bardzo okej. To jakby Norwegia do kwadratu albo nawet sześcianu. Lodowiec Kennicott spływał z gór potężną bryłą, wypełniając całą dolinę. Było ciepło, ze dwadzieścia stopni na plusie, a zarazem lodowato. Ciągnęło chłodem – takim glacialnym, aż do szpiku. Plejstocen przenikał do wnętrza. Chodziłem po lodzie i czułem własne kości bardziej niż zawsze. Robiłem się jakby bardziej śmiertelny.

Wokół była tylko geologia, z której jesteśmy i którą będziemy. Lód był jednak w defensywie. Czuć było schyłek. Płynęły strumyki, resztki epoki lodowcowej znikwały.

Podobnie było pod lodowcem Columbia w Zatoce Księcia Williama, który schodził wprost do morza. Niebieskawe kry odrywały się od czoła i topniały w wodzie. Ludzie wychodzili na dziób statku wycieczkowego i powielali go tysiącami zdjęć. Bardziej niż na lodowiec patrzyli na ekrany telefonów i lustrzanek. I tak codziennie. Multiplikacja widoku sprawiała, że on znikał. Ostatki, plejstocieńska stypa.

Czekanie

Alaskańskie widoki są inne niż syberyjskie. Te ostatnie są mniej spektakularne, bez tych wszystkich fiordów i lodowców. Za to mocniej wciągają, za neurony łapią, są bardziej kosmiczne.

Opuszczone i opustoszałe. A na Alasce jest po prostu widok. Nie kryje się za nim historia, brakuje ran, szczelin i pęknięć. Nigdzie nie stoi Lenin. Jakby istniała tylko ta powierzchnia. Cudna, ale pozbawiona głębi. Opowieść się nie kleiła, wzięła w samym widoku.

Dlatego zamiast pojechać pod Denali, najwyższy szczyt Ameryki Północnej, polecałem dalej na zachód – w stronę Rosji. Najpierw na Przylądek Księcia Walii w Cieśninie Beringa. Tam nie lata już nikt. Wszystko się kończy. Dalej na amerykańskim lądzie już się nie da, dalej mapa się urywa. Po drugiej stronie cieśniny leży Rosja. Kiedy jest pogoda, można ją zobaczyć gołym okiem. Ale pogoda w Cieśninie Beringa to rzadkość. Trzeba siedzieć w zamieszkałej przez 150 Inuitów wsi Wales i czekać.

No więc czekałem. Chciałem zszyć w swoim mózgu mapę, połączyć oba jej końce. Inaczej życie nie będzie miało sensu. Jeśli nie padało, szedłem wzdłuż płaskiego brzegu na północ. Na piasku leżały muszle, martwe rozgwiazdy i kości zwierząt. Z jednej strony było Morze Beringa, z drugiej Czukockie. Na południu Ocean Spokojny, na północy Lodowaty. Czasami prześwitywało słońce, a czasami wszystko zjadała mgła. Wiatr wiał bez przerwy, więc deszcz padał bardziej poziomo niż pionowo.

Poza tym tundra, pustka i komary. Drewniane domy stały na palach, w obejściach trafiały się kości morsów i wielorybów. Ale już niewiele. Ostatniego wieloryba złowiono w Wales mniej więcej siedem lat temu. Nawet już nie pamiętają, kiedy dokładnie. Pod niektórymi domami stały kontenery, quady, skutery śnieżne i łodzie. Trochę złomu, drewna – słowem, przyjemne nieogarnięcie, materia w stanie dyskretnego klęski. Poza tym dwa sklepy, prohibicja i brak kanalizacji. W sołectwie wisały różne ogłoszenia. Jesienią spożywaj dużo wapnia i witaminy D. Zawierają ją rybie głowy i glony. Można też wziąć udział w konkursie na trzy licencje na odstrzał piżmowola arktycznego.

Koniec kraju

Przejaśniać zaczęło się dopiero trzeciego dnia. Zalegające w cieśninie chmury się rozplynęły. I wtedy zobaczyłem na horyzoncie dwie wyspy: Little Diomid Island i Bolszoi. Ta pierwsza jest amerykańska i mieszka na niej garstka Inuitów, a druga rosyjska i stacjonuje tam garstka pograniczników. Widać było dwie naraz, bo rosyjska jest większa i wystaje z obu stron amerykańskiej. Są do niej stąd 42 kilometry.

Kolejnego dnia rozchmurzyło się już całkowicie i wtedy ujrzałem oddalony o 82 kilometry Przylądek Dieżniowa. To już ląd stały. Azja i przeciwległy koniec mapy, geograficzne zaświaty. W Rosji było już jutro. Między Alaską a Czukotką przebiega międzynarodowa linia zmiany daty, więc widać przyszłość. Widać dwa dni naraz. A wieczorem podwójny zachód słońca: dzisiaj i jutro.

Przyleciałem tam, bo chciałem zobaczyć początek i koniec tego kraju. Ciągnął się stamtąd aż po Europę. Aż do granicy Polski. Dlatego było na co patrzeć i o czym myśleć. Na przejściu

PO LEWEJ: Dachy cerkwi w Unalascie na Aleutach

PONIŻEJ: Kości wieloryba, Wales. W obejściach trafiają się kości morsów i wielorybów. Ale już niewiele. Ostatniego wieloryba złowiono tu mniej więcej siedem lat temu.



granicznym pomiędzy Braniewem a Mamonowem na przykład wszystko wygląda inaczej. Nie ma transkontynentalnej cieśniny, brak rzeki nie-zobaczysz-drugiego-brzegu, w ogóle brak rozmachu. Oba kraje dzieli zapyziały strumyk. Rośnie pokrzywa, w maju fruwa dmuchawiec, pełni się swojski chwast. Zamiast posępnej tajgi rośnie środkowoeuropejski grab. Wygląda to jak miedza między polami albo gminna *limes*. Poza tym po obu stronach granicy stoją te same poniemieckie domy kryte czerwoną dachówką, a wzdłuż drogi ciągną się te same lipy.

Ale wtedy do autobusu wchodzą rosyjscy pogranicznicy w tych swoich czapach jak orbita i z nutą siedemnastomilionowokilometrowej obojętności w oczach. Są grzeczni, ale się nie uśmiechają, bo granica imperium to nie czas i miejsce. Pokrzywy zaczynają się wtedy kurczyć i topnieć, bo dalej zaczyna się geografia, iskandery, jedenaście stref czasowych i wiatr od Oceanu Lodowatego. Czujesz go w płucach i posłusznie wyciągasz paszport z wizą.

Dlatego patrzyłem z amerykańskiego Przylądka Księcia Walii na Bolszoi Diomid i myślałem o stacjonujących tam pogranicznikach. Tam też muszą nosić te czapki wielkości felg od roweru. Przynajmniej od święta, bo na co dzień wiatr wieje zbyt mocno i może im je porwać. Jeszcze pochwyci i zanieś po łodzie na amerykańską Little Diomedę. To przecież byłby wstyd dla imperium. Dlatego zakładają uszanki i patrolują w nich pustą wyspę. Helikopter przylatuje raz na kilka miesięcy, więc poza patrolami nie mają za wiele rozrywek. Stają na szczycie urwistego klifu i patrzą przez lornetki na inuicką osadę Inalik, leżącą niecałe cztery kilometry dalej. Inuici jeżdżą po zamrożonym lodzie Cieśniny na skuterach śnieżnych, hodoją w doniczkach legalną marihuanę i mają kobiety. Bo na Little Diomedę są kobiety i dzieci, toczy się normalne życie, o ile na środku Cieśniny Beringa można mówić o normalnym życiu.

W każdym razie jest normalniej niż na Bolszom Diomidzie, gdzie nie ma ani jednej kobiety. Piętnastu młodych poborowych musi się oddawać seksualnej ascezie w imię geografii i straży nad międzynarodową linią zmiany daty. Nie do końca jednak wytrzymują, dlatego chodzą na wysoki klif i patrzą. Niby sprawdzają, czy Inuici nie skradają się ku legowiskom morsów na ich brzegu, ale tak naprawdę patrzą na coś innego. Patrzą, jak toczy się zwyczajne życie. Patrzą na wczoraj, ➔

→ do którego nie mogą się przedostać, bo zdarzyło się już wczoraj. Patrzą i tęsknią.

Ich psy nie wytrzymują i od czasu do czasu uciekają po lodzie do Ameryki. Kiedy ze wschodu wieje wiatr, wiedzą, że trzeba się spieszyć. Biegają przez międzynarodową linię zmiany daty, z jednego końca mapy na drugi oraz z jutra do wczoraj, łamiąc wszystkie porozumienia i traktaty graniczne, bo gna ich ślepa miłość. A potem wracają już spokojnym krokiem, zmęczone, szczęśliwe i nieco zawstydzone, że złamały przysięgę wierności dwugłowemu orłowi.

Księżyc księżyc

Z Wyspy Świętego Wawrzyńca też było widać Rosję. Na dalekim horyzoncie ciągnął się górzysty kontur jutra. Morze Beringa falowało dość dziko. Nad wodą bez końca leciały na południe nurzyki i alki. Frunęły dzień za dniem, jak gdyby były niewyczerpane. Połączenie ptasiej kruchości oraz instynktów wypolerowanych przez miliony lat – to było piękne.

Wieś Gambell wyglądała zupełnie jak Księżyc. Płaskie, pokryte kamieniami pustkowia. Szare domy stały na palach i przypominały moduły Apolla 11. Niewykluczone, że w przyszłości odleca. Przy brzegu dnem do góry leżą drewniane szkielety łodzi. Dawniej kryto je skórą morsów. Na jedną łódź schodziły dwie samice, bo są delikatniejsze, cieńsze i bardziej sprężyste. Ale Eskimosi przeczuli się na aluminium, więc drewno dzieliło los kości, powoli przeobrażając się w nicłość. Poza tym, podobnie jak w Wales, quady, kontenery i jeden sklep. Plus wielkie anteny satelitarne do łapania kontaktu z Ziemią. Zieleń nie chciała tam żyć i nie ma co się temu dziwić.

Dwa razy do roku migrują tamtędy wieloryby grenlandzkie. Ich kości leżały wszędzie. Czaszki wielorybów znajdowały się nawet koło pasa startowego. Kawałek dalej spoczywała martwa tusza. Zdarli z niej skórę, ale mięso nie nadawało się do spożycia. Kilkadziesiąt ton ciała rozkładało się na kamienistym brzegu morza. Kiedy wiał wiatr z południowego zachodu, we wsi zalaływo wielorybią zgnilizną.

Niektórzy taszczyli wielorybie żebra pod dom i wbijali w ziemię albo opierali o ścianę, żeby nie było żadnych wątpliwości. Z kłów morsa rzeźbili podobizny morsów, aby koło istnienia się zatoczyło. Chcieli mi je sprzedać, gdy tylko wylądowałem. Trzysta dolarów, dwieście, sto pięćdziesiąt – schodził z ceny siwy Malcolm w rogowych okularach. Nie miał wyboru, byłem jedynym pasażerem ośmioosobowego samolotu.

Mieszka tam eskimoski naród Jupik Syberyjski. Przybyli na Wawrzyńca z Syberii i nadal mają tam krewnych. Opowiadali transkontynentalne historie. Dziadek pochodził z Rosji, przeniósł się na amerykański brzeg, a potem zaczęła się zimna wojna i nie mógł wrócić. Raz podczas tropienia wielorybów nakryła nas mgła, a kiedy się rozjaśniło, zobaczyliśmy, że zniosło nas pod Rosję, więc czym prędzej zwaliśmy. Niektórzy znali kilka rosyjskich słów w rodzaju „zdrowstwujić”, „pojechali” albo „suka”. Jeden puścił na komórkę rosyjski rap, który ściągnął od kumpla z czukockiej Prowidencji. Na końcu zachodu zaczyna się wschód.

Na Syberię są z Gambell tylko 72 km, a do Alaski 266. Do Anadyru na Czukotce 530, a do Anchorage 1150. Święty Wawrzyniec to bardziej Syberia niż Ameryka, ale w 1867 r. Rosja sprzedała ją Ameryce w pakiecie z Alaską. W sumie nie jest ani jednym, ani drugim. To wyspa wykluczona. Nie-miejsce. A zara-

zem pra-miejsce, geograficzna skamielina, resztką Beringii – ładu łączącego oba kontynenty. Wawrzyniec pasuje do świata, w którym podział na Azję i Amerykę nie obowiązuje.

To peryferia skrajna. Jeśli Alaska jest księżycem Ameryki, to Wawrzyniec jest księżycem Alaski. Księżycem księżyc. Z Gambell do Nowego Jorku jest 6400 km. Tyle samo, ile z Moskwy do Władywostoku. Ale z Moskwy masz bezpośredni samolot albo pociąg, a do Nowego Jorku musisz lecieć z trzema przesiadkami. Nie wszystkie wiadomości przychodzą na czas, dlatego miejscowi pytali mnie, czy żelazna kurtyna wciąż jeszcze istnieje i czy wolno mi pojechać na Węgry.

Aleuty

Najwięcej Rosji było jednak chyba na Aleutach. Właśnie ten ciągnący się jakieś 2 tysiące kilometrów łańcuch wysp Rosjanie napotkali najwcześniej, gdy w połowie XVIII wieku wyruszyli z Kamczatki dalej na wschód. Spotkali też Aleutów, których ochrzczili w prawosławiu, nadali im rosyjskie nazwiska i zmusili do polowania na wydry morskie i foki. Wciąż stoją tam cerkwie, a Aleuci nazywają się Snigaroff, Krukoff czy Dushkin. Dlatego na Aleutach nie trzeba wypatrywać Rosji na horyzoncie. Ona jest tam wciąż obecna.

To dziwne miejsce. Łańcuch pustych wulkanicznych wysp ciągnących się od Alaski po Kamczatkę. Z jednej strony jest Morze Beringa, z drugiej Pacyfik. Ścierają się tu płyty tektoniczne, wiatry i prądy morskie. Kocioł.

Najfajniej jest na zachód od Dutch Harbor, gdzie wszystko się kończy. Na przykład we wsi Nikolski na Wyspie Umnak, zamieszkałej przez dwadzieścia pięć osób. Przylatujesz i jesteś dwudziesty szósty.

Samolot lata dwa razy w tygodniu, o ile jest pogoda, a na Aleutach pogody nie ma prawie nigdy. Zazwyczaj wisi mgła, mży i wieje. Sklep jest czynny trzy razy w tygodniu po dwie godziny. Warto przyjść na godzinę albo nawet całe dwie. Kawa jest za darmo, a prócz tego można spotkać ludzi. Bo poza sklepem spotkasz ich rzadko. Jest ich trochę za mało, żeby spotkać. Poza tym oni lubią być sami. Przyzwyczaili się i nie wygląda na to, żeby brakowało im towarzystwa. Dlatego ty też jesteś sam. Sam chodzisz po brzegu morza, sam po klifach, sam po łąkach. Aleucisz się.

Nad drzwiami cerkwi wisiała ikona Mikołaja Cudotwórcy. W środku leżały książki w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. Niektóre wydrukowano w Moskwie albo Petersburgu przed rewolucją, inne pamiętają czasy Rosyjskiej Ameryki. Jednak Aleuci nie umieją ich już czytać. Nie rozumieją też znaczenia własnych nazwisk.

Za cerkwią rosła trawa. Nawet na wąskim, zwirowym pasie startowym się przebiegała. Trawa, ptaki i przekwitający fioletowy łubin. Niedaleko wznosił się pokryty śniegiem wulkan Vsevidof, ale nie było go widać, bo mgła. Ostatni raz dało się go zobaczyć mniej więcej miesiąc temu.

Słońce też pozostawało niewidoczne. Przez pięć dni przebiło się tylko raz – na chwilę. Na Aleutach mają ponoć najgorszą pogodę na świecie. Dlatego podobało mi się tam. Najgorsza pogoda na świecie to jest coś. Można chodzić w samotności po zamglonych łąkach nad Pacyfikiem i się aleucić.

Alaska i Kamczatka leżały daleko. Reszta świata była jeszcze dalej. Dlatego niewiele tam widać i niewiele słyszać. Istnieje się w zniknięciu. Nie tyle na końcu mapy, ile poza nią. Bo Aleuty

zwykle się na mapach nie mieszczą. Za bardzo odstają od Ameryki i za mało przystają do Azji. Poza tym nikt nie wie, gdzie to jest. Są na tyle zbędne, że mapa kończy się wcześniej.

Czas również jest tam osobny, w Nikolskim mają własną strefę. Godzina wcześniej niż na Alasce. Minus jedenaście z Polski. Rewers Kamczatki, która jest plus jedenaście. Fajnie jest siedzieć we mgle we własnej strefie czasowej. Jesteś wtedy bardziej własny, bardziej sam. Aleuciejesz.

Podróż w zaświaty

Najkońszym końcem rosyjskiego wszechświata nie była jednak ani Czukotka, ani Aleuty, lecz Nowoarchangielsk – dawna stolica Rosyjskiej Ameryki. Dzisiaj miasto nazywa się Sitka i leży w południowowschodniej części Alaski. To tam, gdzie Alaska spływa na południe, wyczerpuje się i przechodzi w Kanadę. I leży najdalej od Azji i Syberii.

Sercem miasta jest drewniana cerkiew. Ikony zostały w spadku po Rosjanach, a ksiądz proboszcz wywodzi się z Eskimosów. Podczas mszy śpiewają po angielsku z drobnymi wstawkami w staro-cerkiewno-słowiańskim i tlingickim. Bo w Sitce do cerkwi przychodzą głównie Tlingici. Jest też pamiętający rosyjskie czasy dom biskupa diecezji kamczacko-kurylsko-aleuckiej. No i, jak wszędzie, stary cmentarz. W sklepach poza lokalnymi miniaturkami totemów sprzedają uszanki, ikony i matrioski. Są też z Trumpem i emblematami klubów NBA czy NHL.

Czytam wspomnienia Ławrientija Zagoskina, który wybrał się do Nowoarchangielska w 1839 r. Zatyłował je „Podróż w zaświaty”. Nie ma się co dziwić. Wyjechał z Petersburga pod koniec grudnia 1838 r. Przez pierwszy miesiąc tłukł się kibitką do Irkucka. 6300 wiorst po zasypanym przez śnieg syberyjskim trakcie. Potem czekał, aż na Lenie puszczą lody. Gdy puściły, popłynął do Jakucka. 2400 wiorst. Dalej na wschód drogi już nie było. Do Ochocka jechało się wierzchem licząc 1400 wiorst

ścieżką, prowadzącą przez góry. Nad Morze Ochockie dotarł po miesiącu jazdy. Tam trzeba było poczekać na statek do Ameryki, który chodził raz do roku. A potem płynąć półtora miesiąca, mijając Kuryle i Aleuty. Kolejne 4000 wiorst. W sumie wychodzi ponad 14000 wiorst. W kilometrach ciut więcej. Do Nowoarchangielska dotarł na początku października. „Było kiedy się zanudzić” – pisał Zagoskin.

Była jeszcze inna trasa: bezpośrednio z Petersburga oceanem. W dół Atlantyku aż po Ziemię Ognistą i przylądek Horn, a potem przez Pacyfik z powrotem na północ. Nie wiem, która opcja jest bardziej fantastyczna. Dziewięciomiesięczne przedzieranie się przez Syberię czy podróż z Petersburga, podczas której mija się Antarktydę.

Dlatego w Nowoarchangielsku wszystko rwało mi się w głowie. Nie sklejało. Wyskakiwało z zawiasów. Za daleko. To już nie Rosja, to odległa rosyjska kolonia. Rosja zaświatowa, zalustrzana, zabiegunowa. Do góry nogami leżąca. Oni chyba też tego nie ogarniali i dlatego Alaskę ostatecznie sprzedali.

A co by było, gdyby nie sprzedali? Pogranzona? Bazy wojskowe? Głowice atomowe? Wzorem Tlingitów wznosiliby totemy z głową Lenina na szczycie? A może by się skanadzili kulturowo i byłiby czymś na kształt obwodu kaliningradzkiego Ameryki? I gdzie przebiegałaby wtedy międzynarodowa linia zmiany daty? W Cieśninie Beringa, jak dziś, czy na granicy z Kanadą? Byliby imperium transtemporalnym czy rozciągałoby się o te kilka dodatkowych stref czasowych na wschód, w związku z czym nie tylko przestrzeń, ale także czas rwałby się im na strzępy?

Tak czy inaczej musieliby robić inne mapy. Koniec świata byłby wówczas gdzie indziej. Życie miałoby inny sens. Z Petersburga czy Moskwy lataliby na Alaskę nad biegunem północnym, więc po drodze można by myśleć o absolicie. Oczywiście, o ile by się miało przepustkę od FSB.

© MICHAŁ MILCZAREK

Plaskie, pokryte kamieniami pustkowia – wieś Gambell wygląda zupełnie jak Księżyc.



STANISŁAW

Mancewicz: O kinie



SYNTEZĘ JAKOŚCI POLSKIEJ POLITYKI PRAWICOWEJ widać dziś w jednym geście. Nikt lepiej niż palcem przecierająca oko posłanka Joanna Lichocka nie zsumował stosunku obecnej władzy do znacznej części obywateli. Nie będziemy się jednak tym dziś zajmować, też dlatego że wszystko już zostało w tej sprawie powiedziane, albo też powiedziało się samo. Należy zważyć, że gdybyśmy zajmowali się każdym podtarciem uczynionym publicznie przez układ trzymający władzę, musielibyśmy zmienić zawód na wymagający osobliwego poczucia misji i poświęcenia. Jest nieco spraw, powiedzmy sobie szczerze, ważniejszych i na nich skupimy dziś naszą legendarną zdolność analizy.

Oto na ekrany kin tutejszych weszły właśnie dwa filmy produkcji rodzimej. Oba są freskami, z których spróbujemy na modłę cenionych interpretatorów kultury odczytać symbolikę, bądź jak kto woli utajone znaki. Jeżeli ktoś się obawia, że będziemy tu streszczać fabuły, uspokajamy. Nie będziemy. Dla porządku jednak odnotujmy, że chodzi o film poświęcony twórcy polskiej odmiany muzyki oraz film erotyczny, także w klimacie miejscowym z elementami zagranicznymi. Niby oba łączy niezaskakujący schemat fabuły, ale co oczywiste, czynienie z tego zarzutu nie wydaje się nam mądre. Droga artysty do sukcesu scenicznego, bądź to dzieje zawiązania relacji cielesnej, muszą być schematyczne, bowiem gdyby nie były, nikt by dziś nie zrozumiał, o co chodzi. Filmy – to wie każdy – nieoparte na czytelnym schemacie są od dawna rozrywką tylko dla ludzi, którzy z jakichś powodów muszą wyjść w lutym z domu, niekoniecznie do kina, ale idą tam,

bowiem w kinie jest ciepło i ciemno. Są to uwagi, jak widać, ogólnie oświetlające i na nich poprzestaniemy.

Polem naszych zainteresowań nie jest zatem akt twórczy, jego detal bądź to formalny motyw powstania dzieła, a wyłącznie wola widza, tej woli wpływ na kształt świata sztuki oraz wymiar praktyczny. Nasze rozważania idą ku wyjaśnieniu, co ludzi skłania do dwugodzinnego poświęcenia intelektualnego, czy też – jak kto woli – przeżycia artystycznego, albo co najbliższe prawdy – zapoznania się z wzorcem życiowym, który może się przydać w szarej codzienności. Z naszych obserwacji wynika, że widz oczekuje od sztuki konkretnych i praktycznych wskazań życiowych. Gdziekolwiek byśmy skierowali nasze czułki, wszędzie dostajemy porady dotyczące najdrobniejszych spraw z zakresu fizjologii czy higieny osobistej *Homo sapiens*. Nie tak dawno przeczytaliśmy poradę opartą na zagadce zawartej w tytule publikacji, co mianowicie robić, gdy człowiek poczuje się głodny? Było to niepokojące zadanie myślowe, ale i twórcze, było to też oczywiście zadanie dziennikarskie i byliśmy ciekawi, jak autor obarczony nim przez zwierzchnika sobie poradził. „Otóż należy coś zjeść” – wyjaśnił twórca bezwstydnie. Byliśmy rozczarowani, snuliśmy przecież najdziwniejsze przypuszczenia, co zrobić, gdy się chce jeść. Otóż nie był to po prostu tekst dla nas, ale był miłym krokiem ku rozumieniu dzisiejszości, rangi dzisiejszego piśmiennictwa oraz roli twórców kultury.

Twórca kultury, którym jest wciąż reżyser filmowy, musi – to jasne – wziąć pod wzgląd parametry współczesności. Nie może bujać w obłokach. Musi być praktyczny, jeżeli nie chce być artystą niszowym, snującym się w nędznych łachmanach po obrzeżach sztuki, z wymiętoszonym scenariuszem pod pachą. Dzieło dzisiejsze musi być oparte o twardy rdzeń porady i musi być czytelne do bólu. Danie dziś publiczności swobody mniemania to samobójstwo, to droga ku klęsce, ku uznaniu za artystę zwyrodniałego. Dlatego uważamy, że film o muzyku i jego nieprostej drodze twórczej, powstały z intencji Jacka Kurskiego, człowieka jakże niestabilnego w interpretowaniu rzeczywistości i spletanego narracyjnie, musi przegrać frekwencyjnie z przejrzystym i spójnym poradnikiem erotycznym, w którym nikt, nawet przez chwilę, nawet dla jaj, nie występuje w kozuchu. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ

POŚCIGI PARTII RZĄDZĄCEJ W SEJMIE



**W marcu 2020 roku świętujemy
75-lecie „Tygodnika Powszechnego”**

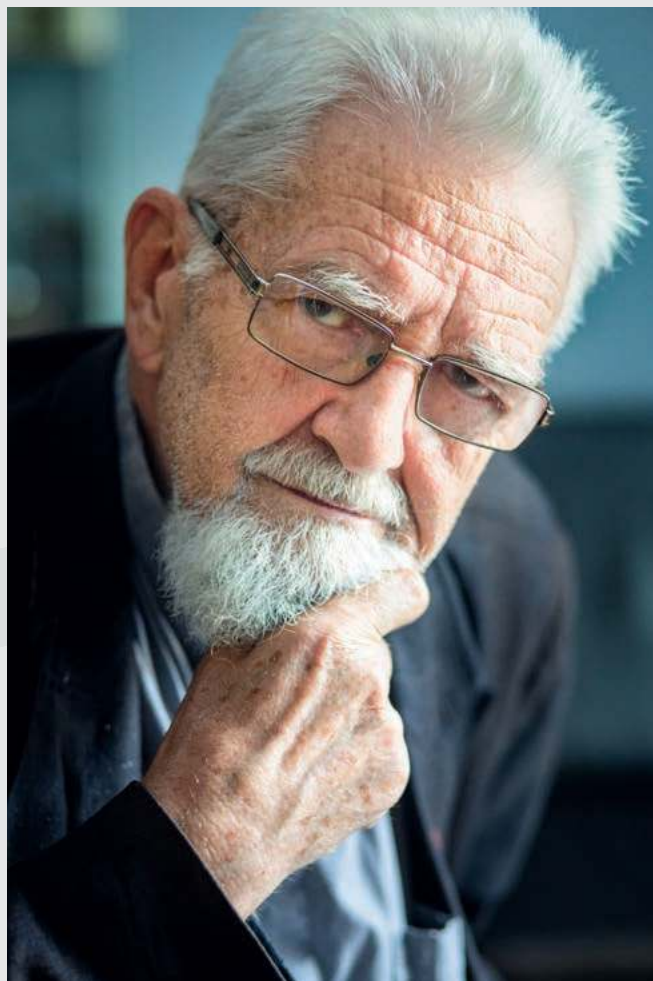
Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie
moglibyśmy robić takiego pisma,
jakie byśmy chcieli Wam dać
i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego
75-lecia, prosimy o przekazanie nam
1% w rozliczeniu rocznym, a także
o darowizny – aby „Tygodnik” mógł
trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej
pory, niezależnie od okoliczności.



ks. Adam Boniecki



FOT. GRAŻYNA MAKARA

**Przełącz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.**

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce Cel szczegółowy 1%: TP75

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar



WSPÓLNIE PRZYSPIESZAMY BIEG RZECZY

+48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

INTERNET SYMETRYCZNY
TRANSMISJA DANYCH
KOŁOKACJA
CLOUD COMPUTING

HOSTING
USŁUGI GŁOSOWE
OUTSOURCING IT
KONSULTING